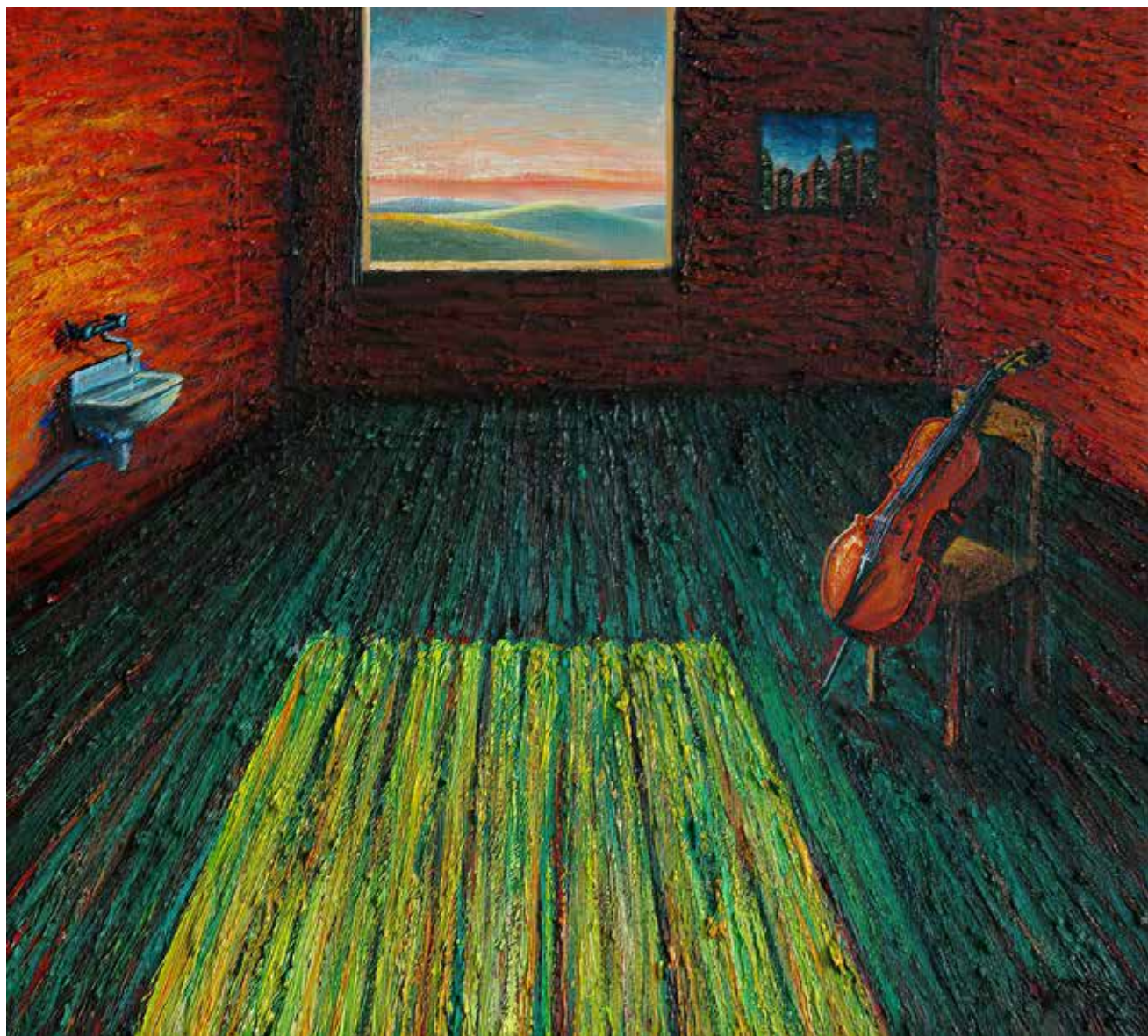


MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 10 Zł (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 7 (334) • ROK XXIX • LIPIEC 2023



CHWILA
ODDECHU

ISSN 1425-3917



9 771425 391707

Chcecie kupić „Śląsk”? Nie szukajcie nas w kioskach. Skorzystajcie z wygodnej prenumeraty redakcyjnej! Pismo w prenumeracie dostarczymy pod wskazany adres. Oferujemy prenumeratę roczną, półroczną, kwartalną, a nawet miesięczną. Bądźcie z nami. Czytajcie nas. Nie zrywajmy przyjaźni.



O wolność nauki i nauczania

Dyskusja

W lipcu 2023 r. mija pięć lat od przyjęcia przez Sejm RP nowej ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, wprowadzającej radykalne zmiany w funkcjonowaniu uczelni wyższych. Przez środowisko akademickie ustawa została nazwana „ustawą 2.0”, „reformą Gowina”, a także „deformą” i jest oceniana ambiwalentnie. Zwolennicy „ustawy 2.0” podziękują opinię, że we współczesnym państwie uczelnie wyższe i nauka powinny być zarządzane centralnie, planowo, w systemie grantowym i powinny z sobą rywalizować na poziomie europejskim. Przeciwnicy „deformy Gowina” twierdzą, że zniszczyła ona tradycję polskich uczelni, ograniczyła demokrację zarządzania instytucjonalnego, przenosząc władzę w ręce nominatów, a pod pozorem samodzielności badawczej rozerwała więzi ludzkie. Dyskusja na ten temat wciąż trwa. Postanowiliśmy więc i my zadać wybitnym postaciom polskiej nauki (i regionu) pytanie, jak po pięciu latach oceniają Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Na ile ustawa określiła dobre, a na ile złe warunki badań i nauczania. Prosimy o podzielenie się opinią na temat stanu aktualnego Akademii (rozumianej całościowo jako szkolnictwo, nauka i środowisko), troski o jej przyszłość, a także o stan demokracji pionowej, rozumianej w kategoriach wspólnotowej obecności, którą ustawa radykalnie zawężyła. Kolejne głosy publikujemy na stronach 40–43.

Nr 7 (334). Rok XXIX. LIPIEC 2023

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

MARIAN KISIEL
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca redaktora naczelnegoTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztukaTOMASZ KOWALSKI
Redaktor technicznyKATARZYNA DZIUBAŁA
KorektaBOGUMIŁA CYROŃ
Kierownik biura

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS
JAROSŁAW KAPSA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
KATARZYNA NIESPOREK-KLANOWSKA
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
PIOTR SKOWRONEK
HENRYK SZCZEPAŃSKI
GRZEGORZ SZTOLER
JOANNA WAROŃSKA-GEŚIARZ
AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Felietoniści:

MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
RYSZARD JASNORZEWSKI
KRZYSZTOF ŁĘCKI
JAN MALICKI
JAN MIODEK
TOMASZ SŁUPIKADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
slask.miesiecznik@gmail.comDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp. j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty:

Bezpośrednio w Biurze
Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929Prenumerata roczna – 120 zł, półroczna – 60 zł, kwartalna
– 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Cena egzemplarza – 10 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
slask.miesiecznik@gmail.comCzasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1000 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 *Marian Kisiel* CZWARTA NAD RANEM
4 *Krzysztof Węgrzynek* WIERZĘ W SPRAWCZĄ MOC TEATRU. ROZMOWA Z IWONĄ WOŹNIAK, DYREKTORKĄ TEATRU ZAGŁĘBIA W SOSNOWCU I REŻYSERKĄ TEATRU NAUMIONEGO W ORNONTOWICACH
10 KOLEJNA UCZELNIA W WOJEWÓDZTWIE ŚLĄSKIM Z PEŁNIĄ PRAW AKADEMICKICH
13 *Radosław Kobierski* MAŁY CZARODZIEJ. PATRICK DOYLE Z NAGRODĄ WOJCIECHA KILARA
14 *Andrzej Jarczewski* PRZECIW ZAUFANIU I FILOZOFII DIALOGU
18 ks. *Henryk Pyka* WESELY KOROWÓD
20 *Anna Gurbicz, Witold Turant* DZIENNIK ZDRUZGOTANEGO ŻYCIA (12)
23 *Piotr Skowronek* O SZTUCZNEJ INTELIGENCJI. ROZMOWA Z PROF. MARIUSZEM WOJEWODĄ
26 *Radosław Kobierski* SZAFKA POLSKA
28 *Piotr Zaczekowski* LĘK JAKO GATUNEK LITERACKI (IV)
30 *Jacek Okoń* WITOLD ZYK (1925-2023)
40 *Adam Regiewicz* WOLNOŚĆ, PO CO WAM WOLNOŚĆ?
42 *Aleksandra Skrzypietz* W STRONĘ SPOTKANIA I WSPÓLNOTY
46 *Wojciech Lipowski* PEJZAŻ NIEWZRUSZONY
50 *Zbigniew Lubowski* JURAJSKIE RADOŚCI I SMUTKI. WYPRAWA SZLAKIEM ORLICH GNIAZD
54 *Roman Wyborski* ALLIANCE... PO XX WIEKU PRÓBA ZAPISU FRAGMENTU HISTORII
60 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* SZORSTKA POLSZCZYŻNA ŁOBODOWSKIEGO
76 *Andrzej Jarczewski* APOLOGIA KOREKTologii CZYLI JAK ZOSTAŁEM KOREKTOREM
80 NOTATNIK KULTURALNY

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 32 *Weronika Górka* LUDZIE CIEKAWSI OD BUDYNKÓW. FOTOGRAFIE MICHAŁA CAŁY
66 *Weronika Siupka* AUTO-DA-FÉ O PEWNEJ IDEI ARTYSTYCZNEJ
69 GALERIA: WERONIKA SIUPKA – GRAFIKA
III strona okładki: DEBIUT W „ŚLĄSKU”. ANNA ESNEKIER, MALARSTWO

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Wojciech Kloska* ABSOLWENT
16 *Wojciech Kloska* WIERSZE
27 *Katarzyna Zwolska-Plusa* TRZEBA JĄ KOCHAĆ. TO MATKA
27 *Anouk Herman B* MOCNO CB KOCHAŁAM
48 *Emilia Mędrzecka* WIERSZE
57 *Ryszard Częstochowski* WIERSZE
58 *Konrad Kitliński* PROZA
74 *Marian Lech Bednarek* WIERSZE
78 *Jacek Okoń* W PORZE WYPRASZANIA DZIKICH KOTÓW

FELIETONY

- 34 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ *Krzysztof Korwin-Piotrowski* CHCEMY ROCKA I WOLNOŚCI
36 ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA *Jan Miodek* CO ŁĄCZY OLŻĘ I OŁAWĘ Z ŁYNĄ?
37 WYZNANIA GÓRNOŚLĄŻAKA *Tomasz Słupik* O POŻYTKACH PŁYNĄCYCH Z OBYWATELSKIEGO SPRZECIWU
38 ZAPISKI REZONERA *Krzysztof Łęcki* BEZ MORAŁU
39 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Gerlich* „ODZYSKANY ŚMIETNIK...” I ZABÓR PRUSKI
44 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* FENOMEN PRZETRWANIA. O DEBIUCIE POETYCKIM KAZIMIERZA GOŁBY
56 NOTATNIK SPORTOWY *Ryszard Jasnorzewski* PSYCHOLOG SUFLEREM
73 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* DŹWIĘCZNA NIĆ ADRIANNY

KSIĄŻKI

- 62 *Marta Fox* TRZY ŻYCIA IRENY GELBLUM
63 *Ryszard Bednarek* SAMOSIEJKI NIE USTĄPIĄ
64 *Weronika Górka* JAWNE PORAZKI, TAJNE SUKCESY
65 *Piotr Skowronek* ŚLĄSKIE ŚWIATY POETYCKIE

Na okładce: *Adam Patrzyk*, obraz bez tytułuPismo wspierane
finansowo przez:Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
NarodowegoWojewództwo
ŚląskieKATOWICE
dla odmiany



Czwarta nad ranem

1
Lipiec. — *Lipiec* Juliana Przybosa jest jednym z jego najbardziej znanych wierszy. Stało się tak za sprawą Karola Irzykowskiego, który dał radiową interpretację utworu. *Lipiec* jest wierszem radosnym i zarazem niezwykle literackim. Najpierw widzimy uczniów, którzy wzlatują radośnie w powietrze, trzepocząc świadectwami jak chorągiewkami; potem czujemy gorące powietrze, niemalże się pocąc; potem jedziemy z nauczycielem bryczką, albo zwykłym wozem (w tzw. „deskach”), choć bryczka brzmi nobilitująco; jedziemy na wieś, pewnie do podkarpackiej Gwoźnicy Dolnej, a panu od polskiego, który jest też poetą, wszystko przedstawia się, jak w *Stepach akemańskich*: „Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi” (to Mickiewicz), „Wóz przetoczył się z nagła – i w łożynie zzieleniał” (to Przyboś). Jadąc, poeta widzi najpierw to, co jest w ruchu („bosonogiego gęsiarka”), a potem to, co trwa w powolności i spokoju („strumień”). Wydało mu się więc, że chłopczyk pilnujący gęsi „jak gdyby [...] wybiegał potoczek”. — Jak to wystawić w wierszu? „Jakże w cieniu, pod lipą – przystawieć?”. W poincju poeta przywołuje Jana Kochanowskiego i jego wiersz *Na lipę*. Od obrazu radości uczniów, przez wyobraźniową podróż jak tamta, krymska, do obrazu odpoczywającego w cieniu lipy gościa-poety. Pięknie.

2
Język. — Tadeusz Peiper wiedział, że poeta, który chce być poetą właśnie, nie może być „oblizywaczem odstawionych talerzy”. Nie może ufać żadnej formie uprzedniej, żadnemu poglądowi na świat, żadnemu słowowi. Może, jak w *Alicji w krainie czarów*, pić z zabrudzonych filiżanek, ale po co? Peiper wiedział, że każdy czas ma swoją przestrzeń, swojego bohatera, swoją nadzieję. Pierwszą wizję nazwał „miastem”, drugą – „masą”, trze-

cią – „maszyną”. Ale ostatecznie chodziło mu o język, którymi owe trzy wizje dałoby się wyrazić. — Zawsze pytamy o język. Język jest tym, co nas indywidualizuje. Jeśli nie mamy świadomości jego twórczej i niszczyielskiej siły, jesteśmy niewolnikami bezgłosu. Każdy ma prawo nami rozporządzać. Dlatego walcząc o język, walczymy o naszą podmiotowość, wolność i prawo do mówienia tego, co warto i trzeba powiedzieć.

3

Tworzenie. — Tworzyć, to być świadomym tego, co niebezpieczne. Peiper, a za nim Przyboś, twierdzili kategorycznie, że nie ma zgody na ekspresję nieświadomości, na utudę umysłu, która ma (obie mają) podobno uwyrażniać nasz związek z tym, co irracjonalne lub metafizyczne. Sztuka słowa – pisali – jest bezustanną pracą łączenia słów, które – spokrewnione z sobą – przenoszą nas z rzeczywistości realnej w rzeczywistość sensów niejawnych. Nie utuda, nie nieświadomość, nie natchnienie, nie wreszcie improwizacja, ale świadomość celów, znajomość reguł tworzenia i niezgoda na bylejaką ekspresję są podstawą dobrej poezji. — Metafora, a nie porównanie; przenośnia, a nie alegoria; ekonomia wyrazu, a nie gadulstwo, pseudonim, a nie słowo rzeczywiste; wstyd uczuć, a nie wiadro łez – to czyni poezję *nowoczesną*. — Wydawałoby się, że jest to rzecz oczywista. Ale sięgnijmy do wierszy konkursowych, by zobaczyć, że wcale tak nie jest.

4

Różewicz. — Pisać wiersz, zmieniać go, poprawiać to rzecz normalna. Poszukiwanie odpowiedniego słowa, jakiejś formy wyrazu, może nawet zderzenia słów, które same sobie powinny się dziwić, albo takiej metafory, która metaforą być nie chce, to – wiemy o tym – ustawiczna praca poety. U Różewicza dochodzi do głosu jeszcze niechęć do ostatecznej całości, pragnienie fragmentaryzowania, które najlepiej, żeby takim się nie ujawniało. Napisał o poezji: „Ona wychodzi ze mnie, ja wydobywam się z niej, z trudem zrzucam to, co całymi latami w ciężkim trudzie utkałem, ułożyłem, zbudowałem. Widzisz, gdzie się znalazłem? Nie chodź tam ze mną”.

5

Nauczanie. — Ucząc, sam się uczę, odkrywam nowe pokłady znaczeń, tam, gdzie ich wcześniej nie dostrzegałem. Czytając te same wiersze przez kolejne dziesięciolecia, zdumiewam się, że wciąż mnie zdziwiają rymem, rytmem lub ich destrukcyjną niezgodą na rym lub rytym. Wiersze, zapraszając do rozmowy, powiedziałaby Przyboś, zmuszają nas, abyśmy odkryli dzięki nim nową sytuację liryczną. Czym ona jest? Przyboś nie wiedział, podobnie i my nie wiemy. Ale wiemy, że wchodząc po raz kolejny w świat pozornie nam zna-

ny, odkrywamy nową sytuację społeczną, moralną lub każdą inną. I zastygamy w zdumieniu, że wszystko już w tym wierszu odkryliśmy, ale nie na tyle, iżby nas to zajęło. Ucząc czytania wierszy, zdumiewamy się, jak wiele przed nami, jak wiele trzeba jeszcze włożyć sił, pomysłów, lektur, żeby wielokrotna lektura mogła przed nami wreszcie rozbłysnąć pełnią jasności. Rozbłyśnie? Nie, nie rozbłyśnie. Za jakiś czas staniemy tak samo zdumieni przed wierszem, jak dzisiaj.

6

Poezja i teologia. — Lektura wiersza jest czynnością delikatnej wyobraźni. Nawet wtedy, kiedy mamy do czynienia z niewprawnym poetą, który wplata do swojej wizji jakieś słowo, a nie w pełni rozumie jeszcze jego znaczenia, więc nawet wtedy odnajdujemy się w świecie rozsądnym i pełnym. Kiedy jednak wiersz sięga wymiaru teologicznego, wówczas nie ma słów niejasnych, wszystkie są konkretne i zdążają ku jasności. „Teologia – pisał Geršom Scholem – [...] stawia odwieczne pytania o miłość i wolę, o mądrość i zdolność, o sąd i miłosierdzie, o sprawiedliwość i śmierć, o stworzenie i zbawienie”. „Pisanie – dodawał w komentarzu do Scholema Adam Lipszyc – rozcina, kwestionuje, zniekształca, spektralizuje struktury teologiczne, czasem jednak – poruszając się pośród ruin i widm, w zamieci ironii i zaprzeczeń – na nowo próbuje też niemal niemożliwego gestu transcendencji”. Pisanie jest więc zdążaniem ku jasności, nawet wtedy, kiedy zapętłają się sensy i rozczłonkują pojęcia.

7

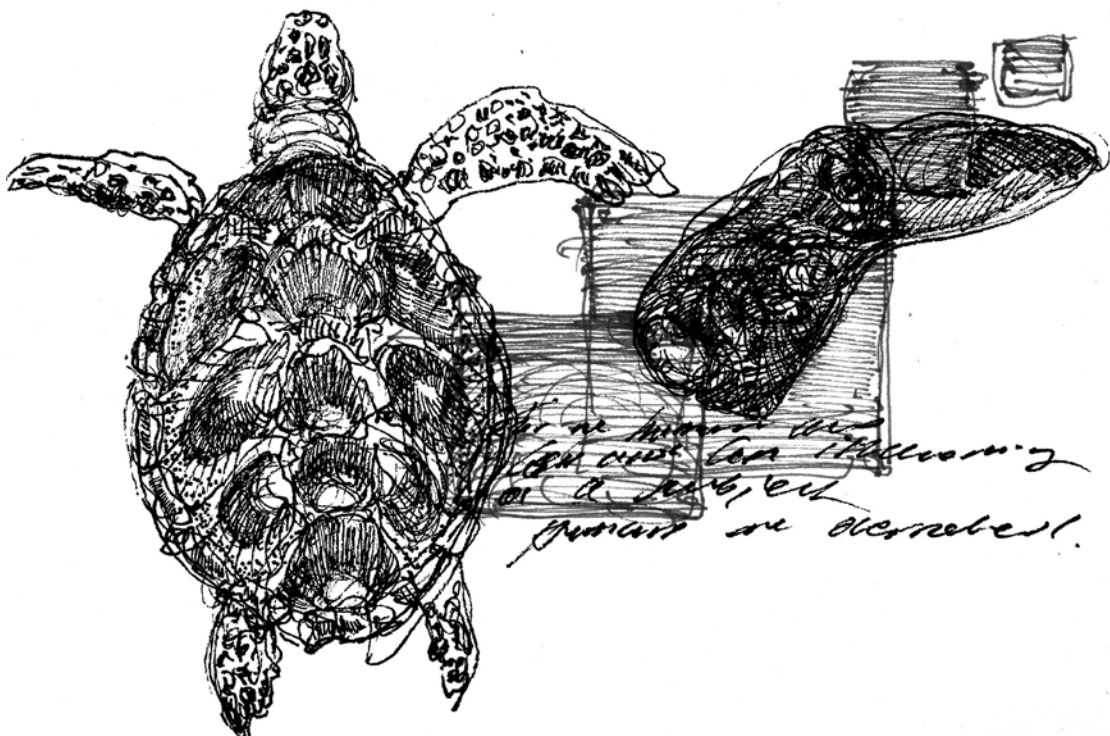
Myśl miesiąca. — „Wiersze potwierdzają istnienie, po swojemu bronią przed śmiercią, chcą przekroczyć to, co nieprzekraczalne. Dążą ku temu, co ostateczne. Poezja otwiera, uwewnętrznia – czy swoicie problematyzuje – wartości takie, jak patriotyzm, religia, Bóg. Nawet w życiu ginie się dla nich, wiara w nie – jak wszelka rzeczywistość wiara – pozostaje pytaniem i nadzieją. Poezja może jednak w tej sferze działać, pamiętajmy, dwojako. Albo konwencjonalizuje, nadaje znany rytm przywołujący znane sytuacje, jak majowe nabożeństwo czy ułański patrol. Tego zresztą oczekujemy od wielu z ulubionych wierszy, chcemy poprzez nie znaleźć się w obrzędzie, poczuć łągodną wspólnotę. Szukamy w wierszach otuchy, tak jak szukano jej w nich niejednokrotnie. [...] Ale także poezją wchodzimy odważnie w głąb myśli, sumień, wzruszeń, gdzie nikt inny wprowadzić nie zdoła, gdzie jest się samotnym i gdzie prawdziwy, także burzliwy wiersz przynosi pokój spełnienia” (Jacek Łukasiewicz, *Złota księga wierszy polskich*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2007, s. 10).

Marian Kisiel

Absolwent

ledwo czytał
 między wierszami
 choć kilka z nich
 dobrze wykuł na pamięć
 ćwiczony pałami
 interpretował je podręcznikowo
 zamiast wrywać się z pytaniami
 nauczył się trzymać język za zębami
 miał swoje kółko zainteresowań
 nawet celował w jakimś przedmiocie
 reszta była tylko kwestią czasu
 a ten bardzo mu pomógł
 zaliczyć kolejne klasy i szkoły
 zatem w teorii był całkiem gotowy
 by stanąć oko w oko
 z prozą życia
 w końcu tyle razy widział
 jakiś dramat albo kryminał

skąd miał wiedzieć
 że najłatwiej się nabierze
 na zwykłe bajki



rys. Bogna Skwara

Czy Zagłębie Dąbrowskie jest *nikaj*, a Górny Śląsk jest *kajś*?

(*śmiech*) Myślę, że możemy to absolutnie odwrócić. Wręcz *nikaj* na Górnym Śląsku wydaje mi się bardziej adekwatne niż *kajś* w Zagłębiu. Zagłębie zawsze znajdowało się w strukturach państwa polskiego, a Śląsk wiele wieków poza nim. Śląsk jest dla mnie czymś odrębnym, czymś kompletnie innym i niebywałym: miejscem nagromadzenia i skumulowania różnych kultur, czemu przyglądam się w moim Bujakowie, w Ornontowicach, w Mikołowie, w małych społecznościach, gdzie jeszcze tkwi rdzeń tego, co było pierwsze. Zatem kolejność może być odwrotna.

Jako reżyserka Teatru Naumionego z Ornontowic, a jednocześnie dyrektorka Teatru Zagłębia, czuje się Pani budowniczką mostu?

Hm. Nie wiem. To czas pokaże, czy ten most udało się zbudować.

A czy ten most jest w ogóle potrzebny? Jest jeszcze jakaś granica?

Myślę, że taka granica jest, więc i most jest potrzebny. Jest zdecydowanie wyraźna, mimo tego, że chcemy bardzo wierzyć, iż już nie istnieje. Na początku naszej pracy przeprowadziłam razem z moim zastępcą, Jackiem Jabrzykiem rekonesans w środowisku artystycznym, kulturalnym, edukacyjnym. W zaprzyjaźnionych liceach pytaliśmy młodzież w wieku 15–18 lat, czy taka granica jeszcze istnieje i jak się do tego odnoszą. Słyszeliśmy wtedy głosy w rodzaju: „Oni są tacy inni”, „Oni tak jakoś beblają”... I te nasze badania doprowadziły nas do projektu „Zagłębie//Śląsk”. Tak zapoczątkowaliśmy *Nikaj* i szereg działań kulturalno-artystycznych oraz konferencję, która była tej sprawie poświęcona. A to na pewno nie jest koniec naszych działań. Za chwilę ogłaszamy kolejną konferencję, na której będziemy rozmawiali o funkcji języka śląskiego. Bo postrzegam teatr jako miejsce, gdzie rozmawia się o rzeczach trudnych, ale i ważnych dla danej społeczności, a ta społeczność znajdująca się na granicach jest niezwykle interesująca. Z tego projektu wyrasta kolejny: wspólne ubieganie się o miano Europejskiej Stolicy Kultury. Jestem także dumna z faktu, iż kongres kultury województwa śląskiego odbędzie się w Sosnowcu, między innymi w Teatrze Zagłębia.

Teatr musiał animować te rozmowy? Czy włączył się do nich?

Z jednej strony wpisaliśmy się w dyskurs, który prowadzony był chyba przede wszystkim na płaszczyźnie historycznej, z drugiej trochę go cały czas prowokujemy i będziemy prowokować. Teatr historii lokalnych jest dla nas bardzo



Wierzę w sprawczą moc teatru

Z IWONĄ WOŹNIAK, dyrektorką Teatru Zagłębia w Sosnowcu i reżyserką Teatru Naumionego z Ornontowicach rozmawia KRYSZTOF WĘGRZYNEK

istotny, ponieważ porusza kwestie „tu i teraz”, ale jak doskonale wiemy, one są bardzo uniwersalne. I możemy się w nich przejrzyć po prostu.

A propos tych wzajemnych relacji... Proszę mi przypomnieć, jaki był wynik meczu piłkarskiego pomiędzy reprezentacją Teatru Zagłębia a zespołem Teatru Śląskiego?

Dwóch meczów! Pierwszy wygrał zdecydowanie Sosnowiec. Mieliśmy wtedy bardzo dobrą drużynę, którą mocno zasilali nasi aktorzy. Niestety, w drugim meczu było gorzej, bo zostało to tak ustawione (*śmiech*), że byliśmy w trakcie prób i stąd niekorzystny wynik.

Czyli jedno zwycięstwo po stronie Zagłębia, jedno po stronie Śląska?

Tak. I teraz czekamy na trzeci, decydujący pojedynek.

Zatrzymaliśmy się na moście nad Brynicą. Proponuję, żebyśmy przeszli najpierw na śląską stronę. Zajrzyjmy do Ornontowic. *Kopidoł* Teatru Naumionego to dla mnie jeden z najbardziej poruszających śląskich spektakli. Poczuję się jak w teatrze śmierci Tadeusza Kantora. Ale Pani na scenie chyba nie ma w czasie przedstawienia? Nie, nie, nie zamierzam! Ale dziękuję, że wspomniał Pan o Tadeuszu Kantorze, o jego teatrze śmierci. Kantor jest dla mnie mistrzem, na którego często się powołuję.

Proszę powiedzieć, jak się dochodzi z teatrem amatorskim do takich efektów?

Zacząłabym od tego, że mamy tu do czynienia z teatrem indygenym. To jeden z rdzennych teatrów śląskich. Pierwszy taki teatr powstał w Suszcu, w 1999 roku, w 2004 w Ornontowicach, potem kolejne... To jest takie dobro, jakie my posiadamy na Górnym Śląsku – a mówię to także jako badacz tego zagadnienia – że nie zdajemy sobie z tego do końca sprawy.

A możemy przecież sięgnąć jeszcze głębiej, do teatrów okresu plebiscytu, nawet do czasów Karola Miarki...

Oczywiście. Ale pokazujemy, czym się one różniły. Bo przeglądając teksty międzywojenne dotyczące Śląska i pisane po śląsku, zauważamy, że używano w nich gwary czy języka w sposób dość zabawowy. Dzisiaj teatry mają dostęp do ogromu tekstów, które są dla nich pisane i mam na myśli nie tylko te związane z *Jednoaktówką po śląsku*. Bo jest też sporo tekstów pisanych bezpośrednio dla zespołów teatralnych. Ta cała społeczność jest bardzo liczna. Z Naumionym jest związanych czterdzieści osób, widzów – jak wynika z naszych statystyk – jest rocznie kilkanaście tysięcy! A przecież swoją publiczność mają i teatry z Rydułtów, z Suszca, z Bierunia, z wielu miejsc. Teatr Naumiony to jest grupa fenomenalnych aktorów-amatorów, naturszczyków. Pytał pan, jak się do tego dochodzi? Recepta jest prosta – nie przeszkadzać. Wybrać temat, który jest nam wszystkim bliski, temat, który przepracowujemy, o którym możemy rozmawiać. Ja pracuję metodą etnoteatru. Pozornie bardzo prosta – trzeba sobie dać dużo czasu na rozmowy, na badania tematu, z którym się mierzymy. *Kopidoł* powstał prawie trzy lata.

Przypomnijmy, że autorką tekstu jest Joanna Sodzawiczny.

Tak. Joanna razem z grupą te teksty

zbierała, obrabiała, opisywała, a potem razem budowaliśmy kolejne sceny. Dla mnie najważniejszym walorem tego spektaklu są obrzędy, które tam zawarliśmy, pieśni, które się tam jakoś odnalazły... Bo ja się bardzo dużo uczę od artystów tego teatru – to oni są zbieraczami historii lokalnych, będąc tam na miejscu – choć ja mieszkam obok, w Bujakowie, więc też jakoś odtwarzam swoje dzieciństwo – przywołuję pewne obrazy... One są nieodłącznie związane z postacią bardzo dla mnie ważną – *starką*, która przez obrzędy pogrzebowe – mówiąc kolokwialnie – mnie przeciorała. Bywałam na wielu pogrzebach z babcią, bo wręcz musiałam jej towarzyszyć...

Godaliście ze starkom?

Ja, my ino godali. I u mnie w domu – w rodzinie matki – ino się godo... Wracając do tematu. Jeśli taki materiał przynoszą ludzie z innej wioski i materiał jest jeszcze szukany wśród najstarszych członków społeczności, a z tego snuje się opowieść to musi być autentyczna. Po prostu jest. To nie jest odtwarzanie czegoś. Oczywiście – jak mówi prof. Dorota Fox – robicie z tego taki fajny remiks, wymieszanie tych różnych elementów... Ale ona też mówi, i ja ją często cytuję: „Nie trzeba ich zmieniać”. Trzeba ich tylko odpowiednio osadzić, dać im role, które są trochę jak w komedii dell'arte. Jest jeden „dziadek” w naszym teatrze, „ciotka”, „matka” są czasem wymienne, żeby się w końcu nie znudziły, ale zawsze są obsadzone po warunkach; ich nie trzeba jakoś specjalnie uczyć. Bo ja też nie czuję się na tyle silna, żeby ich uczyć. A raczej jakoś sterować, żebyśmy wszyscy czuli się w tym rodzinnym teatrze dobrze. A ta indygenność to jest język, to jest tradycja, to jest tożsamość, która się pojawia we wszystkich spektaklach.

Na próbach się godo, albo się rozmawia?

Ja, godo się! Czasami na próby przychodzi tzw. gorol, ale – podkreślam to zawsze – towarzyszy nam zawsze rodzaj inkluzywności, otwartości: każdy ma swoją specyfikę, każdy ma swoje miejsce i ten przysłowiowy gorol także. Jego się od razu obrabia, robi się z nim cuda. I godo się: „Ja, to ty zagrosz tego...”. Może go to jakoś stygmatyzuje, ale on też ma prawo powiedzieć nie... Mamy na przykład w zespole pana Józka, najstarszego, 84-letniego aktora, który mówi: „Jo tu już dłużej mieszkam na tym Śląsku niż wy, niż ty, a tyś się jeszcze wtedy nie urodził. No to jo tu nie byda tyn gorol. Dejcje mi tu kogoś innego”. No i tak się wydarzyło rzeczywiście.

A co się dzieje w rodzinnym teatrze, kiedy odchodzi taka postać, jak pan Stefan Owczarek.

Trudno mi o tym mówić, po dwóch latach... Tak, to dwa lata i dwa miesiące. Jest dokładnie tak, kiedy się traci członka rodziny. I to ojca tego teatru, założyciela, człowieka niesłuchanie zdolnego a jednocześnie pokorne go w stosunku do tego, co on zrobił swoją pracą w teatrze i w całym środowisku. Był takim wielkim lokalnym społecznikiem zaangażowanym w wiele spraw. Dobrym człowiekiem po prostu... Tak, to była dla nas niebywała strata, ale doszliśmy do wniosku, że trzeba to kontynuować. Zresztą sam nas do tego zobowiązał. Jakoś tydzień przed śmiercią powiedział mi: „To musi trwać. Pamiętaj musimy to trzymać”. I już po jego śmierci stało się coś niezwykłego. Pojawił się – może to za sprawą pana Stefana – pan Lucjan Noras. Spotkałam go u... kosmetyczki. Ta mi powiedziała, że za chwilę przyjdzie pan, który jest żywo zainteresowany Teatrem Naumionym; który chciałby uczestniczyć, ale nie wie, jak to zrobić. I rzeczywiście przychodzi człowiek, który może wyglądem nie przypomina pana Stefana, ale jest w jego wieku, siada obok mnie i opowiada mi o wszystkich spektaklach teatru: był na *Kopidole* kilkanaście razy, na *Szacu* kilka razy i zna scenariusze... Bardzo mnie to ucieszyło, za prosiłam go na próby. A teraz, budując rolę po swojemu, jest we wszystkich spektaklach.

Czyli gracie jeszcze *Kopidoła* i *Szaca*? *Kopidoł* cieszy się niesłabnącym powodzeniem.

W ogóle mnie to nie dziwi. A to tylko jeden przykład. Twórcy ornontowickiego teatru pokazują na scenie różne oblicza śląskości. To rozpisany na lata program? Czy raczej naturalne następstwo kolejnych wybieranych wątków i tematów?

Jeśli miałabym mówić o programie, czy nawet – jak to w teatrze nazwaliśmy już 15 lat temu – manifeście...

...czy on jest jakoś podobny do Manifestu kontrrewolucyjnego Jacka Głomba?

Tak, to jest dobry trop. Manifest polega na tym, że my mówimy o Śląsku i po śląsku, a dla nas zdecydowanie – w języku śląskim. A tych tematów, lokalnych opowieści jest mnóstwo po prostu. Wybór tematu wynika z jego nośności w danym momencie, z jakiejś sytuacji społeczno-politycznej, z powstających wokół tego emocji. Ale musi z tego powstać opowiadanie z trzewi, z potrzeby serca. Weźmy *Szaca*. Wiemy wprawdzie, kim jest

główny bohater, ale dla mnie jest to przede wszystkim opowieść prowadzona przez pryzmat kobiet, siedzących matroszek, bab z czterech różnych regionów Śląska. Są to też kobiety zastygłe, skrupowane w jakiejś pozie, a to przecież z nich wychodzą kolejne pokolenia.

Mnie się to skojarzyło z jakimś antycznym chórem.

Tak. Ja bym powiedziała, że to jest jakiś monolit. Odnosząc go do tego stereotypu, może mitu matki-Ślązaczki, tej, która siedzi w domu, która powinna wyzbyć się wszelkich swoich ambicji osobistych, swojej pracy niezwiązanej z domem. A to przecież ta kobieta rodzi, ta kobieta wydaje na świat kolejne pokolenia, ta kobieta musi być przecież niebywale silna. Na pewno więc motyw kobiety oglądanej z wielu perspektyw pojawia się w każdym przedstawieniu. Także w kolejnym. Nie mogę teraz zdradzić...

Czyby chodziło o tekst Darii Sobik, która dla Teatru Zagłębia napisała sztukę *niezgoda.jpg*? Staje się taką kolejną budowniczką mostów? Teraz pisze dla Naumionego?

Tak... Ale chciałabym jeszcze wrócić na chwilę do manifestu. Teatr Naumiony nie będzie niczego odtwarzał, nie będzie grał teatralnej klasyki po śląsku, bo przecież dorastają historie lokalne, czekając na swoich dramaturgów. Muszę wyraźnie przyznać, że nie wszystkie historie są budowane zespołowo, że są tematy położone na stół... Wybieramy temat, wokół którego powstaje dyskusja. Temat, który...

...jako rezonuje w społeczności?

Sytuacja, o której mówię dotyczyła właśnie *Kopidola*. Kiedyś przyszłam i powiedziałam: „Słuchajcie! Porozmawiamy o śmierci. Po prostu porozmawiamy o czymś, co ginie, o tej tradycji, która jest wyparta”. No i było duże przerażenie. A dopiero w trakcie roboty warsztatowej... Jest w *Kopidole* taka scena wykręcania szmaty. Mnie ten dźwięk boli, fizycznie mnie boli, kiedy Jola wykręca te szmaty, kiedy kapie. I w tym momencie na próbie, kiedy ta scena powstawała, rzeczywiście przełamaliśmy się wszyscy. Przyszła świadomość – tak, to jest potrzebne. Widocznie taki proces zespołowego wylaniania tematów nie zawsze kończy się sukcesem.

Czy to nie reżyser jest głównym artystą teatru?

Ja trochę inaczej pojmuję rolę reżysera w teatrze zawodowym, a inaczej w amatorskim. To jest inne budowanie zespołu i prowadzenie tego procesu.

Wróćmy do roli Darii Sobik.



Nikaj

Daria pochodzi z Wodzisławia Śląskiego. Jest młodą dramaturżką, już bardzo utytułowaną i bardzo zainteresowaną Śląskiem. Znamy się już od kilku lat, ale dopiero niedawno poprosiłam ją, żeby opowiedziała o Śląsku przez pryzmat młodzieży; napisała tekst o tym, co oni dzisiaj czują, jak z tym rezonują, czy jest im z tym dobrze, czy wstydzą się tej przynależności. Chcielibyśmy opowiedzieć szczerze, bez kompromisu. I nie mówmy, że młodzież musi utożsamiać się ze Śląskiem. Dzisiaj w dobie globalizacji sądzę, że nie musi, że to ma być ich naturalny wybór. Jeśli jest, to spróbujmy o tym opowiedzieć. Jeśli tego nie ma, to powiedzmy o tym też głośno. Bardzo jestem ciekawa tego tekstu, który niebawem ma do mnie dotrzeć.

A czy byłoby możliwe tego typu przedstawienie grane w sosnowieckich szkołach, jakim jest *niezgoda.jpg* Darii Sobik, w szkołach śląskich?

Tak. A ten spektakl – dodajmy – otrzymał dofinansowanie w programie Teatr Polska.

Gratuluję podwójnego sukcesu, bo tym dofinansowaniem został również wyróżniony spektakl *Last Minute* Teatru Naumionego.

Bardzo dziękuję i bardzo się cieszę.

To projekt wielce pedagogiczny...

Właśnie! Bo ja przyszłam do teatru jako pedagoga-teatrolożka. I to jest moje główne wykształcenie. Nie kończyłam stacjonarnych studiów reżyserskich, tylko wiedzę o teatrze w Akademii Teatralnej w Warszawie. Skoncentrowałam się na pedagogice teatru, edukacji, budowaniu społeczności. Mój zastępca jest reżyserem po krakowskiej szkole teatralnej... Tę pedagogikę teatru, która raczkuje w polskich teatrach, raptem w kilku miejscach, mocno tutaj zakorzeniliśmy.

To także zasługa Agaty Kędzi, pedagogiki teatru.

Tak, bardzo się cieszę, bo to jest młoda dziewczyna, z ogromnym potencjałem, wiedzą na ten temat, kształcąca się w tym kierunku. A pracy jej nie brakuje bo, jak Pan wie, mamy tych zadań bez liku: szkoły, klasy partnerskie, lekcje teatru, prowadzone przez naszych aktorów...

Jak *niezgoda.jpg* funkcjonuje w szkołach?

Na *niezgodę* czekaliśmy jakiś czas, bo oczekiwaliśmy na dofinansowanie z Ministerstwa Kultury. A jak funkcjonuje? To jest niebywale! Aktorzy wchodzą do klas i opowiadają zbraną w czasie warsztatów historię młodych ludzi, przełożoną przez Darię na świetny tekst. Opowiadają o nich po prostu.

Sztuka jest grana w klasie?

Tak, jest grana w klasie. Opowiadam o tym z dużym wzruszeniem. Przecież każdy z nas pamięta tzw. spędy na salach gimnastycznych, gdzie rozstawiano parawanik i próbowało nam wmówić, że to jest teatr. I po tej traumie wiele osób do teatru nie wróciło. A ja tu bardzo chciałam, żebyśmy stanęli naprzeciw młodym ludzi i im powiedzieli: „Słuchajcie, teatr wam coś może dać, może czegoś dotknąć, może coś zmienić. Możecie się nie zgodzić, możecie powiedzieć: Nie, to dla mnie za trudne”. Dlatego po tym spektaklu, który trwa 45 minut, mamy przerwę, a potem kolejne trzy kwadranse z udziałem pedagoga i psychologa, żeby ten proces był pełny, żebyśmy ten temat trudny dla tych młodych ludzi – bo ta *niezgoda* dotyczy publikacji w Internecie zdjęcia klasowej pary, która przez to doznaje jakiegoś napiętnowania. I to jest temat młodych ludzi. Będziemy ten spektakl

grali w kolejnym sezonie, bo on się cieszy jakimś niesamowitym zainteresowaniem. My jeździmy z nim po najbliższej okolicy, a dzięki dofinansowaniu z projektu Teatr Polska trafimy do tych miejscowości, o które pan pytał – będziemy w Mikołowie, Rydułtowach...

A tekst Darii Sobik dla Naumionego będzie pisany po śląsku?

Tak myślę, choć nie wiem, czy tekst będzie w całości po śląsku...

Efektom projektu „Zagłębie//Śląsk” opartego na współpracy Teatru Zagłębia i Teatru Śląskiego są wspólne dwie premiery *Nikaj* (2021) oraz *Węgla nie ma* (2022). Czy Pani zdaniem one rozbroiły już zupełnie śląsko-zagłębiowskie stereotypy? Ponoć widzowie oglądający *Nikaj* w Sosnowcu śmieją się w innych momentach, niż publiczność katowicka?

Tak. Warto przyjechać tutaj, do Teatru Zagłębia... Bo to jest nawet na jednej sali niesłychane, że jedna część recho-cze, a druga ogląda w skupieniu. Tak jest zbudowany fenomenalny tekst Zbyszka Rokity. A mój ulubiony fragment to ten, który opowiada o krzywdach wyrządzonych Zagłębiakom przez Ślązaków. Ja się bardzo cieszę, bo ten spektakl przyciągnął do Sosnowca bardzo dużo osób z Górnego Śląska. I wielu mówi „Ja bym nigdy nie przyjechał do Teatru Zagłębia, ale chciałem zobaczyć spektakl, o którym już tyle słyszałem”. Wiadomo Zbigniew Rokita, autor *Kajs*, jednej z najważniejszych książek o Górnym Śląsku.

Dla mnie też!

A w dodatku mamy inny spektakl *Węgla nie ma*. Pokazany kompletnie innymi środkami: prostotą, minimalizmem. Ze świetnymi rolami Grażyny Bułki i Marcina Gawła.

No i Michała Majnicza!

Tak! Michał Majnicz to dla mnie po pro-

stu zjawisko. Z Michałem spotykałam się w studium teatralnym przed dwa lata. To w tej chwili jeden z najważniejszych polskich aktorów. Uderza jego siła i wyrazistość w pierwszym monologu i w całym zresztą spektaklu. Mogę więc głośno i wyraźnie powiedzieć, że jestem niebywale dumna z tego projektu i mam nadzieję na kontynuację, bo uważam, że on rezonuje, że zrobił wiele dobrego, że uruchomił wiele tematów. No i sama ostatnia konferencja, rozpoczynająca starania o Europejską Stolicę Kultury sprawia, że spotykają się politycy, że spotykają się ludzie kultury i sztuki. Także na scenie Teatru Zagłębia, bo ciągle uważam, że to kultura może być takim spoiwem.

Chcę jeszcze wrócić do tych różnych wybuchów śmiechu na *Nikaj*. Czy nie jest tak, że nie-Ślązacy śmieją się po prostu z samej *godki*? Natomiast może Ślązaków boleć śmiech, kiedy po śląsku opowiada się o czymś poważnym. Czy tak tutaj było przy *Nikaj*?

Tak bywa... Ale może opowiem o kulisach powstawania spektaklu. Był taki moment, kiedy zaczynaliśmy próby w Sosnowcu, gdy przyjechali aktorzy z Katowic i po raz pierwszy był czytany tekst. W trakcie tych prób było słyhać kwestie czytane przez aktorów w wielu miejscach w teatrze, także na portierni. I było też słyhać pytania aktorów z Sosnowca „Jak? Z takim tekstem? Tutaj? Po śląsku? Przecież nikt nie zrozumie”. A wtedy nasz portier, który jest Zagłębiakiem z dziada pradziada mówi: „Ale ja wszystko rozumiałem”. I ta wypowiedź rozładowała to napięcie. Ale oczywiście mieliśmy obawy z przyjęciem, że zrozumieniem tego spektaklu tutaj. Cóż powiedzieć? Język śląski ma taki, a nie inny zaśpiew, ma taką, a nie inną, na pewno i czeską, melodykę, ma takie, a nie inne słowa, które śmieszą, które nawet

prowokują. To wszystko powoduje, że uśmiechamy się też sami. A przy tym nie pomagają nam sytuacja polityczna i śląski nie jest uznany za pełnoprawny język. I myślę, że ta sytuacja to jest duże osłabienie *godki*.

Czy z tych inicjatyw wynika, że kieruje się Pani i ludzie, z którymi Pani pracuje, przekonaniem, iż teatr ma jakieś obowiązki wobec miejsca, w którym znajduje się jego siedziba?

Myślę, że to jest jedno z zadań teatru zawodowego, jedyne teatru miejskiego w tym mieście, bo wiele mamy zadań. Bo wystawiamy przecież i klasykę, i spektakle dziecięce, moim zdaniem mamy bardzo bogaty repertuar. Natomiast dla mnie jedną z funkcji bardzo istotnych, w dobie posthumanitarnej, w dobie odradzających się kultur, jest podtrzymanie lokalnej opowieści... Przepraszam bardzo...

(Z zewnątrz dobiega hałas – zaczynają się prace budowlane. Pani Dyrektor zamyka okno).

Czy to już budowa nowej siedziby?

Nie, ale jesteśmy w fazie projektowania. Ma powstać nowa siedziba teatru, miejsca, w którym moglibyśmy przyjąć kolejnych wariatów teatralnych, kolejnych ludzi, którzy chcą doświadczać i ten teatr tworzyć, współtworzyć, tu być. Więc będą miejsca i oddane edukacji, kilka sal teatralnych i dla nas bardzo ważne archiwum, które chcemy otworzyć – oprócz cyfryzacji, którą teraz robimy razem z Biblioteką Śląską – będziemy miejscem dla naukowców i naukowców, którzy będą mieli bezpośredni dostęp do dokumentów. Nie trzeba będzie czekać kilka tygodni czy nawet miesięcy, by wydobyć coś z tych archiwaliów teatralnych. Więc chciałabym, żebyście Państwo trzymali za nas kciuki.

Jakie są perspektywy czasowe tego przedsięwzięcia?

Zobaczymy. Mam nadzieję, że kolejny sezon będzie ostatnim w starym budynku.

Wobec tego trzymamy kciuki. A wracając do kwestii odradzania kultur poprzez teatr...

Właśnie! Stosunkowo niedawno, w 2018 roku i przez kolejne lata, miałam możliwość uczestnictwa w wyprawie kulturalno-naukowej, podczas której przebywałam przez kilka miesięcy u rdzennych mieszkańców Kanady. Indianie Rodu Cree w rezerwacie „Poundmaker” poprzez teatr próbują się odradzać, odbudować tę niebywale zniszczoną kulturę, zniszczony język. W zasadzie odtwarza się go, buduje niejako na nowo z resztek, które zostały. Wła-



śnie to doświadczenie bardzo mocno ugruntowało moje przekonania, które mam w sobie od wielu lat, że kultura ma taki obowiązek, a teatr ma takie narzędzia, którymi się może posłużyć i może sprowokować kluczowe rozmowy.

Przykładem takiej rozmowy tutaj, w Sosnowcu, jest zapewne niezwykły spektakl *Środula. Krajobraz Maus* inspirowany komiksową opowieścią Arta Spiegelmana.

Tak, *Maus* jest taką rozmową. I taki temat historii lokalnych na pewno będzie tu kontynuowany. Niebawem, pod koniec kolejnego sezonu, będziemy tu mieć – nie chcę jeszcze niczego zdradzać – dość duże wydarzenie. Ale to również będzie historia lokalna. A *Maus* jest opowieścią o dzielnicy Sosnowca, Środuli. To jest zwyczajne blokowisko, po którym chodzą zwyczajni i wspaniale ludzie, a niektórzy z nich trafiają na nasz spektakl. Po jego zakończeniu podchodzą do mnie z płaczem i mówią, że nie znali tych historii, a mieszkają na Środuli od 20–30 lat i nie mają świadomości, że tutaj wydarzyły się takie rzeczy... Mówimy o tragedii Żydów w dużych miastach, mówimy o getcie warszawskim, zapominając o tym, co mamy tutaj. Ale społeczność żydowska w Sosnowcu – moglibyśmy o tym przecież długo rozmawiać – to jest część tego miasta, bardzo istotna, jeśli chodzi o Sosnowiec. Bo ten teatr został zbudowany, między innymi przez Żyda... Tak, więc jeśli mam powiedzieć o swoich przekonaniach, to jestem absolutnie pewna, że teatr ma opowiadać o historiach lokalnych, że teatr ma możliwość zmiany.

Spektakl *Maus* jest częścią większego projektu. Towarzyszą temu spacer historyczne, spotkania, wykłady. Z jakim odzewem spotkały się Państwa inicjatywy?

Ja tu jestem cały czas zdumiona. Wszystkie spotkania towarzyszące cieszą się jakimś niebywałym zainteresowaniem. Po Środuli, w listopadowe niedzielne przedpołudnie, maszeruje po 180–190 osób. Na wykładach, które dotyczą tego miejsca, mamy pełną salę. My te wykłady zaczęliśmy na górnym foyer, zakładając, że na tego typu wydarzenia trafia zazwyczaj 20–30 osób, a my mamy prawie 200 osób – pełną widownię. Więc i te wykłady, i koncert, który się odbył, i spacer – to wszystko tworzy społeczność wokół tego tematu. I takim projektem zawsze towarzyszy konferencja, która jest swego rodzaju podsumowaniem naukowym przedsięwzięcia.

Zróbmy jeszcze krok wstecz. W jaki sposób Iga Gańczarczyk, autorka dramatu, tworzyła tę opowieść. Mam na myśli także te materiały filmowe, które widzimy w czasie spektaklu... Czy ta historia powstała wraz z penetracją historii tego miejsca, z rozmów z mieszkańcami, tak jak powstają spektakle w Ornontowicach?

Tak. Bardzo podobnie. To był długi, może nie tak długi jak w Ornontowicach, proces. To była kilkumiesięczna praca dramaturżki z mieszkańcami miasta, z historykami, ze znajomymi, bo Iga – i to bardzo pięknie wychodzi w spektaklu – jest środulaną. Opowiada tę historię także przez pryzmat swoich prywatnych doświadczeń.

To ona jest narratorką, która pojawia się na scenie?

Tak. To Iga wpisała się w tę opowieść... Powiedzmy jeszcze o fenomenalnych badaczach lokalnych, którzy spędzili przy tworzeniu tego spektaklu wiele godzin. Robiliśmy np. akcję zbierania zdjęć ze Środuli. Dostaliśmy kilka tysięcy zdjęć! Staramy się od samego początku powstawania projektu dawać sygnały, że taki spektakl powstaje, że możecie być współtwórczyniami i współtwórcami tego wydarzenia, podzielcie się swoimi historiami... Nie zawsze wszystkie wchodzą do spektaklu, ale to jest cały zasób wiedzy, który przy tej okazji gromadzimy.

A performance Natalii Bieleckiej, która przeszła przez obszar dawnego getta na Środuli był dla mieszkańców szokiem. Czy byli o nim powiadomieni?

Dla mieszkańców to mogło być szokowanie.

Ta scena malowania linii, sfilmowana i wyświetlana w czasie spektaklu, jest bardzo długa. Czy ktoś przeszkadzał aktorze w tym działaniu?

Nie, nie było żadnych ekscesów. Wręcz odwrotnie – ludzie przechodzili trasę tej linii.

Została ta linia?

Nie. Ona została zmyta, bo to była farba ekologiczna. Natomiast zaznaczenie tego terenu i przekazanie tej wiedzy, robi się wręcz ścieżką można powiedzieć edukacyjną, którą można przejść, żeby zobaczyć, jaki to był obszar, co tu się wydarzyło.

Przypomnijmy jeszcze, że Remigiusz Brzyk, reżyser tego spektaklu, jest swego rodzaju twarzą teatru lokalnego. By wspomnieć chociażby kultowego *Korzeńca* na podstawie powieści Zbigniewa Białasa.

Tak. Właśnie dlatego zaprosiliśmy Re-

mika, wiedząc, że to jest swego rodzaju specjalista w dziedzinie historii lokalnych. Bardzo dobrze zna Zagłębie. Zrobił tu przecież znakomite rzeczy. Myślę, że zajmując się lokalnością w teatrze, uczestnicząc w niej, musimy to poczuć.

Wydaje mi się, że mimo iż *Korzeniec* był mocno osadzony w tym miejscu, miał jednak inny kaliber. Poprzez Maus reżyser chce jeszcze dodatkowo przeorać tutejsze środowisko.

Tak. Bo jak powiedziałam, Remigiusz to środowisko zna. I jeszcze mocniej dotyka. A ja mam pewność, że robi to z dużym namysłem. A przy tym ma dużą potrzebę opowiedzenia o tym konkretnie miejscu. Miejsce, które w powszechnym mniemaniu, jest miejscem trochę zapomnianym, trochę obśmianym. I właśnie dlatego uważam, że opowiadanie historii lokalnych jest tu bardzo istotne, by wzmocnić tożsamość tego miejsca. To jest w każdym miejscu ważne. W każdym miejscu potrzebne. I w każdym miejscu możemy dotykać czegoś, co jest w danym miejscu, dla danej społeczności istotne. Albo nie wiemy jeszcze, że jest istotne, ale próbujemy otworzyć jakąś puszkę Pandory.

W tym wypadku to była puszka Pandory?

W przypadku historii żydowskich to była puszka Pandory.

Mnożą się teraz liczne choroby w okolicy?

Różne historie się mnożą. Próbowano nam też przeszkodzić na jednym ze spacerów historycznych, ale – na całe szczęście – nie doszło do poważnego incydentu. Sądzę, że wynika to ze stresu, z obawy, że przyjdzie do mnie, do miejsca, w którym mieszkam i zabierzecie mi to.

A wracając do innych historii i osób związanych z miastem, z Zagłębiem. Myśleli Państwo o przypomnieniu starszych pisarzy: Stefana Żeromskiego, Emila Zegadłowicza, Gabrieli Zapolskiej? Czy taki temat by zainteresował publiczność?

Z tym bywa bardzo różnie. Czasami słuchamy samych artystów, którzy przychodzą do nas z projektami. Jeśli temat okaże się interesujący, być może przyjdzie i czas na to. Ja jestem tutaj dopiero piąty rok, w tym były dwa lata pandemii. A jednak w tym czasie zrobiliśmy 25 premier.

Niestychane! I to w zasadzie na jednej scenie!

Tak, policzyliśmy to. To dość sporo. Ale wracając do pytania. Myślę, że jeszcze o tym nie myśleliśmy, ale sądzą, że przyjdzie na to moment.



Środula. Krajobraz Mausa

To pytanie dotyczy także repertuaru. Oczywiście w repertuarze Teatru Zagłębia mamy i klasykę (Sofokles, Szekspir, Moliere, Czechow), jest i *Gniew* wedlug kryminału Zygmunta Miłoszewskiego, jest i farsa *Kto puka? Mamy i spektakle dla dzieci... Teatr Zagłębia musi być teatrem eklektycznym?*

Tak. Musi być. My jesteśmy jedynym teatrem dramatycznym w Zagłębiu. Jesteśmy też teatrem miejskim i z kasy miejskiej jesteśmy finansowani. Dlatego uważam, że repertuar musi być różnorodny i powinien trafiać do różnych odbiorców. Chcemy też przygotowywać propozycje związane z tekstami omawianymi w szkole. Ale wiemy, że spis lektur jest nieustannie modyfikowany – niektóre lektury z niego wypadają, a pojawiają się nowe. Mieliśmy też taki projekt *Teksty kultury do matury*. Profesorki Uniwersytetu Śląskiego prowadziły wykłady przed przedstawieniami.

I chwyciło to?

Chwyciło. Mieliśmy pełne sale na widowni i w trakcie wykładów, i w trakcie spektakli. Staramy się wychodzić naprzeciw i rozmawiać z nauczycielami, a także określić ich potrzeby. I z tego też czerpiemy wiedzę. Teraz powstanie *Tajemniczy ogród*. Jeszcze rok temu był w spisie lektur podstawowych, ale teraz jest lektura uzupełniająca. Zatem chcieliśmy pomóc, ale nie jesteśmy w stanie nadażyć za zmianami.

Zatem *niezgoda* jest lepszym rozwiązaniem. A w dodatku spektaklem, z którym chce się dyskutować. Może to jest lepszy sposób na wychowanie sobie widza.

To, co pan powiedział, to jest idea dla mnie najistotniejsza. Oczywiście teatr jest świątynią sztuki. Ale dla mnie jego istotą jest – w dobrym tego słowa znaczeniu – wychowanie czy otwarcie głów ludzi, którzy mają tu przyjść i po

prostu z nami rozmawiać. Nie bać się rozmawiać. Nie bać się swoich opinii, emocji. Sztuka jest do tego. Nie można się na to wszystko zamknąć. Robimy spektakle, które specjalnie są tak zaprojektowane, by wciągnąć widza do dyskusji. Ale zdarza się tak, że opiekunowie przychodzący z młodzieżą, którą aktorzy chcą zachęcić do dyskusji, coś z nich wydobyć, nie wiedząc, co w takiej sytuacji zrobić.

O jakim spektaklu mówimy?

O *Wrogu* Justyny Sobczyk. I nauczyciele nie potrafią się odnaleźć w tej sytuacji. Ale tak zostaliśmy wychowani. Choć sztuka przecież wyzwala emocje. My dajemy widzowi emocje, a on może powiedzieć, co czuje. Dlatego będziemy jeździć w teren – przykładem jest *niezgoda* – aby budować społeczność. Ale jestem bardzo zadowolona, że to miejsce żyje po tych pandemicznych czasach i po tym zamknięciu wokół. Mamy wierną publiczność, której jestem niezmiernie wdzięczna. To jest publiczność, która się odzywa, dzwoni i komentuje.

Nie można nie wspomnieć, jeśli mówimy o teatrze zaangażowanym społecznie, o projekcie ukraińskim – spektaklu *Czuje do Ciebie miętę* i zaangażowaniu dwóch ukraińskich aktorek: Kateryny Vasiukovej i Niny Zakharowej... Jak ten projekt kształtuje relacje pomiędzy widzami a teatrem?

Tak, to dla nas wszystkich jakieś doświadczenie. Dwie artystki i fenomenalne aktorki z Charkowa trafiły do nas: jedna w lutym, druga w marcu 2022 roku. I do tego projektu udało mi się pozyskać środki z Instytutu Teatralnego; dziewczyny zostały zaopatrzone w ramach rezydencji, mieszkają w naszych mieszkaniach. One od samego początku chciały tu pracować i wyrażać się poprzez sztukę.

Była bariera językowa?

Na początku. Potem bardzo szybko do nas dołączyły. Brały udział też w projekcie, który był organizowany w Teatrze Śląskim przez Ewę Niewiadomską... Tutaj miały taką potrzebę bycia na scenie. Bo dla nich to była i jest terapia. Chcą się wyrażać poprzez sztukę, bo są aktorkami. Daliśmy im scenę i wolną rękę, by mogły opowiedzieć o wojnie. Ten spektakl, pod opieką reżyserską Jacka Jabrzyka (premiera w listopadzie 2022) to jest dla nas wielkie wydarzenie. Dla nich to jest nieustannie otwieranie się, opowiadanie o sobie, bo to przecież są w większości ich prywatne historie. A oprócz tego spotyka się to z niezwykle przyjemnym publicznosci. Jest cisza na tych spektaklach. To dla nas przekaz: Bądźmy czujni. Demokracja jeszcze u nas jest. Nie wiemy jeszcze, ile potrwa. Nie wiemy, jak ta sytuacja się rozwinie. Te dziewczyny nas zmusiły do pewnej czujności. I to w takim metafizycznym podkładzie... A wczoraj wrócili z Berlina.

Jaki był odbiór spektaklu w Berlinie?

Fenomenalny. Niestety nie mogłam uczestniczyć. Dziś rano otrzymałam relację, że odbiór był świetny. No i myślę, że jeszcze nie koniec na tym... A to jest przecież stworzone z takiej potrzeby chwili, a jednocześnie z takiej swobody w działaniu, którą otrzymały. Ile razy to oglądam, to ogarnia mnie niezwykle wzruszenie.

Jak dobrze, że powstał ten spektakl... Zresztą te wszystkie spektakle, o których rozmawiamy... Bo – puentując – tworzy Pani jeden teatr, czy dwa teatry? Wydawałoby się, że Ornontowice i Sosnowiec to dwa różne światy? Czy jest to jednak jeden teatralny świat?

Na pewno w kontekście dwóch pełnionych przez mnie funkcji to dwa różne światy. Tu i tam pełnię zupełnie inne role. Tak je postrzegam i tak je próbuję tworzyć. Ale coś, co je łączy i – co pan wydobyl – to jest teatr w służbie społeczeństwu, teatr historii lokalnych, teatr, który ma opowiedzieć o swoim miejscu, teatr, który ma budować społeczność. Właśnie dlatego zajmuję się teatrem. Tak mnie nauczono. I z taką misyjnością mogą przywołać prof. Lecha Śliwonika. Był moim rektorem i dziekanem w Akademii Teatralnej i jest dla mnie postacią niezwykle znaczącą także poprzez to jak kategoryzuje teatr: zawodowy i amatorski, i offowy, i teatr dla życia, i jak dla niego to wszystko się uzupełnia i staje się całością. Bo dla mnie wszystkie te formy są całością, które mają dać człowiekowi rodzaj przeżycia: czynnego poprzez udział aktora-amatora, biernego poprzez to, że siedzę na widowni i jestem tylko albo aż odbiorcą tego przekazu. Wierzę w sprawczą moc teatru i mam nadzieję, że nic mnie z tego przekonania nie wyprowadzi.

Uniwersytet Jana Długosza w Częstochowie. Kolejna uczelnia w województwie śląskim z pełnią praw akademickich

Święto Uczelni

Przemówienie JM Rektor Prof. dr hab. ANNY WYPYCH-GAWROŃSKIEJ

Serdecznie witam w murach Uniwersytetu Jana Długosza w Częstochowie. Każde Święto Uczelni jest bardzo ważną uroczystością. Dzisiaj jest dla naszej społeczności absolutnie wyjątkowa i szczególna. Obchodzimy po raz pierwszy wydarzenie akademickie z nową nazwą naszej Alma Mater. Osiągnęliśmy wraz z nią najwyższy poziom w terminologii obowiązującej w przypadku wieloprofilingowej szkoły wyższej kształcącej studentów i doktorantów w wielu dziedzinach i dyscyplinach nauki i sztuki. Zgodnie z ustawą Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce termin uniwersytet jest zastrzeżony dla uczelni spełniających warunek posiadania kategorii naukowej A+, A lub B+ w co najmniej 6 dyscyplinach naukowych lub artystycznych, zawierających się w co najmniej 3 dziedzinach nauki lub sztuki.

Dzięki świetnym wynikom ewaluacji dyscyplin naukowych za lata 2017–2021 ten warunek nasz Uniwersytet spełnia podwójnie i z nadatkiem. Na trzynastu ewaluowanych dyscyplin mieszczących się w pięciu dziedzinach nauki i sztuki wszystkie otrzymały peł-

nię praw akademickich, z uprawnieniami do nadawania stopnia doktora i doktora habilitowanego i z możliwością tworzenia kierunków studiów na mocy uchwały Senatu. Spośród trzynastu ewaluowanych, 6 dyscyplin uzyskało kategorię A: nauki prawne, historia, literaturoznawstwo, nauki chemiczne, sztuki muzyczne oraz sztuki plastyczne i konserwacja dzieł sztuki. 7 – kategorię B+: nauki fizyczne, językoznawstwo, filozofia, pedagogika, nauki o bezpieczeństwie, nauki o zdrowiu i nauki o kulturze fizycznej. Tak dobre wyniki ewaluacji pozwoliły o wystąpienie o zmianę nazwy Uczelni, co dokonało się na mocy ustawy sejmowej z dnia 14 kwietnia 2023 r., podpisanej przez Prezydenta RP w dniu 1 maja 2023 r.

Od 1 czerwca 2023 roku nasza Uczelnia nosi nazwę Uniwersytet Jana Długosza w Częstochowie i jest pełnym uniwersytetem w rozumieniu ustawy.

Uczelnia wniosowała o pozostawienie w nazwie imienia patrona, którego wybrała już w 2004 roku. Również teraz będziemy z dumą nosić imię Jana Długosza, do którego życia i działal-

ności społeczność Uniwersytetu odwołuje się jako do jednego z najwybitniejszych intelektualistów swoich czasów, badacza, naukowca, historyka i kronikarza, dyplomaty, wychowawcy, prowadzącego działalność dobroczynną, piastującego odpowiedzialne państwowe oraz publiczne funkcje i stanowiska, pod koniec życia mianowanego biskupem lwowskim. I dziś, i w przyszłości, Uniwersytet chce realizować misję, odnosząc się do osoby i ideałów swego patrona oraz do symbolizowanych przez jego działalność uniwersalnych wartości etycznych. Postać Jana Długosza zobowiązuje wspólnotę Uniwersytetu do wypełniania misji Uczelni w poczuciu nieustannej i wytrwałej służby społeczeństwu.

W czasie takiego Święta jak dzisiaj, odbywającego się dla potwierdzenia rozwoju i osiągnięcia zakładanych celów nie sposób nie pamiętać o drodze, którą przeszła Uczelnia od momentu powstania w 1971 roku. Niedawno świętowaliśmy 50-lecie, 2023 jest 52 rokiem istnienia częstochowskiej uczelni. Więcej szczegółów z historii naszego Uniwersytetu pojawi się

Władze rektorskie UJD. Fot. UJD





Projekt nowej siedziby Collegium Medicum UJD

w filmie, który za chwilę wyświetlimy, ja chciałabym w tym momencie powiedzieć o dzisiejszej Uczelni, o tym, z jakim potencjałem wkraczamy w nowy okres działalności jako Uniwersytet Jana Długosza w Częstochowie.

Pozwolę sobie na kilka liczb, które bardzo dużo mówią o nas jako społeczności i jako instytucji szkolnictwa wyższego i nauki. Wymieniłam już trzynaście ewaluowanych dyscyplin, z których każda uzyskała pełne prawa akademickie. O sile naukowej i artystycznej świadczy przedstawiony do ewaluacji dorobek 442 pracowników badawczo-dydaktycznych i badawczych oraz 34 doktorantów, którzy opublikowali ponad 560 artykułów w najlepszych czasopismach polskich i zagranicznych, ponad 90 monografii wydawanych w renomowanych wydawnictwach naukowych, realizowali 51 projektów badawczych finansowanych ze źródeł zewnętrznych, także europejskich w ramach Horyzont 2020, uzyskali 17 patentów oraz przedstawili prawie 130 działań artystycznych w zakresie sztuk muzycznych oraz sztuk plastycznych i konserwacji dzieł sztuki.

Prowadzimy kształcenie na około 60 kierunkach studiów I i II stopnia oraz na studiach jednolitych magisterskich. Wszystkie powstają z myślą o przyszłości naszych studentów, któ-

rzy powinni być jak najlepiej przygotowani do wyzwań współczesnego świata. Podejmując się bardzo trudnych zadań poszerzania oferty dydaktycznej, bierzemy pod uwagę potrzeby miasta i regionu. Misję uczelni realizujemy m.in. poprzez tworzenie tak ważnych kierunków studiów, jak te przygotowujące do zawodów medycznych, na czele z kierunkiem lekarskim czy pielęgniarstwem oraz dwoma nowymi kierunkami, farmacją i ratownictwem medycznym.

Za wszystkimi liczbami świadczącymi o sile Uniwersytetu i za efektami działań stoją oczywiście ludzie. W Uniwersytecie Jana Długosza w Częstochowie pracuje prawie 740 pracowników, w tym prawie 500 nauczycieli akademickich, spośród których aż 57 szczyści się posiadaniem tytułu naukowego, 110 stopnia naukowego doktora habilitowanego a 210 stopnia doktora. W liczbie awansów naukowych dokonaliśmy prawdziwego przełomu. Dość powiedzieć, że w 2018 roku, gdy zmieniliśmy nazwę na uniwersytet przymiotnikowy w Uczelni pracowało 40 profesorów tytularnych, dziś jest ich prawie 60 (trzy kolejne profesury są w toku).

Pracownicy Uczelni znajdują się w gronie 2 procent najbardziej wpływowych naukowców świata pod kątem przyjętych wskaźników cytowań

ich publikacji. Realizują projekty badawcze, dydaktyczne i związane z funkcjonowaniem Uczelni. W tym roku akademickim prowadzonych jest blisko 40 projektów badawczych, finansowanych ze źródeł zewnętrznych na łączną kwotę ponad 12,5 mln zł, 9 projektów dydaktycznych i organizacyjnych na łączną kwotę około 20 mln zł, do tego należy dodać wielomilionowe działania inwestycyjne, też realizowane w ramach projektów uzyskiwanych w drodze konkursowej. Nie ustajemy w aplikowaniu o nowe projekty i uzyskujemy je, jak ostatnio bardzo ważny dla umiędzynarodowienia działalności Uczelni Welcome to Poland. W działalności naukowej i dydaktycznej wspomagają nas pracownicy administracji, w tym momencie jest to prawie 240 osób.

I oczywiście jedna z najważniejszych liczb – w Uniwersytecie kształci się ponad 5400 studentów i doktorantów. Ta liczba pomimo trwającego niżej demograficznego zwiększa się z roku na rok. Jeszcze raz porównując rok 2018 – mieliśmy wówczas 4700 studentów i doktorantów, do 2022 nastąpił przyrost do ponad 5400 studentów i doktorantów.

Uczelnia dysponuje coraz lepszą infrastrukturą. Tworzy ją 6 budynków dydaktycznych i jeden dom akademicki, posiadające 52 tysiące me-

trów kwadratowych, w tym 25 tysięcy m² powierzchni dydaktycznej. Czynimy wszystko, aby przestrzenie służące dydaktyce i badaniom nieustająco powiększać i modernizować. Doskonaliśmy aktualną infrastrukturę, unowocześniliśmy sale dydaktyczne, laboratoria i pracownie. Polepszamy warunki mieszkaniowe w naszym Domu Studenckim. Dzięki nowemu budynkowi Centrum Dydaktyczne Nauk Medycznych i Nauk o Zdrowiu liczba metrów kwadratowych służących studentom i pracownikom wzrosła o 3000 m².

Uniwersytet w pełni realizuje swoją misję dla społeczeństwa, w tym w zakresie szeroko pojmowanej społecznej odpowiedzialności Uczelni, a w ramach strategii prowadzi badania naukowe, działalność dydaktyczną, rozwija współpracę z otoczeniem społeczno-gospodarczym oraz umiędzynarodowienie. Prowadzimy wspólne działania z licznymi polskimi uczelniami i jednostkami naukowymi, współpracujemy z około 170 instytucjami szkolnictwa wyższego na całym świecie. Czasy współczesne stawiają przed nami w tych obszarach coraz poważniejsze wyzwania, nadają nowy sens powinnościom uczelni, jak chociażby w przypadku działań podejmowanych przez społeczność naszego Uniwersytetu w ramach pomocy Ukrainie, toczącej bohaterską wojnę o wolność i niepodległość.

Pragnę podziękować wszystkim, którzy tworzyli historię naszej Uczelni i którzy tworzą jej teraźniejszość i przyszłość: kilku pokoleniom studentów, doktorantów i uczestników studiów podyplomowych oraz różnych form kształcenia ustawicznego, wszystkim nauczycielom akademickim, pracownikom administracji, a także osobom kierującym Uczelnią i jej jednostkami: kolejnym rektorom, prorektorom, dziekanom, prodziekanom, dyrektorom jednostek ogólnouczelnianych, dyrektorom instytutów, kierownikom katedr i zakładów, przewodniczącym rad dyscyplin, władzom kanclerskim i kwestorskim.

Szczególnie chcę podkreślić znaczenie dla Uniwersytetu tych, którzy najbardziej świadczą o realizowanych zadaniach uczelni wyższej, i dla których Uniwersytet istnieje i funkcjonuje, studentów i doktorantów. Będąc najliczniejszą i najważniejszą częścią wspólnoty akademickiej, studenci i doktoranci są równocześnie wspaniałą grupą, wpływającą na charakter naszego Uniwersytetu. Uczestniczą nie tylko w procesie kształcenia, ale także podejmują pierwsze działania naukowe i badawcze, tworzą koła naukowe i realizują projekty, angażują się w akcje społeczne, działają jako wolontariusze.

To studenci i doktoranci są przyszłością Uczelni, tak jak przyszłością miasta, regionu i kraju są też jej absolwenci. Dyplomy naszego Uniwersytetu otrzymało do tej pory 70 tysięcy osób! Jest to ogromna liczba potwierdzająca siłę Uczelni i jej szeroki wpływ społeczny.

Dziękuję tym, którzy w pierwszej linii wspierają mnie w zadaniach kierowania Uczelnią. Podziękowania łączę z serdecznymi gratulacjami. Członkowie społeczności Uczelni, pracownicy, doktoranci i studenci, mogą się pochwalić wyróżnieniami, nagrodami, są laureatami ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów naukowych i artystycznych, stypendystami Ministerstw i wielu prestiżowych instytucji, studenci są mistrzami w dyscyplinach sportowych, takich jak tenis stołowy, siatkówka czy futsal. Dziś wyróżniamy najlepszych studentów wydziałów i całej Uczelni. O tym, jak rozwija się i zmienia Uczelnia, świadczyć będzie także dzisiejsze wręczenie dyplomów doktorskich i habilitacyjnych oraz dyplomów gratulacyjnych dla profesorów tytularnych. To powód do ogromnej dumy dla całej społeczności akademickiej, do której dołącza kolejna grupa naukowców mogących pochwalić się awansem naukowym.

Dla naszej uczelnianej działalności otrzymujemy nieustające wsparcie od wypróbowanych przyjaciół Uczelni, którzy zawsze są z nami, pomagają, angażując się w zakresach, w których Uniwersytet tak rozwijający się jak nasz, potrzebuje aktywności i wsparcia otoczenia. Jest to niezbędne dla zdobywania kolejnych funduszy na rozwój, na nową infrastrukturę, budynki dydaktyczne, aparaturę badawczą.

Chcę wymienić i skierować słowa serdecznego podziękowania szczególnie do Pana ministra Szymona Giżyńskiego, kiedyś twórcy Fundacji na Rzecz Utworzenia Uniwersytetu w Częstochowie, towarzyszącego nam przez wszystkie lata naszego rozwoju i zabiegającego nieustannie o wsparcie naszych działań, do senatora Ryszarda Majera, zaangażowanego we wszystkich obszarach działalności Uniwersytetu i bardzo skutecznie nas wspierającego.

Kieruję również podziękowania do europośła i byłego premiera Jerzego Buzka, europośła Jadwigi Wiśniewskiej, senatora Wojciecha Koniecznego, posłów ziemi częstochowskiej: Lidii Burzyńskiej, Izabeli Leszczyny, Mariusza Trepki, Andrzeja Szewińskiego, Zdzisława Wolskiego, wojewody śląskiego Jarosława Wierczorka i wicewojewody Roberta Magdziarza, byłego senatora Artura Warzochy, który podejmował bardzo ważne działania na rzecz Uniwersytetu. Dziękuję za współpracę

władzom samorządowym: wojewódzkim, które wspierają nas dodatkowymi milionowymi dotacjami, władzom miasta Częstochowy na czele z prezydentem Krzysztofem Matyjaszczykiem i całej Radzie Miasta oraz samorządowi powiatu częstochowskiego i Staroście Krzysztofowi Smeli. Słowa serdecznych podziękowań za wszelkie wsparcie w wielu naszych działaniach kieruję do Jego Ekscelencji Arcybiskupa Wacława Depo, do Ojców Przeorów Zakonu Paulinów oraz do stale z nami współpracującego duszpasterstwa akademickiego.

Dziękuję wszystkim współpracującym z nami instytucjom i organizacjom przedsiębiorców, takim jak Regionalna Izba Przemysłowo-Handlowa, instytucjom kultury, szkołom wszystkich typów i szczebli, stowarzyszeniom, towarzystwom. Serdeczne słowa podziękowań składam organizacjom, które wsparły nas w tworzeniu nowych kierunków studiów, takich jak prawo, pielęgniarstwo, kierunek lekarski, tu dziękuję radom adwokackim, radom radców prawnych, radom oraz izbom lekarskim i pielęgniarstwu.

Wsparcie otoczenia społeczno-gospodarczego i instytucji, którego jako społeczność akademicka studentów, doktorantów i pracowników nieustająco doświadczamy, jest dla nas dowodem znaczenia naszych działań, naszej pracy, jej efektów dla miasta, regionu i kraju. To również dzięki Państwu Uczelnia może z odwagą podchodzić do kolejnych wyzwań i realizować na najwyższym poziomie wszelkie zadania jednostki szkolnictwa wyższego i nauki. Składając podziękowania, chcę podkreślić, że w tej współpracy nasz Uniwersytet zawsze będzie bardzo wiarygodnym i rzetelnym partnerem, z którym warto podejmować wspólne działania, rozwijając w ten sposób nasze miasto i region.

Święto Uczelni to czas radości z efektów naszej działalności, wyników badań naukowych i kształcenia. To także czas gratulacji i ogromnych podziękowań dla wszystkich Państwa. Zmiana nazwy Uczelni podsumowuje nasze osiągnięcia – dzięki nim staliśmy się klasycznym uniwersytem w rozumieniu ustawy. To także nowe otwarcie na kolejne drogi rozwoju. Wiem na pewno, że będziemy się dalej świetnie rozwijać, uskrzydleni osiągnięciami i wspierani przez tak wspaniałych przyjaciół Uczelni. Jestem przekonana, że Uniwersytet Jana Długosza w Częstochowie będzie utrzymywał swoją silną pozycję jako jednostka szkolnictwa wyższego oraz nauki, i nadszedł czas, aby społeczność akademicka tworząca nasz Uniwersytet i tak wspaniale pracująca na rzecz swojej Uczelni była z niej zawsze i bezwarunkowo dumna!

Złatwością porusza się w naszym wielogatunkowym świecie. Wspaniale ilustruje intymne światy adaptacji szekspirowskich oraz psychologiczne rozterki bohaterów komedii. Potrafi stworzyć nastrój mrocznych thrillerów i kina historycznego, ale z równym kunsztem ilustruje najbardziej magiczne dzieła hollywoodzkiego kina. W każdej z tych produkcji tworzy niepowtarzalny styl, w którym da się wysledzić ogromną erudycję muzyczną. Jego utwory to arcydzieła instrumentacji i orkiestracji, wynikające z doskonałego rozumienia roli muzyki w filmie.

Oto fragment laudacji wygłoszonej przez Roberta Piaskowskiego, pełnomocnika Prezydenta Krakowa ds. Kultury, w katowickim NOSPR-ze tuż przed oficjalnym przyznaniem Nagrody Kilara 2023 za całokształt twórczości. W latach poprzednich wyróżnienie trafiło m.in. do Philipa Glassa, Michaela Nymana, Johna Powella czy Howarda Shore'a. Krótko mówiąc – do najwybitniejszych, współczesnych twórców muzyki filmowej. W tym roku nagroda ufundowana przez dwa miasta UNESCO i dwóch prezydentów tych miast, Marcina Krupę i Jacka Majchrowskiego i merytorycznie uzasadniona przez kapitułę, zawędrowała do siedemdziesięcioletnich rąk Patricka Doyle'a – ikony brytyjskiej muzyki filmowej i teatralnej. Tak, Doyle świętuje w tym roku również swoje okrągłe urodziny, za chwilę obchodzić będzie równie okrągłe 50-lecie pracy twórczej (muzyka do spektaklu Glasvegas, 1978). NOSPR z całą swoją nowoczesną tradycyjnością, przepychem przestrzeni, okazał się idealnym miejscem dla tej podwójnej celebracji.

Z uwagi na rangę wyróżnienia to jedno z najważniejszych potwierdzeń związków Katowic i Krakowa, kreatywnych miast UNESCO – powiedział prezydent Marcin Krupa, otwierając tym samym krótką ceremonię przyznania wyróżnienia. Prezydent Jacek Majchrowski podkreślił, że Wojciech Kilar łączył obydwa miasta – w Krakowie studiował, chwilę mieszkał, często wracał, ale wybrał stolicę Górnego Śląska: – Nagroda jego imienia pozwala nam nie tylko honorować wybitnych kompozytorów i promować ich nietuzinkowy styl, ale też umacniać partnerstwo Krakowa i Katowic na rzecz rozwoju muzyki.

Pierwszą muzykę do filmu niemego – konkretnie do „Zabójstwa księcia Gwizusza” – pożyczono wprost z repertuaru Camille'a Saint-Saënsa w 1908 roku, ale pierwszy oryginalny soundtrack zrealizował Max Steiner w 1933 roku do filmu King-Kong. Za równą dekadę będziemy mogli świętować setną rocznicę wydarzenia, które na zawsze zmieniło oblicze kina. Wyobrazenie sobie dziś filmu bez dźwięku, w szczególności bez ścieżki dźwiękowej wydaje się zadaniem



Patrick Doyle z Nagrodą Wojciecha Kilara Mały czarodziej

RADOSŁAW KOBIERSKI

trudnym, jeśli nie niemożliwym. Original Motion Picture Soundtrack to dzisiaj osobna półka w biznesie muzycznym. W kanadyjskim Edmonton co roku odbywa się Soundtrack Music Festival i nie jest to jedyne miejsce na świecie, które honoruje ten rodzaj twórczości muzycznej.

Muzyka – z drugiej strony – potrafi świetnie sobie radzić bez wizualu, a nawet emancypować się, uwolnić od obrazu, który został jej przydzielony. Wielokrotnie podczas koncertu Patricka Doyle'a miałem sposobność zauważyć ten fenomen; niektóre utwory z Szekspirowskich spektakli Branagha, fragmenty „Rozważnej i romantycznej”, „Gosford Park”, „Indochiny” pasowały idealnie do filmów Bertolucciego, Steve'a Jacobsa czy Edwarda Zwicka i Camerona, co chyba świadczy o ich uniwersalności, uniwersalnym przesłaniu, o sile wyrazu – nawet jeśli mieliśmy do czynienia z nieskomplikowaną strukturą muzyczną, prostą linią czy tematem, który dla podkreślenia prostoty ulegał medytacyjnym powtórzeniom. Koncert w NOSPR-ze pod batutą Dirka Brose'a odsłaniał przed nami właśnie ogromną różnorodność strategii kompozytorskich i gatunków, z których Patrick Doyle korzysta: suity i marsze, epicki rozmach, zmiany tonacji i rytmu, nieraz karkołomne, mistrzowski kontrpunkt i orkiestracje, niezwykle wycucie dramaturgii i nastroju – z jednej strony niepokojący Donnie Brasco, z drugiej niemal wiedeńska lekkość walca,

minimalistyczne repetycje (trochę bliższe Michaelowi Nymanowi czy Philipowi Glassowi) i rozbudowane formy orkiestrowe, które świetnie odnalazłyby się w strukturze dzieła operowego. Tak, przez chwilę, nawet niejedną, miałem wrażenie, że kilkanaście kompozycji, które usłyszeliśmy, mogłyby złożyć się w operę – z jej szekspirowską uwerturą, solowymi partiami (Roksana Kwaśnikowska i Radosław Kurek), arią wykonaną przez subtelną sopran Sylwii Olczyńskiej (z ducha Gounodowską, por. „Faust”) i koncertem skrzypcowym „Corarsik”, który Doyle napisał specjalnie dla Emmy Thompson.

Gdybym miał w dwóch zdaniach podsumować najważniejsze dla mnie wrażenie tego koncertu, powiedziałbym, że zdobył mnie całkowicie szacunek, z jakim Doyle traktuje każdy dźwięk, że się nigdzie nie spieszy, pozwala nam nawet pomedytować nad jego trwaniem i czystością. I jest w tych kompozycjach coś z dziecięcego zdziwienia i prostolinijności, jakby tego siedemdziesięcioletniego umysłu i serca nigdy dziecko nie opuściło. Nie na darmo Mike Newell, reżyser „Czary Ognia” nazwał Doyle'a małym czarodziejem. ■

The Music of Patrick Doyle – 29 maja 2023 roku, sala koncertowa NOSPR w Katowicach. Wydarzenie w ramach Festiwalu Muzyki Filmowej w Krakowie.

W czerwcowym numerze „Słaska” prof. Krzysztof Wieczorek – w wydaniu dzielnym Piotrowi Skowronkowi – prezentuje wartości, z którymi nie wypada się nie zgadzać. A jednak waży się na polemikę z rzeczownikowo-zaimkowym fundamentem uzasadnienia tych wartości.

Krytykę filozofii spotkania i dialogu prowadzę z pozycji czasownikowych. W krótkim artykule zdołam pomieścić tylko wybrane wnioski. Solidniejsze podstawy wymagały ponad 300 stron książki „The Verbal Philosophy of Real Time”, Cambridge Scholars Publishing, 2020. Tu wspomnę, że filozofia rzeczownikowa operuje nieskalowalnymi nazwami pojęć i ich negacjami, natomiast czasownikowa rozkłada pojęcia na czynności elementarne w czasie rzeczywistym badanego procesu.

Dieciące zaufanie

Gdy słyszysz „zaufaj mi” – od razu zastanawiam się, co to w konkretnej sytuacji oznacza i jakie czynności mają być wykonane lub zaniechane, bo na ogół chodzi właśnie o zaniechanie pewnej formy obrony przed potencjalnym zagrożeniem. Jeżeli tak mówi ojciec do trzymającego się go kurczowo dziecka w niezbyt głębokim basenie, nie mam żadnych wątpliwości. By dziecko nauczyło się pływać, musi coś zrobić samodzielnie. Ojciec stoi obok, w razie czego pomoże, ale mały synek się boi, bo jednak woda jest dlań za głęboka. Trzeba go ośmielić i przekonać jakimś argumentem. Sytuacja jasna, zagrożenia nie ma, celem ojca czy matki jest dobro dziecka (tu – nauka pływania), chodzi tylko o przełamanie naturalnego lęku i zachęcenie do samodzielności, do dzielności. Różne w takiej potrzebie wymyślamy sposoby; nie każdy jest gotów rzucić syna od razu na głęboką wodę. Buziak i „zaufaj mi” na ogół wystarczy. Dla małego dziecka ojciec jest bogiem, bo „wszystko” może. I to zaufanie ma sens.

Przypadek przeciwny. Dzwoni do mnie pewien znany człowiek (znany z tego, że cały majątek przegrał na Foreksie) i prosi o pożyczkę bardzo dużej dla mnie kwoty. Oczywiście odda za miesiąc – zapewniam – i to podwójnie, bo wchodzi w system, który gwarantuje gigantyczny zysk. Brakuje mu tylko wpisuwego. Twierdzi, że ma dobrze ulokowane pieniądze, ale chwilowo nie może ich uruchomić, bo coś tam, coś tam. A tu jutro mija termin i jak mu nie pożyczę, to nici z interesu. „Znasz mnie przecież – mówi – możesz mi zaufać”.

Nie rozpatruję zaufania do Foreksu, bo sprawa jest oczywista. Ważniejsze są sprawy nieoczywiste, kiedy moglibyśmy komuś naprawdę pomóc, a przynajmniej zapewnić sobie podniesienie samooceny: „okazałem zaufanie, to znaczy, że nie jestem nieczuły na pro-

Przeciw ‘zaufaniu’ i filozofii dialogu

ANDRZEJ JARCZEWSKI

blemy przyjaciół; pomogłem i na pewno na tym nie stracę”. Ano... raczej stracisz, przyjacielu nieroztropny. Zaufanie jest dla rozsądnych rezultatem, a dla naiwnych – postulatem. Nieprzypadkowo najbardziej oszukańczej w historii świata operacji agenturalnej sowietci nadali kryptonim „Trust”.

Fetysz zaufania

Łatwo przeprowadzić badanie naszej gotowości do zaufania; porównuje się nawet grupy społeczne i całe narody. Tylko że to są badania oszukańcze, bo nic z nich nie wynika poza ideologiczną oceną: ta grupa jest niby trochę lepsza, bo okazuje większe zaufanie, a ta gorsza, bo mniejsze. Tymczasem nikt na razie nie przeprowadził badań, pokazujących rzeczywiste korzyści i straty, wynikające z zaufania... nadmiernego. A przecież wskutek nieuzasadnionego zaufania tracono i majątek, i życie, i nawet całe państwa! To samo zjawisko można opisać zarówno w kategoriach wolności słowa, jak i w kategoriach wojny hybrydowej, wykorzystującej „zaufanie” jako rozebrany kawałek murów obronnych, a (rzeczownikową) „wolność słowa” jako taran. Tak działają fora internetowe na znacznych portalach – idealne pole do popisu dla rosyjskich trolli.

„Na zaufanie trzeba sobie zasłużyć” – głosi mądrość ludowa – czasownikowe uogólnienie tysięcy lat doświadczeń. Zwracał na to uwagę Hobbes przykładem kluczy do domu. Gdyby nie te doświadczenia, nikt by niczego nie zamykał na klucz. Zaufanie jest agregatem wielu czynności i zaniechań... nieubezpieczonych, czy też niedostatecznie zabezpieczonych.

Gdy pożyczam komuś pieniądze pod ekwiwalentny zastaw, nie ma mowy o zaufaniu. Jeżeli dłużnik nie zwróci długu, mogę, po spełnieniu pewnych warunków, sprzedać przedmiot zastawu i odzyskać pieniądze, a moja szkoda polegać będzie tylko na dodatkowej pracy. Inaczej wygląda sprawa, gdy pożyczylem komuś pieniądze bez żadnego zabezpieczenia tylko dlatego, że mu zaufałem. Tu strata może być duża i bolesna. Dłużnik straci moją przyjaźń, ale tym się nie zmartwi, bo to tani towar, a ja stracę być może dorobek wielu lat życia. Nie wiedziałem, że mój były przy-

jacieli rzadko kieruje się moimi przekonaniami. Często – własnymi nadziejami. Dłużnicy zwykle działają zgodnie z teorią możliwości: jeżeli mogą i muszą oddać dług – oddadzą. Jeżeli nie mogą oddać lub jeżeli mogą nie oddać – nie oddadzą.

Zaufanie w polityce

Szczególnie ważnym rodzajem zaufania obdarzam polityka, na którego oddaję głos w wyborach. Jakoś to sobie wykombinowałem, że ten właśnie kandydat będzie działał uczciwie lub że jego partia zrealizuje politykę bardziej niż partia konkurencyjna korzystną dla państwa, narodu lub dla prowadzonego przeze mnie biznesu. Po kilku latach przychodzą kolejne wybory i wtedy już nie spekuluję, ale sprawdzam. Jeżeli kandydat zaufanie zawiódł – nie dostanie mojego głosu. Kontroluję jego działania i oceniam jego partię. Zrobili to, tamto, owo, zaniechali tego czy tego, a rezultat tych działań jest dobry lub zły ze względu na ważne dla mnie kryteria.

Jeżeli system wyborczy umożliwia takie porównania, moje czynności przy urnie są racjonalne, ale nie wszędzie i nie zawsze tak bywa. Nie każdemu wyborcy chce się też dokonywać samodzielnej oceny, nie każdy jest do tego zdolny. W gorszym systemie kierujemy się zupełnie innymi przesłankami. Oto jakiś kandydat miał więcej niż inni pieniędzy na kampanię, więcej obiecał, prosił o zaufanie jak o niczym niezabezpieczoną pożyczkę. I dostał lub nie.

Bez pewnego minimum zaufania życie byłoby nie do zniesienia, lecz nawet to minimum bywa nadmiarem. Charakterystyczne przykłady daje nam literatura łagrowa, np. *Archipelag GUŁag* Aleksandra Sołżenicyna, a także *Inny świat* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Na tle zbrodniczych obyczajów i nieludzkich warunków, panujących w obozie, pojawia się figura „przyjaznego człowieka” z baraku albo „dobrego Rosjanina” mieszkającego w okolicy. Biada temu, kto im zaufał. Ci „dobrzy ludzie” mogą w miarę bezpiecznie żyć tylko pod warunkiem współpracy ze strażnikami. Są naprawdę przyjaźni, pomagają szczerze, szybko zyskują zaufanie skazańców... I natychmiast donoszą na tych, którzy im zaufali.

ChatGPT i fetysz dialogu

Pewien rodzaj zaufania perswadowała również wpływała w XX wieku filozofia dialogu. Dziś jest to uschła gałąź. W XX wieku za sprawą Bubera i Levinasa nastąpiło przesadne, idealistyczne uwznioślenie (z kolei za sprawą Althussera – materialistyczne spłaszczenie) ‘dialogu’ w teoretycznym wirtualu filozofii spotkania. Dla odmiany – w realu XXI wieku doszło do wirtualizacji spotkań i banalizacji dialogu. Okazało się, że dialog nie zmierza do prawdy, lecz tylko do wynegocjowania, a raczej – do wymuszenia (Habermas) konsensusu, którego trwałość zależy już nie od prawdy, ale od kaprysu czynników, utrzymujących ów konsensus w mocy.

Habermasowski konsensus zawsze służy aktualnie silniejszemu. Gdy prawdę zastępuje narracja, wymuszenie nazywają zgodą, a narzucona przemocą afirmacja konsensusu staje się totalitaryzmem. Kompromis zaczyna się od rzetelnego ujawnienia rozbieżności. Każdy wie, ile ustąpił na rzecz innych. Natomiast konsensus ze swej natury polega na zagłaskiwaniu konfliktu. W końcu nie wiadomo, ile która strona straciła, co może mieć wybuchowe znaczenie, gdy zmieni się stosunek sił i ktoś spróbuje wyrównać nie prawdziwy, bo ten zagłaskano, ale wymaginowany i nabrzębiały „rachunek krzywd”. To się w historii i w geografii zdarza co chwilę.

Dialog stał się fetyszem, a w polityce – inną formą prowadzenia wojny. Po każdej upadłej idei pozostają jednak jakieś *residua*. Rzeczownikowa, mętna i wisząca na wietrznych fundamentach filozofia dialogu zanika, ale jakże piękna pozostała po niej poezja w filozofii. I tej to poezji, żądaniu poświęcenia się, temu groźnemu pięknu nostalgicznie i bezrefleksyjnie ulegamy. Bo do jakich czynności sprowadza się filozofia spotkania i dialogu? Ano do pewnej formy dylematu więźnia. Polega to z grubsza na tym, że największej korzyści obydwie strony dialogu zyskują wtedy, gdy będą szczerze kooperować. I to jest bardzo piękne. Ale propaganda dialogu nieskonkretyzowanego wszelkimi sposobami usiłuje zakryć wariant przeciwny (powszechny), gdy warunki owocności dialogu nie są spełnione.

Największą stratę odniesie wtedy ta strona, która okaże maksimum zaufania i solidarności, gdy jednocześnie druga strona działa z maksimum wrogiej przebiegłości. Pouczający przykład przerobił w swoim życiu każdy, kto za bardzo zaufał, bo za bardzo... kochał. Aż strach o tym pisać. Ostatecznie: ‘zaufanie’ i ‘nieufność’ – to tylko rzeczowniki. Levinasowski spotkanie „twarzą w twarz” z Innym Czło-

wiekiem zostało zastąpione spotkaniem „komórka w komórkę” z Byle Kim lub z Nikim, czyli chatbotem. Na GPS ani na GPW nie ma dialogu. Z serwerem nie negocjuje się, a decyzje muszą być podejmowane.

Dialog uzbrojony

Dialog ma sens wtedy, gdy świadomie rezygnujemy z prawdy. Z kolei algorytm atrybucji aletycznej, czyli metoda orzekania o prawdziwości danej tezy, wyklucza dialog. Filozofii dialogu w ogóle nie zależy na dochodzeniu – przez dialog – do prawdy. Nawet nie chodzi tam o dobro, ale o zapanowanie nad światem. Najbardziej wyraził to Guy Debord ostatnim zdaniem „Społeczeństwa spektaklu”: *Jest to możliwe jedynie tam, gdzie jednostki są „bezpośrednio związane z historią powszechną”; jedynie tam, gdzie dialog się uzbroił, by narzucić własne warunki*. Podobnie definiuje to Putin, który zgadza się na dialog z Kijowem pod warunkiem, że Ukraina z góry zaakceptuje wszystkie rosyjskie żądania.

Nie pomniejszam wartości kompromisu czy nawet konsensusu na poziomie władzy ustawodawczej lub w kontaktach międzynarodowych. Co więcej, niejednokrotnie należy zrezygnować z prawdy, by zachować życie lub inne wartości. Mówienie nieprawdy nie jest wszak zakazane ani w Dekalogu, ani w kodeksie karnym, ani w żadnej zbiornicy cenionych mądrości. Dopóki nieprawda jest neutralna w kategoriach agatycznych (ze względu na dobro/zło), nie jest specjalnie potępiana. Zresztą trudno byłoby żyć bez drobnych, łagodzących konfliktu grzeszności, czyli kłamstewek. Ale tolerowanie nieprawdy kończy się tam, gdzie poprzez „dawanie fałszywego świadectwa” wyrządzamy komuś rzeczywistą szkodę, gdy sprawiamy, że ktoś przez nasze słowa cierpi lub ginie. Wtedy nieprawda nie jest logicznym zaprzeczeniem prawdy, ale zwykłym stryczkiem.

Nie zgadzam się jednak z tezą, że prawdę można jakoś zrównać z konsensem. Prawda jest tam, gdzie jest i żaden konsensus tego nie zmieni. Natomiast decyzje polityków i działania całych państw mogą być podejmowane nie na podstawie prawdy, ale w wyniku negocjacji i porozumienia, wzmacniającego inne niż prawda wartości, np. zdrowie lub życie. W sensie ontologicznym prawda różni się od konsensusu zasadniczo, natomiast w sensie pragmatycznym – jedna wartość może być zastępowana przez drugą, jeżeli jest to warunkiem osiągnięcia większego dobra.

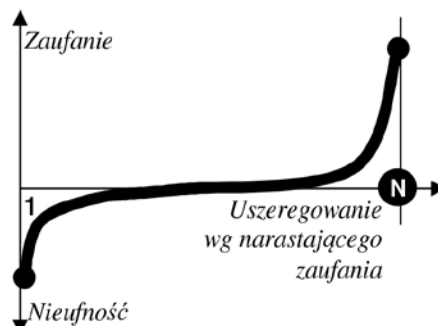
Niekiedy możemy uzgodnić, że postępujemy tak, jakby danej prawdy, nawet bardzo ważnej, nie było. Ileż to razy przywódcy tego świata musieli udawać, że nie znają prawdy z tchórzostwa, nieodpowiedzialności lub właśnie z poczu-

cia odpowiedzialności, by chronić ważne wartości, np. istnienie swojego państwa. Od rezygnacji z konsekwencji prawdy zaczyna się wybaczenie, choć również – wielka niesprawiedliwość. Ostatecznie: gdy służy to dobru stron i reszty świata, z prawdy można zrezygnować. Ale pod żadnym pozorem nie możemy dobrowolnie powiedzieć, że nieprawda jest prawdą. Bo to by było nieprawdą!

Katastrofa spotkania

Wspomniany na początku wywiad z prof. Krzysztofem Wieczorkiem opatrzone tytułem „Katastrofa spotkania?” (ze znakiem zapytania). Z punktu widzenia filozofii czasownikowej – ów znak zapytania nie jest potrzebny. Bo ta katastrofa rzeczywiście nastąpiła. Nie teraz, lecz sto lat temu, gdy Martin Buber opublikował „Ich und Du” („Ja i Ty”, Leipzig 1923), a raczej – gdy w jego dziele dostrzeżono postulaty uniwersalne. Zapewne – w związku z rocznicą wydania „Ich und Du” – będzie się o tym dużo w tym roku mówić. Tu tylko odnotuję, że postulaty, czy też mistyczne marzenia Bubera potraktowano jako pewne wytyczne, obowiązujące obydwie strony relacji dialogicznej: międzyludzkiej. I to jest właśnie katastrofa, bo od drugiego człowieka (jak w przykładzie z dłużnikiem) możemy oczekiwać tylko tego, co on może dać lub powiedzieć, a nie tego, czego byśmy sobie życzyli. Nie powinniśmy się więc dziwić, że jakieś „Ty” ma własną filozofię i działa niezgodnie ze sprzeczną w sobie filozofią spotkania.

Słabością filozofii rzeczownikowo-zaimkowej jest konieczność operowania dychotomiami, np. „zaufanie/nieufność”, „Ja/Ty”. Rzeczownikowe terminy nazywające pojęcia są zazwyczaj nieskalowalne: coś, co nie jest prawdą jest nieprawdą. Istota filozofii czasownikowej polega na skalowalności, wielowymiarowości, a w logice na wielowartościowości dyskretniej i rozmytej. Omawiam to w książce „Wprowadzenie do etyki czasownikowej”, Katowice 2022. Rozpatruję tam wiele przykładów, w tym „uszeregowanie według zaufania, jakim darzymy inną osobę w rozpatrywanej sytuacji” (uszeregowanie porządkuje populację od 1 do N według wybranego kryterium). ■



Autorefleksja

w mojej głowie
 nigdy nie odkładam pióra
 wyrobiona stalówka
 gładko przenosi kolejne refleksje
 w głąb osobistego pamiętnika
 którym (nie)chętnie się dzielę
 z bliźnimi
 (rzadko wybranymi)
 zapatrzonymi w siebie
 niczym w jakieś bóstwa

nie jestem tłem dla kogoś
 ktoś nie jest dekoracją dla mnie
 wciąż odkrywam puls świadomości
 w sobie i w innych
 ciekawy cudzych osądów
 lecz nie skazany na nie
 wszystko układam po swojemu
 choć nie od początku
 (nie wspominając o końcu)

trwam w podróży
 z odwiecznym pytaniem: co będzie dalej

Bez pamięci

posłany niczym uczeń
 z pierwszej klasy
 który nawet o ubiorze nie może
 suwerennie decydować
 trafia do miejsca
 o którym tylko Łazarz
 mógłby szepnąć wiarygodne słowo
 ale jego zmartwychwstanie też miało swój kres
 (Bóg się nie liczy –
 znaczy więcej niż człowiek)

posadzony jak pierwsza lepsza rabatka
 (dożywocie bez prawa do apelacji)
 pod ceglany murem
 w cieniu sędziwego drzewa
 z czasem pokryje się kamieniem
 a ten mchem
 który wszystkim pogubionym
 dobitnie wskaże
 kierunek północy
 i siłą rzeczy
 położenie południa

znany z imienia i nazwiska
 (nielicznym)
 za kilka pokoleń
 zostanie całkiem bez pamięci
 kreśląc krótki życiorys
 własnymi kośćmi
 z kruchą wiarą
 w cud archeologii

Boski śmiech

słysząc chichot Klio –
 zgarnęła pulę w zakładzie o przyszłość
 (czas stosem monet)

wietrzna historia: rozniecać ogień, zdmuchiwać płomyki
 knocić wszystko
 i nie oglądać się na morze pokoleń
 (ich lzy solą ziemi)
 które całkiem utknęły w martwych polach
 zwiedzone przyplływami i odpływami
 sadzone czterema literami
 na mieliznach płytkich wyborów

zgoda: sprawiedliwy osąd nie lubi liczby mnogiej
 więc pyta o człowieka
 a trafia się kolejny golem
 z ustami wypreparowanymi papierkami po cukierkach
 (czyżby deficyt słowa, które stwarza człowieka)

bosko się baw nasienie Olimpu
 lecz w godzinie próby
 nie udawaj Greczynki
 gdy za plecami usłyszysz
 ludzki rechot

Cisza

atakowana z każdej strony
 przez słowa mądre i głupie
 puste lub pełne obietnic
 (w większości bez pokrycia)
 wciąż szuka
 własnego miejsca na ziemi

kakofonia codzienności
 gotowa jest wypłoszyć
 nawet pokątną ciszę
 oferując skromne schronienie
 aż do pierwszego dnia tygodnia
 w zimnych murach kościoła
 gdzie może szukać pocieszenia
 w słowach modlitwy:
 Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie [...]. Amen

wzgardzona przez ogół
 ogląda się na człowieka
 w liczbie pojedynczej
 by w stanie błogosławionego skupienia
 (będąc najlepszą akuszerką)
 pomóc z przyjściem na świat
 pulchnej refleksji nad życiem
 zanim to upadnie
 lub całkiem skończy na dnie
 bez cienia szans na wybicie się

Dzień powszedni

resztki twarzy
zbierasz co rano z poduszki
i stawiasz przed obliczem lustra
stroisz kilka min
rzucasz poważne spojrzenia
by bez przymrużenia oka
całość potraktować zimną wodą
nie masz czasu na uśmiech
jest zwykle okazanie zębów
zamiast czulego dotyku kochającej ręki
stalowe ostrza maszynki do golenia
w głowie kłębią się myśli
które nazywasz planem dnia
na wiadomość o godzinie
z wypłukanego gardła
wydobywasz na świat
krzyk rozpaczny
i lecisz
w drodze szarpiąc nerwowo
za klamkę

Jabłko Newtona

czy nikomu nie ciąży
los jabłka Newtona
zgniło
a może w nagrodę skończyło na tacy
(za namową jakiejś Salome)
czy w ogóle było

z sir Isaacem przeszło do legendy
zacierając w ludzkiej pamięci
skutki grzechu pierworodnego
z czasów ogrodu Eden
przystało tylko być
kością niezgody w dłoni Parysa
któremu jedna w głowie
i pyszną ozdobą monarchy
dzierżącego w dłoni los
niejednego poddanego

Dość mitów

granice życia
przesunęły się w kierunku pnia mózgu
rodząc z tyłu głowy pytanie: co dalej

nauka nie lubi barier
których nie mogłaby przesunąć
płodząc kolejne teorie
(dorzeczne lub nie)
poparte dowodami
często niezbitymi
z którymi się rozprawi
jeszcze nienarodzony

z jabłka nie został ogryzek
(mniejsza o ogonek)
a perspektywa wszechświata
nawet człowieka
sprowadziła do roli myszy laboratoryjnej
(oby z pożytkiem dla ogółu)

Mit

nawet skromny sukces
jest obwarowany szeregiem niepowodzeń
(nie)zawodną metodą prób i błędów
które z reguły lubią się powtarzać
czasem wypadkową
cudzych potknięć i pomocnych dłoni
które dalej zaszyły

tyle lat doświadczeń
a my wciąż mówimy o szczęściu
że ktoś ma go mniej od innych
zrzucając winę na wiekową Fortunę
której szczyt boskiej kariery
pamięta czasy starożytne
(siedzi po turecku obok pustego krzesła Oktawiana)

łatwiej marzyć niż śnić na jawie
łatwiej przypisywać niż brać odpowiedzialność
łatwiej oskarżać niż posypywać głowę popiołem

co przychodzi łatwiej
nie sięgnie wysoko
zgłębiając meandry dna

Portret człowieka rozumnego

suma lęków
tworzy portret
człowieka rozumnego
duszącego się
w ciasnych ramach ciała
(czasami ciemnego umysłu)
zniewolonego wszystkimi zmysłami
z przeklętą świadomością bytu
który kiedyś musi się skończyć
z każdego czyniąc Magellana
tajemnicy życia wiecznego

z punktu widzenia świata przyrody
przedstawiciel swojego gatunku
historia uczy
że chwilowo wiodącego
skończenie (nie)doskonałego
którego żywot rozgrywa się
nie na deskach teatru
lecz w plenerze
wiejskiego zaścianka
lub miejskiej dżungli
gdzie nie ma praw i zasad
na tyle świętych
by nie dało się ich zwieść na manowce
opuszczając
(czasami na dobre)
jedynie słuszną drogę

„Korowód weselny” – monumentalny fryz malarski w sali parady Landshuckiego ratusza jest dziełem równie doskonałym jak wszystkie naścienne malowidła wykonane po roku 1831 przez Juliusa Schnorr von Carolsfelda w pięciu salach Nibelungów monachijskiej Rezydencji. Fryz landshucki został wykonany po roku 1876 po przebudowie w duchu historyzmu miejskiego ratusza. Julius Schnorr, nazareńczyk (1872) już wtedy nie żył, ale w Monachium pozostawił po sobie szkołę malarstwa historycznego w tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych. Szkoła ta – powstała po powołaniu przez Ludwika I króla Bawarii Schnorra na profesora Akademii – ukształtowała także autorów landshuckiego fryzu. Jak bardzo wysoki był jej poziom świadczy najokazalszy, jaki powstał w XIX wieku (niestety zniszczony w roku 1944), cykl malowideł naściennych inspirowany tradycją średniowiecza. Powstał on spod pędzla Schnorra w salach cesarskich Rezydencji Monachijskiej i przedstawiał sceny z życia Karola Wielkiego, Fryderyka I Barbarossy i Rudolfa I Habsburga.

Niemcy, którzy po wojnach napoleońskich pobudowali wiele pomników sławiących własną rodzimą tradycję historyczną, utrwalili we fryzie zdobiącym landshucką „Rathausprunksaal” osobliwy moment, dokumentujący wielkość panującego w owym czasie w Królestwie Polskim Domu Jagiellonów. Malarzy, którzy tego dokonali w sali, która gościła z końcem XV wieku cesarza Fryderyka III i oblubienicę Landshuckiego wesela Jadwigę Jagiellonkę, córkę Króla Polskiego Kazimierza, było czterech: August Spieß, Rudolf Seitz, Ludwig Löfftz i Konrad Wiegand. Dla zilustrowania ich umiejętności artystycznych odniosę się do Rudolfa von Seitz, autora fresku wypełniającego absydę franciszkańskiego kościoła pw. świętej Anny w monachijskiej dzielnicy Lehel. Samo dzieło Seitz, jak i wiele kościołów powstałych w tym czasie, nie wyłącza nowożytności, nie wyłącza nowego ratusza monachijskiego, obrazuje wpływ historyzmu na kształtowanie się oblicza XIX-wiecznego Monachium. Sam osobiście odszukałem w tym mieście neoromański kościół świętego Benona przy Ferdinand-Miller – Platz, bo na nim miał wzorować się franciszkański architekt brat Mansuetus Fromm, kiedy projektował panewnicką bazylikę. Historyzm był kierunkiem artystycznym i filozoficznym, bazującym na wiedzy historycznej, obejmującej powstałe w ciągu wieków style artystyczne. Nie musimy wymyślać nowych kierunków w sztuce, wystarczy że potrafimy te, które znamy, odpowiednio zastosować – pisał jeden z krytyków krakowskich z końcem XIX wieku przed nadejściem secesji.

Historia wpisała Landshuckie Wesele w historię miasta, które w roku 1475 uczestniczyło w uroczystej fiescie w kształcie, który w tych rozmiarach w wymiarze europejskim już nigdy się nie powtórzył. Można mówić o wymiarze europejskim, bo w uroczystości zaślubin Jerzego Wittelsbacha, zwanego Bogatym, z córką króla Polskiego Jadwigą

Weselny korowód

Ks. HENRYK PYKA

uczestniczył sam cesarz Fryderyk III. Jego monumentalny grobowiec, dzieło Mikołaja z Leydy oglądamy dzisiaj w katedrze świętego Stefana we Wiedniu. Uczestniczył w tym wydarzeniu przysły twórca potęgi Habsburgów syn Fryderyka III Maksymilian i wielu książąt Rzeszy. Zaś prymas Germanii, arcybiskup Salzburga błogosławił ten związek w równie wspaniałej jak sama uroczystość kolegiacie świętego Marcina i Kastulusa. Jego wieża, dzieło Hansa z Burghausen, licząca 131 m. wysokości uchodzi za najwyższą z ceglanych wież na świecie.

Landshut faktycznie jest wspaniałym miastem historycznym, w które nie trudno wpisać nie tylko wyobraźnię to, co się działo tu przed bez mała 550 laty. Za dwa lata minie okrągła rocznica wesela Landshuckiego. W tym jednak, biejącym dwutysięcznym dwudziestym trzecim roku, po siedmioletniej przerwie spowodowanej pandemią Landshuckie Wesele odżyje feerią barw, historycznych kostiumów. Cyklicznie powtarzane jest normalnie co cztery lata. Dziewięć tysięcy przebierańców przejdzie w uroczystym korowodzie odprowadzającym na ślubny kobierzec wysoko urodzoną parę, która małżeństwem miała wzmocnić alians najpotężniejszych europejskich dworów. Tak będzie począwszy od 30 czerwca tegoż roku przez trzy tygodnie. Bowiem ze względu na wielki napływ turystów z całej Europy, korowód przez kolejne trzy niedziele przejdzie ulicami miasta. Zaś różne formy aktywności minstrelów, fechtmistrzów, kucharzy dworskich i książęcych błaznów przez te trzy tygodnie wypełnią codzienność Landshutu. Miejsca na trybunach nie są tanie, bo dochodzą do 50 euro. Niemcy lubią też zjeść i potrafią zadbać o to, by nikt z Landshutu nie wyjechał głodny czy spragniony.

Skoro historia potrafi dzisiaj na siebie zarabiać zwróćmy się ku historii.

Jadwiga była najstarszą córką Kazimierza Jagiellończyka i jego żony Elżbiety Rakuszanki córki króla niemieckiego, czeskiego i węgierskiego Albrechta II Habsburga. Elżbieta, mimo że nie grzeszyła urodą, obdarzyła Króla licznym potomstwem. Urodziła aż trzynastoro dzieci. Czterej synowie zostali królami, jeden kardynałem, jeden świętym (Kazimierz). Zwana Matką Królów dbała także o dobre wychowanie córek, które z czasem

od Pomorza po południowe Niemcy weszły w układy matrymonialne z wysoko postawionymi rodzinami książęcymi. Zofia, która weszła w związek z domem Hohenzollernów była matką Albrechta, znanego z Hołdu Pruskiego, który w swoich sukcesorach mocno miał zaciążyć nad dziejami Polski.

Jadwiga, kiedy przybyła na dwór Wittelsbachów w Landshucie, mówiła tylko po polsku. Matka jej, choć była Niemką, mówiła do dzieci na Wawelu w polskim języku. Używała także łaciny i języka węgierskiego. Jadwiga w Landshucie musiała korzystać z posługi tłumaczy. Przepych, jaki otaczał Jadwigę, autorzy fryzu landshuckiego zaakcentowali umieszczając w centrum kompozycji złotą karocę, z której właśnie wysiadła królowa. Przywiozła ze sobą bogaty posąg w postaci ubiorów, klejnotów, przedmiotów użytkowych. Dla podkreślenia odrębności kulturowej Jagiellonki malarze przedstawili uwijających się wokół karocy hajduków w osobliwych kostiumach, niekoniecznie z epoki, bardziej z fantazji twórców malowidła. Niech nas nie zwiedzie obecność cesarza, jego syna Maksymiliana. Oczywiście splendor był niemały. Cesarz pierwszy prosił królewską córkę do tańca, kiedy zaczęło się weselne świętowanie. Ale nie o obnoszenie się z powagą cesarskiego majestatu tu chodziło, a o interesy cesarskiej rodziny, której zasadą rządzenia była skierowana na matrymonialne związki polityczna dewiza Habsburgów: „Bella gerant alii, tu, felix Austria, nube”. Małżeństwo jako narzędzie polityki dynastycznej. Faktycznie już Maksymilian, syn cesarza Fryderyka III z tej dewizy zrobił najlepszy użytek, a wyrażał się on w panowaniu Habsburgów nad imperium nad którym nie zachodziło słońce. Małżeń-



stwo Jadwigi skrywało znacznie skromniejszy zamiar. Zarówno król polski Kazimierz, jak i cesarz Fryderyk mieli wspólnego przeciwnika w ich dążeniu do zawładnięcia czeską i węgierską koroną. Był nim król węgierski Maciej Korwin, którego zagony zapędziły się aż pod Wrocław, który zajęły. Oblegany przez wojska królewskie nie został zdobyty.

Zmiana losu fortuna obróciła się przeciw Fryderykowi, kiedy obie korony, czeska i węgierska, przypadły synowi Kazimierza Jagiellończyka, Władysławowi. Wtedy to pierwszy tancerz Landshuckiego wesela zwrócił się przeciwko polskiej Koronie wchodząc w układy z Iwanem Groźnym, księciem Wielkiego Księstwa Moskiewskiego. Sugerował mu zabór wschodnich rubieży Rzeczypospolitej celem jej osłabienia. Landshuckie malowidło skrywa brutalną, choć stanowiącą Realpolitik prawdę, którą bezwstydnie wyraził Winston Churchill, kiedy powiedział: „Anglia nie ma ani stałych wrogów, ani stałych przyjaciół. Ma stałe interesy”.

Losy oblubienicy Landshuckiego wesela były równie zmienne jak losy aliansu polsko-rakuskiego, ale wynikały z personalnych relacji małżonków: Jadwigi i Jerzego Bogatego. Ponieważ był bogaty, stać go było na hulaszczym życiu. Tymczasem Jadwiga była bogobojnie przez matkę wychowana i przysposobiona do cnotliwego życia małżeńskiego. Urodziła Jerzemu pięcioro dzieci, z których tylko dwoje zaznaczyło swoje miejsce w historii: Elżbieta w związku małżeńskim z Rupertem, księciem Palatynatu, byłym biskupem Fryzycji, i Małgorzata, księżniczka bawarska, księżka w Neuburgu nad Dunajem. Po śmierci swego ojca, która nastąpiła w roku 1504, w dwa lata po śmierci Jadwigi, obie były świadkami wojny sukcesyjnej domu Bawarskiego i panoszącej się Reformacji.

Uczestnik Landshuckiego wesela, przybyły z Polski znajduje swoje „interesy” nie tylko w Landshucie. Zainteresowany polską historią wplątana w dynastyczne plany wielkich europejskich domów dynastycznych po-

węduje do Burghausen, gdzie w roku 1502 dokonała się smutne życie Jadwigi, osamotnionej i pozbawionej wszelkich dworskich uciech. W dziesięć lat po hucznej weselnej imprezie Jadwiga została przez męża hulakę osadzona wraz z dziećmi w średniowiecznej twierdzy, zamku Burghausen wznoszącej się na wzgórzu ponad przepływającą poniżej rzeką Salzsach. Zamek faktycznie robi duże wrażenie, kiedy ogląda się go z przeciwległej, austriackiej już strony, z punktu widokowego w miejscowości Ach. Ponoć to najdłuższy zamek w Europie. Tworzy go zespół budynków pełniących różne funkcje gospodarcze i obronne zabezpieczające mieszkańców średniowiecznej twierdzy położonej nad urwistej skarpie schodzącej do rzeki. Ponad kilometrowy spacer pomiędzy zabudowaniami zespołu zamkowego jest dużą atrakcją. Dla Polaka niemałą niespodzianką stanowi wizerunek orła białego w dynastycznym „upierzeniu” Jagiellonów (Korona i Pogoń) zespolony z barwami Domu Bawarskiego. To ślad Landshuckiego wesela, utrwalony na bramie Jerzego Bogatego w postaci zwanej przez Niemców „Alianzwappen”. Jest i gotycki kościółek z fundacji Jadwigi Jagiellonki poświęcony świętej Jadwidze, patronce królowej. Nałożona na gotycki „sznyt” renesansowa dekoracja być może jest refleksem coraz to bardziej piękniejszego Wawelu. Ale cóż mogła Jadwiga o tym nowym, piękniejszym od czasów królowania jej brata Aleksandra, Wawelu wiedzieć. Kiedy zaczęła się przebudowa Wawelu już nie żyła, zaś wcześniejsze kontakty Jadwigi z rodziną urwały się. Brat jej Aleksander w dwa lata po śmierci Jadwigi w liście do swego żyjącego jeszcze szwagra Jerzego pytał o zdrowie swojej siostry.

Schodzę więc, nieugoszczony uczestnik landshuckiego wesela z zamku i mijając uroczę bawarskie miasteczko podążam doliną Salzsachu w kierunku cysterskiego opactwa w Reitenhaslach, gdzie złożono doczesne szczątki Jadwigi. Idę drogą, którą podążał niedługo orszak pogrzebowy z jej ciałem.

Po drodze za miastem gotycki kościół świętego Krzyża z fundacji Jadwigi i Jerzego. To miejsce dawnego leprozorium i dokument pietyzmu wobec najbardziej przez chorobę i cierpienie opuszczonych. W zworniku wieńczącym gotyckie sklepienie kościoła ponad moją głową biały orzeł na czerwonym tle szybuje ponad stuleciami historii obydwu Narodów.

Opactwo w Reitenhaslach jest nekropolią Wittelsbachów. Bogata polichromia sławi życie i czyny najznamienitszego z cystersów, świętego Bernarda z Clairvaux. Fasety okalające centralne malowidła przedstawiają herby wysoko urodzonych i w tym kościele pochowanych. Polichromia powstała dwieście pięćdziesiąt lat po śmierci Jadwigi. Nie ma tu jej herbu, bo nikt już wtedy nie pamiętał Landshuckiego wesela. Na środku kościoła stał jednak okazały sarkofag, który zdobiły właśnie te dystynkcje, które widziałem na bramie Jerzego w Burghausen: polskie orły i białoniebieska szachownica Królestwa Bawarii. Dzisiaj na tym miejscu znajduje się czerwona, porfirowa płyta, na której pod wizerunkiem heraldycznego Orła czytamy:

HEDWIG KÖNIGIN VON POLEN BRAUT DER LANDSHUTER HOHZEIT

Płytę położono w miejscu pochówku Jadwigi wtedy, kiedy po roku 1903 na fali historyzmu Landshut stał się miejscem ponawianej cyklicznie historycznej parady. Sarkofag został usunięty, wtedy kiedy klasztor ukazami Józefa II został skasowany, a świątynia stała się kościołem parafialnym. W wyniku sekularyzacji cystersi musieli opuścić klasztor. Nowy właściciel, rodzina Baumgartnerów w miejscu konwentu zakonnej uruchomiła browar raczący piwem nawiedzających miejscowy „Gas-thaus”. Piją Niemcy rżnięte piwo „Geschnittenbier”. Po trochu piwa, po trochu lemoniady. Przypomniałem czytelnikom historię, którą dzisiaj zdominowała ludowa fiesta. Sam nie wiem, czy więcej w tym piwa, czy więcej historii. ■



Dziennik zdruzgotanego życia (12)

ANNA GURBICZ, WITOLD TURANT

Nie istnieje powód śmierci bardziej powszechny i bardziej skuteczny niż wojna. Wojna zabiera ci – ach, ile – ale w zamian oferuje racje usprawiedliwiającej straty. Racje wyższe, których nikt, nawet ty sam, nie może odrzucić.

Martin Caparrós, Dziadkowie,
Przekł. M. Szafrńska-Brandt

Gdyby odwołać się do tradycji w stylu nieco sienkiewiczowskim, należałoby powiedzieć, że na Dzikich Polach wystąpiły dziwne zjawiska, będące zapowiedzią jeszcze bardziej dziwnych zjawisk. Jakieś rozbłyski na niebie, do których nikt nie chce się przyznać, zgubione bomby, bezpieczeństwa drony i temu podobne. Aha, jeszcze w naszych tym razem ostępach leśnych znaleziono rakiety, która przeleżała tam od niepamiętnych czasów. Ponoć mogłaby, gdyby chciała, przenosić ładunek nuklearny. Najwyraźniej nie chciała i dlatego przybyła niezauważona. W przeciwnym wypadku być może by zauważono. No ale cóż znaczy jedna rakietka w dzisiejszych czasach? Na Anie z pewnością nie zrobi wrażenia, tym bardziej, że Ukraina jakby przyciąła się. Z niecierpliwością oczekuje skoku, którym zapewne będzie kontrofensywa i próba odzyskania zagarniętych przez Rosję terenów. Teraz albo – nie wiadomo kiedy; tak mówi świat, który, owszem, pomaga Ukrainie, ale wolałby, by wojna w miarę szybko się zakończyła. Ukraińcy, co oczywiste, chcą tego samego, ale chcą także, by to zakończenie nastąpiło na ich warunkach. Rosja oczywiście tego nie chce. A czego by chciała? Czegokolwiek chce, na razie jej działania wydają się przeciwnie skuteczne. Wróćmy jednak do Dniepru, gdzie Anna przeżyła kolejną bezsenność.

19.04.2023. *Sytuacja u nas wyraźnie się zaostrza. Przez pół nocy drony nie dawały nam spać. A teraz deszcz i wielka senność. Walczę z tym, bo jestem w pracy. Nie jest tak źle, bo znalazłam chwilę, żeby do ciebie napisać.*

Dziś wielkie poruszenie. A właściwie wszystko zaczęło się wczoraj późnym wieczorem od wielkiego rozbłysku nad Kijowem. Nie był poprzedzony alarmem, nie spowodował żadnych strat. Wszyscy zastanawiają się, co to mogło być.

20.04. *No właśnie. Prawdziwa zagadka i sensacja. Najpierw była mowa o spadającym satelicie, być może amerykańskim, następnie mówiono o meteorycie, a ostatecznie stało się o „obiekcie pochodzenia kosmicznego”. Słowem prawdziwa kosmiczna zagadka. A jeśli chodzi o ziemskie sprawy, to w nocy rosyjskie drony dały nam po raz kolejny niezłą szkołę. Coś okropnego.*

21.04. *Dziś w nocy rosyjski samolot zgubił bombę nad Białogrodem, 40 km od ukraińskiej granicy. Dwie osoby zostały ranne. Dziwisz się, że Rosjanie przyznali się do tego? A co mieli zrobić? Gdyby zwalili to na nas, dopiero by była tam panika. Może i mieliby pretekst do jakiegoś zmasowanego odwetu, ale panika wśród ludności przy granicy bardzo by im zaszkodziła. Aż tak durni nie są.*

W naszych rozmowach nazywam Anię Kozaczką, bo ze względu na swój charakter, upór, zadziorność i odwagę, a także bliskość Zaporozża, tak mi się kojarzy. Ale czy to prawda, czy ona się z tym zgadza? Co my w ogóle wiemy o historycznych grupach etnicznych Ukrainy?

To mniej więcej wygląda tak: tereny od Lwowa po Mikolajów zamieszkują Podolanie. Bojkowie to środkowa część naszych Karpat, Huculów znajdziemy na południowym wschodzie Karpat, Łemkowie zajmują górskie tereny pogranicza z Polską i Słowacją, Poleszycy to pogranicze ukraińsko-białoruskie, Kubańscy Ukraińcy są na pograniczu z Rosją, a Słobodzianie zamieszkują środkową Ukrainę. Zaliczam siebie do tej ostatniej grupy etnicznej.

Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci to być Kozaczką.

Oczywiście, że nie. Zapytaj pierwszego lepszego dziecka na ulicy, kim jest, to ci odpowie z dumą: ja Kozak!

Ciekawi mnie jeszcze kwestia słynnych ukraińskich wyszywanych koszul i bluzek.

One są charakterystyczne dla wszystkich regionów, ale różnią się wzorami wyszyć i innymi zdobieniami. Najbardziej efektowne i strojne są huculskie. Nasz niedoszły król, Wilhelm Habsburg, takie koszule nosił, miał do nich słabość, stąd przeszedł do historii jako Wasyl Wyszywany. Ale to całkiem inna historia. Może kiedyś...

To postać mi znana. Spoglądał także w stronę polskiego tronu, tylko że tronu już u nas wtedy nie było.

22.04. *Boże drogi, jak u nas leje. Cały dzień deszcz. Bez nadzieja. A ja cały dzień w pracy. O czym tu pisać?*

Pojawiają się wiadomości o zdobyciu przez Ukraińców przyczółka na lewym brzegu Dniepru oraz o ich kontroli nad licznymi wyspami na tej rzece. Jednocześnie media informują o przełożeniu kontrofensywy na późniejszy termin. Bądź tu człowieku mądry – co jest prawdą, co zasłoną dymną, a co zwykłym wymysłem mediów, jako że jest oczywiste, iż dzień rozpoczęcia wielkiego przeciwnatarcia będzie tajemnicą, dopóki nie nadejdzie. Liczę na jakiś sensowny komentarz ze strony Anny.

23.04. *Co ci mam powiedzieć? Zarówno kontrofensywa, jej termin jak i zajmowanie nowych pozycji to głęboka tajemnica. Mówi się nam tylko, że przeciwnatarcie i jego rezultaty będą także dla nas wielką niespodzianką. Z pewnością o wiele większą, niż dzisiejsza słoneczna pogoda po wczorajszych ulewach.*

25.04. *Wczoraj miałam wolne. Byłam na cmentarzu... Tydzień po Wielkiej Nocy jest u nas dzień pamięci o zmarłych. Poza tym niewiele się dzieje. Nasze media także nabrały wody w usta, ale powszechnie uważa się, że to ciższa przed burzą.*

Czytam o przyborze wód na Ukrainie po ostatnich deszczach.

Rzeczywiście, wody ostatnio bardzo się podniosły, szczególnie w Dnieprze. W zaporoskiej zaporze trzeba było otworzyć przepust awaryjny. W normalnych czasach byłby to z pewnością powód do niepokoju, a nawet paniki. Popatrz na to nadbrzeże Dniepru w naszym mieście. Widać tylko oparcia ławek. One stoją dość daleko od koryta rzeki. Wygląda to groźnie. Jednak w tym zwariowanym czasie wojennym większość

z nas myśli: „ach, powódź może nadchodzić; cóż wielkiego? Na co dzień mamy większe atrakcje”. Pytasz, czy nie przeszkodzi operacjom wojskowym – sądzę, że nie.

Tymczasem nowe rodzaje broni, o wręcz niezwyklej, jak twierdzą media, skuteczności, trafiają na front, głównie na odcinek bachmucki, gdzie od 11 miesięcy toczą się najbardziej zacięte walki. Głównie są to czołgi Challenger i Gepard oraz rakiety naprowadzane na cel niezwykle precyzyjnymi systemami. Na Krymie wojska najeżdżycy okopują się, a ludność, według medialnych doniesień, jest na krawędzi paniki. Pojawiają się też nowe, bardziej lub mniej szczerze inicjatywy podjęcia pokojowych negocjacji. Krążą spekulacje na temat warunków, inaczej mówiąc ceny pokoju dla Ukrainy. Prezydent Żelenski jest jednak nieugięty; przedstawionych już jakiś czas temu warunków rozpoczęcia rozmów pokojowych nie zamierza zmieniać. Ale to nie jest upór nieodpowiedzialnego polityka. Prezydent ma świadomość, że pochopnie i na niekorzystnych warunkach pokój zawarty teraz, prędzej czy później po skutkuje nową wojną.

27.04. Pytasz o tę strzelaninę pomiędzy różnymi grupami najemników rosyjskich? Owszem było coś takiego. To zbieranina z różnych regionów Rosji, dawnych republik i żrą się pomiędzy sobą. Mam jednak bardziej szokujące wieści. Otóż Rosjanie skarżą się całkiem oficjalnie, że są notorycznie gwałceni przez np. Czeczenów. Zapewniam cię, że chodzi wyłącznie o mężczyzn. Czeczenów jest raczej niewiele, a Rosjan są tysiące, więc zastanawiam się, jak to możliwe. Słusznie zauważasz, że to głównie skazańcy i być może jest to zachowanie wyniesione z więzienia. W każdym razie sama nie wiem, jak na to reagować. Śmiać się nie ma z czego, ale z drugiej strony czy mogę im współczuć?

Różne rzeczy na wojnie się zdarzają. Niektóre jednak trudno komentować. I na tym poprzestaamy.

28.04. Dziś w nocy horror. Rakiety uderzyły w osiedle mieszkaniowe w Dnipro i w Humanu. Są liczni zabici, m.in. u nas trzyletnie dziecko, i ranni. Wciąż trwa akcja ratownicza i nie wiadomo, jaki będzie ostateczny bilans ofiar. Celem były głównie kilkunastopiętrowe bloki; aż boję się myśleć o tym, co tam się w tej chwili dzieje. A tu też... Alarm, słychać syreny i wybuchy. Okropny dzień i mam tylko jedno słowo w głowie: skurwysyny, a w sercu nienawiść. Jest mi dzisiaj tak ciężko. I tak jest za każdym razem, kiedy dzieje się coś takiego. (Ania przysłała video z Dnipro i z Humanu). Popatrz na tę piękną młodą mamę i jej córeczkę. Obie nie żyją. I te zdewastowane i płonące budynki. Najgorzej znośnię wiadomości o ginących dzieciach. To jest nie do zniesienia. W takich chwilach marzę, by mieć w rękę karabin maszynowy. Najnowsza wiadomość z Humanu – 14 zabitych. Oby nie było ich więcej. Teraz ogłosili, że ich pociski trafiły precyzyjnie we wyznaczone cele. Czyli co, kurwa? Przyznają się, że mordują cywilów z rozmysłem.



Muszę przyznać ze wstydem, że odpowiedziałem Ani mało wykwinną polską wiązańką pod adresem napastników. Przeprosiłem i usunąłem, a ona na to:

Hehe, za późno. Użyłam translatora. Nie powiem, trafne określenia.

30.04. Ostatnio nie pisałam, bo zachorowała moja najmłodsza córeczka. Miała bardzo wysoką temperaturę. Martwiłam się i cały czas musiałam się nią zajmować. Oczywiście był lekarz i stwierdził infekcję wirusową. Dziś mogłam odetchnąć, bo jej stan się poprawił. Rozumiesz, że w naszej sytuacji takie dolegliwości są podwójnie niepokojące.

Wczoraj zakończono akcję ratowniczą w Humanu. Pod gruzami budynku znaleziono dalsze ofiary, m.in. czworo dzieci. W Rosji osoby, które usiłowały złożyć hołd zabitym, m.in. składając kwiaty u stóp pomnika Łesi Ukrainki, zostały surowo ukarane. Pewna emerytka, która na internetowym forum potępiła ten mord i w ogóle napisać na Ukrainę, została skazana na grzywnę w wysokości miliona rubli. Rubel niewiele wart, ale milion dla ubogiej emerytki...

1.05. Nocą znowu urządzili nam horror. Co prawda wszystkie rakiety lecące w stronę Dnipro zostały zestrzelone, ale za to w Pawłogradzie w naszym obwodzie masakra. Ostrzelano także kilka innych miast. Takie pierwszomajowe pozdrowienia. Cholerne komunistyczne święto „robotniczej solidarności”. To było do przewidzenia, bo oni nie pominą żadnego święta, żeby nas nie pozdrowić zmasowanym atakiem.

Nasze media informują o wielu rannych i poważnych zniszczeniach w Pawłogradzie.

2.05. Ten Pawłograd to rzeczywiście poważna sprawa. Trafili tam także w magazyny stałego paliwa raketowego. Naszemu regionowi grozi katastrofa ekologiczna. Na razie o tym się oficjalnie nie mówi, żeby nie wywoływać paniki, jak sądzę. Byłam wczoraj w szpitalu z moją córcią. Zrobili jej dokładane badania i mnóstwo testów, także na COVID. Na szczęście wszystkie dały negatywne wyniki, a mała czuje się znacznie lepiej i, co bardzo mnie cieszy, nie ma mowy o oddaniu jej do szpitala.

3.05. Witaj, mój drogi. U mnie wszystko dobrze, ale nocą słyszeliśmy liczne wybuchy. Przyleciało siedem dronów i zestrzelono wszystkie, z wyjątkiem jednego. Trafił w budynek naszej administracji. Wygląda na to, że obyło się bez ofiar, ale tam jest teraz wielki pożar.

W światowych mediach sensacja goni sensację. Najnowsza to wiadomość o dronach uderzających, zresztą wyjątkowo nieskutecznie, w Kreml. Rosja obwinia Ukrainę o zamach na swojego prezydenta, a Ukraina wykpiwa te oskarżenia. Istnieje również taka ponura możliwość, że to rosyjska prowokacja, poszukiwanie alibi dla jakiejś wyjątkowo okrutnej akcji przeciw Ukrainie. Takie rzeczy już się zdarzały. Rosyjskie służby specjalne to potrafią, nie licząc się z kosztami.

Jestem przekonana, że to prowokacja, by przeprowadzić zmasowany atak raketowy. Ukraina atakuje Kreml dwoma dronami? No, proszę cię... Przecież to kpina. Nasi nie zrobili by takiej bzdury. No, nie.

Świat jakoś nie chce uwierzyć w narrację Kremla o ukraińskim ataku dronów. Niektórzy politycy wydają się obawiać skutków tej niemal na pewno prowokacji, ale Ukra-

ina wydaje się nieporuszona. Oczywiście odcina się od rosyjskich insynuacji, ale Anna i chyba większość Ukraińców zdaje sobie sprawę, iż zapewne jest to wstęp do kontrofensywy. Znacznie bardziej niepokojące są doniesienia o rosyjskich żołnierzach przebijających się w ukraińskie mundury i planowanych kolejnych prowokacjach, być może o wiele poważniejszych.

4.05.: Całą noc cholerni idioci „mścili się za Kreml” za pomocą dronów, głównie na Kijowie i Odessie. Jeśli im się wydaje, że przestraszą nas dronami, no to się grubo pomylili. A z tymi przebijankami to nic nowego. Oni od dawna już to robią. No taki mają gadzi charakter. Jest na to metoda: nasi chłopcy kiedy zatrzymują podejrzanych wyglądających obcych, każą im powiedzieć „palanica”. Rosjanie nie są w stanie wymówić poprawnie tego słowa.

5.05. Witaj, mój drogi. W nocy oczywiście drony, ale powiedziałam sobie, że mam je w dupie i spałam jak głaz. A teraz wyspana jestem w pracy. W końcu ileż można się nimi przejmować. Jest, jak mówisz: są po prostu nudni, nie przyjdzie im do głowy, żeby raz, dla odmiany zaskoczyć nas i obrzucić dajmy na to ciastkami. Ale komu tu potrzebne ich ciastka? No to mamy drony. Aha, wymyśliłi jeszcze, że za tym tzw. atakiem na Kreml stoi Waszyngton. Widział świat takich błaznów? Na tej samej zasadzie ty zorganizowałeś wyprawę krzyżową, a twój wnuk rozpełtał Wojnę Secesyjną. Wiedziałeś o tym? Ach tak; wiedziałeś, ale trzymałeś to w tajemnicy. Racja.

Jako podsumowanie dnia Ania przesyła mi wideo, na którym widać jak przedstawiciel Rosji na Czarnomorskim Szczyście w Turcji zrywa flagę Ukrainy i natychmiast dostaje cięgi od przedstawiciela tego kraju. Przedstawiciele innych państw rozdzielała adwersarzy dość skutecznie. Na szczęście dla Rosjanina.

6.05. U nas niewiele się dziś dzieje. Wczoraj wieczorem dotarła do nas wspaniała wiadomość: nasi zestrzelili rakiety Kindżał. A miała być nie do pokonania. Tak padła jeszcze jedna legenda stworzona na Kremlu. Poza tym powrócili z niewoli kolejni obrońcy Azowstalu, twierdzą legendy w Mariupolu.

Anna milknie nagle. Aniu, co się dzieje? – pytam.

Odbierałam wiadomość. Siedem Tu-22 leci w naszym kierunku. Za chwilę się zacznie łomot i kolejna noc z głową, tym bardziej się martwię, że drony już od pewnego czasu słychać. A teraz dojdą, czy raczej dolecają jeszcze te pieprzone bombowce. Na razie nie wybieram się do schronu, może nie celują w Dnipro. Wiesz o co chodzi? Chcą zabić jak najwięcej z nas przed 9 maja. Są jak jacyś nomadowie z dalekiej Azji, najlepiej im się świętuje zabijając. Mój Boże, tak sobie myślę, że całe szczęście, że moi dziadkowie nie dożyli tych czasów. Dla nich 9 maja to było prawdziwe święto. Może nie powinnam tak mówić, ale dobrze, że ich już nie ma. Gdyby to wszystko zobaczyli, natychmiast by umarli.

Nasze media także odnotowały kolejną wymianę jeńców. Informacji towarzyszyło wideo z jenieckiego obozu dla Rosjan na terenie Ukrainy. Pobyt w obozie jenieckim to oczywiście nie wesołego, ale warunki wyglądają na całkiem znośne, sylwetki jeńców nie wykazują cech niedożywienia. Nie widać śladów maltretowania. Przypominam sobie spotkanie na stacji benzynowej przy autostradzie A1 z kilkoma ukraińskimi żołnierzami, uwolnionymi z rosyjskiej niewoli, będącymi w drodze do jednego ze śląskich szpitali. Wyniszczeni, z licznymi obrażeniami, na pytanie o pobyt w niewoli, odpowiadali: nie

chciałbyś wiedzieć. To się pokrywało z relacjami, jakie przesyłała mi Anna. Zgaszeni, nierozmowni; przeciwieństwo do buńczucznych czy wręcz aroganckiego zachowania, z jakim ze strony Rosjan spotkał się polski reporter. Dotychczas w wyniku wymiany powróciło z rosyjskiej niewoli 2324 ukraińskich żołnierzy. W sieci krąży wideo pokazujące jednego z nich, wrzuczonego do łez ofiarowanym mu jabłkiem. Od pół roku czegoś takiego nie jadłem, zapomniałem jak cudownie smakuje, mówi żołnierz.

8.05. Prawdę mówiąc, niewiele informacji o uwolnionych jeńcach przedostaje się do wiadomości publicznej. Powodów może być kilka; z pewnością jednym z nich jest troska o zachowanie prywatności tych osób. Inny powód może być taki, iż fala nienawiści do Rosji jest tak wielka, że nie ma powodu, by ją dodatkowo wzmacniać. Na ogół dowiadujemy się jedynie, że jakaś grupa powróciła. Służby odpowiedzialne za wymianę jeńców zajmują się nie tylko żołnierzami, ale także zatrzymanymi i uprowadzonymi przez Rosjan cywilami, których powrót na Ukrainę jest utrudniony. Ci ludzie, o czym zapewne wiesz, powracają w okropnym stanie, zarówno fizycznym, jak i psychicznym. Szczegółnej troski wymagają kobiety, których trauma bierze się także stąd, iż są poniżane na wiele sposobów, m.in. golone do gołej skóry. Musisz wiedzieć, że wiele osób zmarło po powrocie z niewoli. Wyglądało to tak, jakby po prostu przestały bić ich serca. A dziś od samego rana drony i wybuchy rocznicowe. Jesteśmy pewni, że tak będzie również jutro, być może bardziej intensywnie. W końcu to ich święto. Znowu bombowce z raketami Kindżał wystartowały.

Kasandryczne przepowiednie mediów i ich ekspertów dotyczące zmasowanego i katastrofalnego ataku rakietowego na ukraińskie miasta na szczęście się nie sprawdziły. Było w miarę normalnie, to znaczy ciężko, bo rakiety jednak były, choć nie tyle, ilu się obawiano. A na froncie? Bez zasadniczych zmian, choć w Bachmucie osiągnięto pewien postęp, na razie określane jako taktyczny. Wciąż dużo się pisze o kontrofensywie. Doświadczeni sztabowcy i eksperci apelują do polityków i mediów, by pod żadnym pozorem nie ujawniano nawet najdrobniejszych informacji mogących przyczynić się do odroczenia terminu tej tak bardzo wyczekiwanej ukraińskiej operacji wojskowej. Są naciski na Ukrainę, by to się stało już, teraz, jutro, w tym tygodniu. Tymczasem prezydent Żelenski pokazuje klasę i odpowiedzialność, mówiąc, że to się stanie, gdy wszystka niezbędna broń znajdzie się na Ukrainie, bowiem przedwczesny początek takiej operacji oznaczałby ogromne straty w ludziach, co byłoby nieakceptowalne dla ukraińskiego społeczeństwa. Jednym słowem – cierpliwości. Natomiast poziom rosyjskich strat ludzkich (zabici, ranni, w niewoli) zbliża się do liczby 200.000. ■



Czym jest sztuczna inteligencja?

Sztuczna inteligencja to zbiór matematycznych algorytmów stanowiących efekt odkryć z zakresu robotyki, sieci neuronowych, uczenia maszynowego, A-Life oraz logiki rozmytej. Sztuczna inteligencja obejmuje zaawansowane modele matematyczne (algorytmy) służące do tego, żeby rozwiązywać złożone zadania, które postawi przed nimi człowiek. Termin „inteligencja” przez analogię odnosimy do ludzkiej inteligencji. W przypadku sztucznej inteligencji mamy do czynienia z algorytmem opracowanym przez człowieka. „Sztuczne” oznacza tyle, co „nienaturalne”. Za naturalną uważamy ludzką inteligencję, która w sensie ewolucyjnym rozwinęła się na związkach węgla. Natomiast „sztuczna inteligencja” jest inteligencją, która powstała na związkach krzemu. W tej sytuacji antropomorfizujemy – przekładamy skojarzenia ludzkiej inteligencji z maszynami. Podstawą ludzkiej inteligencji jest samoświadomość, specyficzne „ja” myślę. Nie wiemy z czego wynika samoświadomość w przypadku człowieka, tym bardziej trudno nam określić jak można ją wytworzyć w sposób sztuczny. Biorąc pod uwagę na różne aspekty związane ze sztuczną inteligencją mówimy o tzw. „słabej” sztucznej inteligencji, ciągle jesteśmy na tym etapie jej rozwoju. Mamy oczywiście ambicje, żeby stworzyć „mocną” sztuczną inteligencję, która posiadała być zdolność do myślenia abstrakcyjnego, zbliżonego do człowieka. Na razie nie wypracowano takiego algorytmu, który by to umożliwił. Kolejnym etapem rozwoju sztucznej inteligencji była by superinteligencja, czyli „osobliwość”. W tym prognozowanym ujęciu oznaczałaby to stworzenie istoty inteligentnej niezależnej od człowieka, ale przewyższającej go zdolnością do zbierania i łączenia różnych informacji. W tym sensie miałyby ona ogromną przewagę nad człowiekiem umiejętności przetwarzania informacji, nie mamy jednak pojęcia, czy byłaby ona samoświadoma. To jest dość odległy etap, ale oczywiście w odczytaniach kulturowych – książki, filmy, artykuły prasowe i internetowe mamy czarne scenariusze związane z obrazami sztucznej inteligencji, która wymyka się spod naszej kontroli. Uwolnienie robota spod ludzkiej kontroli jest raczej konsekwencją błędu oprogramowania, a nie czymś zamierzonym.

Mówił Pan o odczytaniach utopijnych?

Funkcjonujemy w przestrzeniach kultury, która tworzy obrazy zagrożeń związanych chociażby z tym, że roboty wyposażone w sztuczną inteligencję, w oparciu o przewagę siły fizycznej i wiedzy nad człowiekiem, zapragną przejęcia władzy nad światem, na przykład Matriks, Terminator. Przez analogię widzimy w tym swoją dominację nad światem zwierząt.



O sztucznej inteligencji

Z prof. **MARIUSZEM WOJEWODĄ**

rozmawia **PIOTR SKOWRONEK**

Uznajemy, że większa inteligencja daje prawo władzy nad istotami mniej inteligentnymi. Stąd przykłady filmowych dystopii. Ten czarny scenariusz nie musi się jednak sprawdzić. Rozwój sztucznej inteligencji nie musi się odbywać w oparciu o schemat powiązania wiedzy i władzy. Na razie należy się obawiać ludzkiej inteligencji, która wykorzysta sztuczną inteligencję do sprawowania kontroli nad innymi ludźmi.

Samo słowo „inteligencja” odniesione do maszyn jest obecnie bardzo modne. Mamy przecież inteligentne odkurzacze, kuchenki, żelazka czy całe domy. Użycie słowa „inteligentne” podnosi wartość urządzenia. Do przedmiotów codziennego użytku dodajemy takie zdolności, których do tej pory nie po-

siadały. Inteligentny odkurzacz, inteligentne żelazko czy wreszcie inteligentny dom, czy inteligentne miasto ułatwiają wykonywanie nam codziennych czynności, ułatwiają nam życie. W dalszym ciągu to jednak my określamy sposób ich działania. Autonomia inteligentnych urządzeń jest jednak ograniczona. Po pierwsze wszystkie one potrzebują zewnętrznego źródła energii. Poziom drugi wskazuje, że inteligentne urządzenia traktujemy jako rozszerzenie naturalnych zdolności człowieka. Na przykład tempomaty zainstalowane w samochodach informują nas o potencjalnych zagrożeniach, aby dostosować swoje reakcje do tych zagrożeń. Na trzecim poziomie autonomia oznacza, że człowiek określa cele działania inteligentnej maszyny, natomiast ona sama dobiera spo-

soby realizacji tych celów. Na czwartym etapie maszyna byłaby w stanie określać własne cele działania i wypracować najlepsze sposoby ich realizacji. Na piątym etapie inteligentny robot byłby całkowicie niezależny od człowieka. To ostatnie rozwiązanie wywołuje w nas poczucie zagrożenia, mimo wszystko obawiamy się niezależnych od nas robotów. Jak na razie mówimy o autonomii robotów w ograniczonym zakresie. Sztuczna inteligencja ma rozszerzyć nasze możliwości, np. uwolnić nas od uciążliwej i ciężkiej pracy. Może też poprawić niektóre aspekty naszego działania. Niedawno zastanawiałem się nad robotami medycznymi. W Zabrze od wielu lat działa Fundacja Rozwoju Kardiologii im. prof. Zbigniewa Religii. W tej pracowni stworzono robot kardiologiczny Robin Heart. Głównym konstruktorem tego robota jest pracownik Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach dr hab. Zbigniew Nawrat, prof. SUM. Pomimo swoich zalet medycznych i technicznych robot Robin Heart nie może znaleźć swojego strategicznego sponsora, który umożliwiłby jego produkcję. Wracając do samego przykładu, ramię robota medycznego ma tę zaletę, że potrafi wykonać pewną czynność, która nie jest obciążona ludzkim mankamentem, czyli drżeniem ręki w trakcie czynności związanych z operacją. Możliwe, że w nieodległej przyszłości inteligentnym robotom medycznym powierzmy do wykonania jakieś bardziej samodzielne czynności. Jak na razie w dalszym ciągu się tego obawiamy.

To dystopie, w których wynika, że maszyny będą rządzić światem?

Dystopie wskazują na zagrożenia. Wiemy, że autonomiczne samochody powodują wypadki. Maszyna nie ma ludzkiego mózgu. Nasz mózg, współpracując z ciałem na drodze trwającej wiele tysięcy lat ewolucji, wytworzył umiejętność szybkiego odczytania informacji docierających do nas ze środowiska zewnętrznego. Doświadczony kierowca jest w stanie dostosować się do zmian związanych z sytuacją na jezdni, gdy pojawi się dodatkowa przeszkoda na jezdni, bądź zdarzył się wypadek, albo rozpoczął się niezapowiedziany remont jezdni. Nowe sytuacje zmuszają nasz umysł do przeformułowania wcześniej przyjętych założeń. Na razie nie ma takich sztucznych algorytmów, które byłyby do tego zdolne.

A więc mimo tego, że mamy świetną protezę, jednak musimy z nią stale współpracować?

Ludzki mózg radzi sobie z sytuacjami nieprzewidywalnymi, a sztuczna inteligencja jeszcze tego nie potrafi. Na razie inteligentne maszyny traktujemy jako uzupełnienia ludzkich umiejętno-

ści. Autonomiczny samochód, poruszający się w oparciu o zapisany w oprogramowaniu algorytm nie będzie w stanie błyskawicznie dopasować się do zmian. Jak na razie!

Wspomniał Pan w artykule zatytułowanym *Koncepcja rozszerzonego umysłu i AI – problem ludzkiej kreatywności, że takie protezy potrafią zmienić nasze zdolności np. używając tempomatów tracimy umiejętność precyzyjnej oceny odległości.*

Ludzkie nawyki związane z funkcjonowaniem w środowisku zmieniają się i to jest fenomenalne. Zawsze mnie zdumiewało, że umysł kierowcy ciężarówki jest w stanie funkcjonować w taki sposób, że dopasowuje się do dużego samochodu, którym kieruje. Umysł kierowcy jest zdolny do poszerzonej percepcji rzeczywistości. Natomiast, jeżeli wyposażymy nasze samochody w tempomaty informujące o potencjalnych zagrożeniach, to w konsekwencji zmieniają się nasze mózgowie nawyki. Kiedyś Stanisław Lem przewidywał taką sytuację, że skoro człowiek będzie jedynie latał, to nogi przestaną mu być potrzebne, więc zanikną. Tak się jednak nie stało, bo wytworzyliśmy w kulturze potrzebę biegania dla zdrowia, bez konieczności biegania w celu zdobycia pożywieniem. Wytwarzamy zastępcze sposoby aktywności. Życie w towarzystwie maszyn to proces „oswajania”, zmiany dotyczą obu stron. Oswojenie zwierząt przez człowieka nastąpiło wiele tysięcy lat temu. Teraz stoi przed nami zadanie oswojenia inteligentnych maszyn, nie mamy jednak tak dużo czasu jak w przypadku oswojania zwierząt. Przyswojenie artefaktów świata cyfrowego zmienia ludzkie nawyki komunikacyjne, na przykład rozumienie odległości, czasu – blisko/daleko, długo/krótco. Kiedy możemy z bliską nam osobą błyskawicznie się połączyć to zmienia się nasze rozumienie odległości i czasu potrzebnego na spotkanie.

Jak sztuczna inteligencja wpłynie na takie obszary naszego życia jak praca, edukacja czy rozrywka?

Myszę, że zawsze trzeba uwzględnić element komercyjny. Prace nad sztuczną inteligencją wymagają ogromnych nakładów finansowych, to wiąże ją przemysłem i gospodarką. Inwestycje muszą przynosić zysk. Obecnie zaawansowane technologie wykorzystujące sztuczną inteligencję zbierają informacje na temat naszych jednostkowych potrzeb i pragnień. My dość chętnie, właściwie za prawie za darmo – poprzez możliwość kupna niektórych produktów po obniżonej cenie – przekazujemy dane na swój temat. Narzędzie, jakim jest sztuczna inteligencja jest w stanie zbierać informacje na temat indywidualnych wyborów konsumenckich. Następnie instytucja, która

zbiera te informacje, może się tymi danymi posłużyć, aby określić nasz profil konsumencki. Czyli zanim jeszcze wpadniemy na to, czego potrzebujemy, na jutro czy za rok, dostaniemy odpowiednią reklamę, która nam to podpowie, czego powinniśmy zapragnąć. Sztuczna inteligencja może znać nas lepiej niż my sami siebie. Czy potraktujemy to jako moment utraty wolności, czy jako element ułatwiający życie, w końcu zdejmiemy to z nas trud podejmowania decyzji. To jedna z uciążliwości współczesnego konsumenta. Firmy oczekują od nas precyzyjnych danych na nasz temat. Osiągają to w oparciu o karty lojalnościowe. Jak się przyglądam zachowaniom ludzi w pewnej sieci sklepów (nie chcę używać konkretnej nazwy), to widzę z jakim entuzjazmem z nich korzystamy. To materiał do opracowania naszego indywidualnego profilu konsumenckiego. Metaforycznie, to sprzedaż duszy – odrębności własnego „ja”. W ten sposób stajemy się całkowicie transparentni dla firmy zbierającej informacje na nasz temat.

Czy dostrzegamy w tym zagrożenie?

Nie potrafimy do końca zidentyfikować źródła zagrożenia. Dostajemy odpowiednie podpowiedzi, co powinniśmy kupić. Żaden człowiek i żadna instytucja zatrudniająca ludzi nie byłaby w stanie takich informacji zebrać ani ich posegregować. Na to pozwala tylko sztuczna inteligencja, zbiera je, odpowiednio segreguje i porządkuje.

Rodzi się pytanie o świadomość tego, że tak działa ta technologia.

Rodzaj „miękkiej” niewoli, bez zewnętrznych oznak opresji. Tak, jak my „głaszczemy” swoje smartfony, tak współczesna technologia nas „głaszcze”, dając nam poczucie satysfakcji. Niebezpieczeństwo polega na tym, że chcąc zrealizować postulat życia spełnionego i satysfakcjonującego, skorzystamy z podpowiedzi przygotowanej przez sztuczną inteligencję. Na przykład wybierając partnera życiowego, podejmując decyzję na temat zawodu, miejsca pracy lub miejsca zamieszkania. Obecnie portale kojarzące ludzi w pary korzystają z informacji zebranych przez sztuczną inteligencję. W ten sposób chcemy wyeliminować błędne wybory. Utopijność tego rozwiązania polega na tym, że sztuczna inteligencja ma usunąć element przypadku z naszego życia.

Czy takie działanie można zastosować w relacji pracodawca – pracownik?

Myszę, że to już się dzieje, tylko tego nie dostrzegamy. Interesowałem się tym, w jaki sposób algorytmy funkcjonują w przestrzeni zarządzania i powiedzmy, że sztuczną inteligencję można doskonale zastosować w odniesieniu do podnoszenia efektywności pracy w organizacjach. Zawsze

można wprowadzić element stymulacji, na przykład przez system punktów, system pochwał – pracownik miesiąca, wizję awansu powiązaną z formułą spełnionego życia. Idealna funkcjonująca instytucja to instytucja mechaniczna, w której działanie ludzi i maszyn jest zintegrowane. Algorytm określi reguły system motywacyjnego wpływającego na działania pracowników. Nie będziemy dostrzegać zawartej w nim opresji, uznamy to za element funkcjonowania organizacji, który należy zaakceptować. Pracownik miesiąca jest doceniony, a pozostali myślą: jak on to zrobił i czy my też tak możemy? W ten sposób powstaje cały system „miękkich”, pozytywnych zachęt. W konsekwencji mamy taką bardzo umiejętną stymulację zachowań, nadzorowaną przez sztuczną inteligencję. Nasz przełożony może być bardzo sympatycznym człowiekiem, ale kiedy się nie sprawdzamy, to nas zwolni za brak odpowiedniej ilości punktów. Algorytm będzie kontrolował naszą pracę, określał kary i nagrody.

A jak wygląda wykorzystanie sztucznej inteligencji w edukacji? Nauczyciele widzą ostatnio zagrożenie w używaniu przez uczniów Czata GPT, który generuje odpowiedzi na konkretne zadania czy tematy wypracowań.

To właśnie też jest takie urządzenie, które jednocześnie ułatwia, a jednocześnie stanowi zagrożenie. Chat GPT jest w stanie napisać wypracowanie dla studenta, kazanie dla księdza, krótsze lub dłuższe opracowanie, artykuł popularnonaukowy. Myślę, że jakość pracy chatów będzie się systematycznie poprawiała, jego wypowiedzi będą coraz trudniejsze do odróżnienia od wypowiedzi pisanych przez ludzi. Na razie chat GPT zbiera informacje, które są w zasobach sieci i umiejętnie dobiera i zestawia słowa. Możemy traktować to jako ułatwienie. Przecież korzystamy z różnego typu programów tłumaczeniowych, które są coraz lepsze i zbliżają się do języka naturalnego. Czy należy to postrzegać jako zagrożenie dla edukacji. Jesteśmy wygodni, jeżeli pojawia się możliwość ułatwienia sobie pracy, to sporo osób z niej skorzysta.

Nie liczę w głowie, bo mam kalkulator.

Kalkulator to proste urządzenie do liczenia, komputer to kolejne ułatwienie życia. Skoro w samochodzie mamy tempomaty, to po co wysilać umysł.

Jak działa sztuczna inteligencja wśród artystów? Dzisiaj widziałem sztucznie wygenerowane zdjęcie papieża Franciszka w białej puchówce.

Działalność artystyczna jest związana z poszukiwaniem jakiegoś oryginalnego pomysłu. Obecnie przyglądamy się możliwościom sztucznej inteligencji i jak ją wykorzystać w pracy twórczej. Zastanawiamy się czy jesteśmy w stanie

odróżnić dzieło człowieka od dzieła stworzonego przez sztuczną inteligencję. Ona wykorzystuje to, co stworzył człowiek, zbiera i intrygująco konfiguruje. Sztuczna inteligencja potrafi to zrobić w wyjątkowy, zaskakujący sposób. Na razie ludzka twórcza kreatywność jest niepowtarzalna. Sztuczna inteligencja może także służyć do fałszownia informacji – tworzenia fake newsów, albo deep fakeach, to znaczy, że jesteśmy gotowi w nie uwierzyć. Deep fake to rodzaj oszukiwania polegający na podkładaniu głosu pod inną, znaną osobę. Mamy wtedy złudzenie, że osoba ta znanym nam głosem mówi rzeczy, które kompletnie do niej nie pasują. Pytanie: czy jesteśmy bezsilni wobec takich form oddziaływania na nas? Powinniśmy być świadomi tego, w jaki sposób można wykorzystywać sztuczną inteligencję do tworzenia nieprawdziwych przekazów wizualnych. Tutaj w dalszym ciągu zasadniczą rolę odgrywa umiejętność krytycznego myślenia. Powinniśmy być krytyczni wobec informacji, które do nas docierają. Dotyczy to szczególnie informacji medialnych. Narzędzie jakim jest sztuczna inteligencja wiele nam ułatwia, ale jednocześnie może ograniczać przestrzeń naszej wolności. Może to jest cena, którą płacimy na rozwój technologii, to że człowiek używa jej do różnych celów. Wydaje się, że w stosunkowo niedługim czasie będziemy mieć do czynienia z sytuacją, kiedy elementy techniczne staną się częścią naszych ciał.

Połączmy się z maszyną?

Tak, ten proces też się już odbywa przez prace nad stworzeniem sztucznych organów, czy wykorzystaniem nanorobotów w leczeniu pacjentów. Może to nie dzieje się na razie na dużą skalę. Połączenia ciała – maszyna uzasadniamy dysfunkcjami, na przykład ktoś nie ma kończyn, bądź doprowadzamy w ten sposób do zdrowia osobę, która uległa wypadkowi. Chcemy poprawić i zatroszczyć się o jakość życia osób starzejących się, szczególnie wyeliminować choroby starzejącego się mózgu – chorobę Alzheimera, chorobę Parkinsona. Chcemy znaleźć odpowiedź na bardzo ważne pytanie – jak utrzymać sprawność ciała i umysłu w okresie całego ludzkiego życia? Kiedy ludzki mózg połączy się z inteligentną maszyną to będzie kolejny ogromny przełom. Prace nad stworzeniem interfejsu mózg – komputer są obecnie bar-

dzo zawansowane. Wiadomo, że biologicznie jesteśmy śmiertelni, a nasze ciało nie pozwala nam na życie dłuższe niż 150 lat. Ale i tak 150 lat wydaje się nieprawdopodobnie dłużej niż 60 czy 80 lat. Jeżeli połączymy się z maszynami to może to wydłużyć nasze życia i wpłynąć na jego jakość. Jednocześnie obawiamy się tego, jaką cenę będziemy musieli ponieść z tego tytułu. Trudno to na razie określić. Postęp technologiczny zawsze ma zawsze jakąś cenę.

Jest pan optymistą w kwestii sztucznej inteligencji?

Przewidywanie przyszłości jest niemożliwe. Wiedzę o świecie czerpiemy głównie z mediów. Niedobrze bym się przyczepiał do tych mediów, ale w przekazie medialnym dominuje nastawienie lękowe związane z pracami nad sztuczną inteligencją. Obawiamy się także innych rzeczy, na przykład kolejnej pandemii, eskalacji wojny w Ukrainie, kryzysu energetycznego, w tym ciągu lęków boimy się także sztucznej inteligencji. Potrzebujemy jednak nadziei. Ostatnio czytałem Encyklikę papieża Franciszka *Fratelli tutti* i myślałem o nadziei, jaka wiąże się z wykorzystaniem nowych technologii dla człowieka. Należy krytycznie przyglądać się zastosowaniom sztucznej inteligencji, kiedy zagraża ona godności osoby ludzkiej, ale także wypracować sposoby jej dobrze wykorzystania. To jest zadaniem, które powinno połączyć wysiłki inżynierów, filozofów techniki, etyków, prawników, lekarzy. Proces związany z pracami nad rozwojem sztucznej inteligencji jest nieuchronny. Powinniśmy dołożyć starań, aby się do tego dobrze przygotować.

Aby ten proces był jak najmniej bolesny?

Nie uważam, że sztuczna inteligencja jest czymś złym. To raczej człowiek może ją źle lub dobrze wykorzystać wobec innego człowieka. Nadal to my sami jesteśmy największym zagrożeniem dla siebie i środowiska naturalnego, a nie technika czy sztuczna inteligencja. W dalszym ciągu wszystko zależy od człowieka. Dlatego wiedza związana w wykorzystaniem nowej technologii powinna być powiązana ze świadomością moralną i wynikającą z niej odpowiedzialnością.

Dziękuję bardzo za rozmowę.

Mariusz Wojewoda, dr hab. prof. UŚ, pracownik naukowo-dydaktyczny Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Autor monografii: *Pluralizm aksjologiczny we współczesnej filozofii religii*. Redaktor i współredaktor kilku prac zbiorowych, między innymi: *Wartości – tradycja i współczesność*, *Filozofia w służbie polityki*, *Być, mieć i władać*. Członek zarządu międzynarodowej grupy badawczej Cultmedia z siedzibą na Uniwersytecie w Poczdamie. Autor ponad stu artykułów publikowanych w czasopismach polskich i zagranicznych, między innymi „Logos i Ethos”, „Ethos” i „Creativity Studies”. Zainteresowania badawcze: aksjologia, etyka, etyki stosowane, filozofia techniki, filozofia religii. W ostatnim czasie prowadzi badania z zakresu aksjologii i wpływu sztucznej inteligencji i nowych technologii na ludzkie życie.

Szafa polska

RADOSŁAW KOBIERSKI

5 czerwca w Instytucji Kultury Katowice Miasto Ogrodów odbyło się premierowe wydarzenie Śląskiej Sceny Literackiej. Została ona powołana do życia w momencie pogłębiającej się pustki i wyczerpanej już żąłoby po różnych tradycjach spotkań z literaturą (Na Dziko w ramach Ars Cameralis, Dni Tranströmerowskie w IKKMO, autorskie wieczory w GTL-u czy cykl „Mistrz Słowa” organizowany w MBP w Katowicach przez Martę Fox), niejako równoległe do dyskusyjnych i promocyjnych działań Biblioteki Śląskiej oraz do wydarzeń o charakterze festiwalowym, Portu Poetyckiego w Chorzowie czy błyszczącego nowością w regionie Małego Festiwalu Wielkiej Literatury, organizowanego przez Silesiatekę, Księgarnię Stronniczą oraz śląskiego blogera Marcina Musiała.

W żadnym wypadku nie chodzi tu o konkurowanie ze sobą, ale o współistnienie i symbiozę. Nie o wydzieranie sobie palm pierwszeństwa, ale o mądre gospodarowanie na polu kultury. Nazwa projektu – Śląska Scena Literacka – brzmi może nieco szumnie, patetycznie i festiwalowo, ale zaręczam, że będzie miała charakter kameralny, tak jak wydarzenia, które przygotowały jej grunt w miejscu prezentacji, czyli Dni Tranströmerowskie – w moim odczuciu

wydarzenie bez precedensu na Śląsku, ale i w Polsce, angażujące dwa Kreatywne Miasta UNESCO – Katowice i Kraków. Do tej chlubnej i wymagającej tradycji świadomie odwołujemy się i zamierzamy w przyszłości nawiązywać.

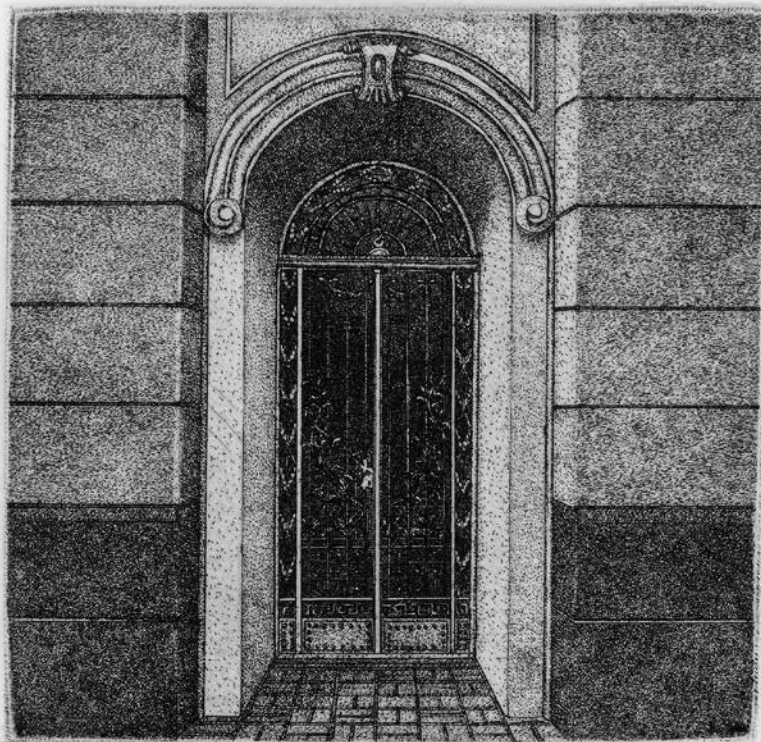
Warto w tym miejscu krótko przedstawić cele i założenia SSL, opracowane przez Weronikę Górską, współzałożycielkę projektu: „Zamierzamy przyjrzeć się literaturze powstającej zarówno na Śląsku, jak i o Śląsku. Zaprosimy poetów oraz prozaików, twórców literatury niszowej oraz popularnej, tych którzy czerpią inspirację z kultury i języka regionu oraz tych, na których pisarstwo miejsce zamieszkania nie wywiera wpływu. Chcemy potraktować Śląsk również jako symbol wielokulturowej synergii i redefinicji oraz poszukać tych symboli i strategii w literaturze tworzonej poza regionem. Bazując na różnorodnych wrażliwościach, estetykach i tematykach prezentowanych przez Gości, będziemy szukać

wciąż nowych odpowiedzi na fundamentalne pytanie – dlaczego czytamy i piszemy książki?”.

Śląsk się zmienia diametralnie – na naszych oczach, oczach zaledwie jednego pokolenia. Próbuje się na nowo określić po epoce industrialnej i post-industrialnej. Literatura również wychodzi z różnych kryzysów tożsamościowych; efekt tej walki i agonu (świątynnym symbolem byłaby walka Jakuba z Aniołem, tylko że Jakub nie był kobietą), widać w literaturze tworzonej przez polskie poetki i pisarki. Oraz – to wręcz rewolucyjna zmiana – przez osoby LGBTQ.

Na pierwsze spotkanie Śląskiej Sceny Literackiej spotkaliśmy Anouk Herman, osobę autorską i niebinarną, sprawcę dwóch wyraźnych i poważnych debiutów literackich – tomiku wierszy *Right into pod tramwaj*, opublikowanego przez IL w grudniu ubiegłego roku, oraz powieści *Nigdy nie będziesz szło samo*, wydanej przez W.A.B. niespełna miesiąc temu – oraz Katarzynę Zwolską-Płusę, autorkę 4 książek poetyckich (ostatnia *Daje wam to w częściach* nominowana do Nagrody Poetyckiej Silesius) i dwóch tomów prozą: *Fragmenty. Opowieści o dziewczynkach i kobietach* oraz *Prząśniczki*, które ukazały się nakładem wydawnictwa Anagram w 2021 i 2022 roku, laureatkę Award World Poetry Day UNESCO 2019.

Dwa lata różnicy w debiucie prozatorskim to nic, chociaż żyjemy w czasach niezwyklej dynamiki i przyspieszenia (na progu pandemii nikt zapewne sobie nie wyobrażał, jak literatura będzie wyglądać po długotrwałym doświadczeniu izolacji), poezja z zasady na zmiany reaguje wolniej – mieliśmy więc okazję wysłuchać niemal równoletków (pomimo różnic metrykalnych), głosów tego samego pokolenia, prześledzić procesy i strategie literackie w prozie, która z jednej strony ma charakter rozliczeniowy z przemocową kulturą, z drugiej otwiera się na to, co w kulturze, w środkach przekazu, w komunikacji jest przemilczane. O problemach pokolenia nastolatków, osób niebinarnych, rodziców i dzieci w spektrum autyzmu, o przemocy symbolicznej i instytucjonalnej. Szafa polska to twór naprawdę obszerny, wyjść można z niej na wiele sposobów. Zawsze jest to związane z odwagą. Nie zawsze łączy się z literackim talentem.



akwaforta . R.A.T. imp. Włocławek Simple
„ Staromiejska ” 2014



Weronika Siupka, *Terminus II* etching

KATARZYNA ZWOLSKA-PŁUSA

trzeba ją kochać. to matka

moja matka jest
histeryczna
jak wszystkie kobiety z
malinowymi ustami

moja matka jest
dwubiegunowa
zrobiona z mgły
i galarety
gdy się nie myje
cuchnie wężorzem

moja matka jest bpd
moja matka nie nosi
stanika
moja matka pije wino
z czerwonej
porzeczki

moja matka nie ma
oczu
mieszka w wieży
moja to rak
romantyzmu

moja krzyczy
majtki kaptcie nie biegaj
na golasa
moja płacze
moja to
mojej wina

ANOOUK HERMAN

b mocno cb kochałam

kiedyś na biolce kazano nam
szukać sb pulsu złapała mnie
za rękę przy całej klasie pełnej
wielkich innych ludzi

i pewnie się gapili? jak szuka
tętna w moich żyłach jak wodzi
palcem po nadgarstku
i potem jeszcze wokół szyi (!)

anouka naszego powszedniego daj mi dzisiaj (to ja)
ale bym chciała żeby tak mówiła
miała religijnego ojca policjanta
(a ja na łydce markerem ACAB)

byłoby z tego piekło
jak katowicki rynek latem
na MDMA w dzień pierwszego
przesilenia klimatu

kiedy sprintują tramwaje
i sprintuje wiatr
spod ich strasznych kółek

lato to pot i głupie pomysły
a my to:

*we were two blindfolded pups rollerskating
right into the great sunshine
right into pod tramwaj*

Lęk jako gatunek literacki (IV)

PIOTR ZACZKOWSKI

*Zawsze będę – wierszem lub prozą –
biurowym urzędnikiem.
Fernando Pessoa (Księga niepokoju)*

195 Z chwilą objęcia posady pragnął wymienić własną osobę na bezdyskusyjną wartość, z odpowiednią mocą doświetloną, widoczną z bardzo daleka, nie do pominięcia, mimo że odsłaniającą swą ulotną urodę powoli i dyskretnie. Ale każdy urzędnik dostawał patent na nieobecność i stawał się przezroczysty zarówno dla bezpośrednich przełożonych, jak i znajomych bądź przyjaciół.

196 Dano czyste, blade zeszyty. Jeden będzie dokumentował korespondencję przychodzącą, a drugi – odchodzącą.

197 Niekiedy korporacyjna dniówka wybacza, niekiedy gani. W obydwu przypadkach gład alkoholu jest nie do zniesienia.

198 W urzędzie czuje się bezpieczny jedynie wówczas, gdy nie tylko sprawnie i ściśle postępuje zgodnie z priorytetami, obowiązującymi w danym okresie sprawozdawczym, ale potrafi również przezcucić ich formę i treść na długo przed tym, zanim ogłoszą je władze zwierzchnie.

199 Nie narodziły się jeszcze takie kontrakty, regulaminy pracy i zakresy czynności, które wytrzymałyby obelgi bólu. Ponadto nie wynaleziono papierowych teczek, które pomieściłyby wybrane, pieczołowicie zredagowane odruchy smutku i antologię najważniejszych myśli samobójczych.

200 Budzi się przed piątą, mokry od potu. Strach dąży do wyłączności i oczekuje od niego przytulenia, ale przytulony kąsa. Mimo to w biurze stawia się punktualnie, w trudnej trzeźwości i bez udawanego uśmiechu. Wzorem mu mięso, które na czas trafiło do maszyny.

201 Dostał służbowy kalendarz ścienny. Posłusznie zrywa kartki. Niektóre chciał by zapisać, ale mu się nie uda.

202 Chodzi od ściany do ściany, odmierza własne kroki. Liczy do dziesięciu, później do stu. Do tysiąca, do dwóch tysięcy. Ważniejsze rachunki powstrzymują się od płaczu.

203 Wytrwała, posłuszna, mechaniczna posługa – jak codzienne mycie że-

bów. Od wielu lat posługa przy tym samym, znużonym i zrezygnowanym biurku – codzienne mycie śladów po sobie.

204 W każdy dzień roboczy listę obecności podpisywała rebelia czyjegós straconego życia, elegancka, uprzejma i niespełniona.

205 Od lat nikt nie mówił o sztuce przetrwania. Podczas przerwy na papierosa urzędnicy plotkowali o sztuczkach, dzięki którym da się przespać noc.

206 Po powrocie do domu już nie widzi na oczy. Jakie biuro zadano oczom na jutro?

207 Przekaz reklamowy zapewnia: „żeby bulion nabrał smaku, trzeba czekać”. Podobnie jest z odpowiednim smakiem bólu.

208 Szósty dzień tygodnia rozpoczynało poranne spicie, mieszanie piwa z mocną wódką lub brandy. Lubił trwającą nie za długo, ale wystarczająco wyraźnie, jawność i jasność lektury – i wolność notatek w przypadkowych zeszytach.

209 Obowiązki zawodowe wykonywał skrupulatnie, ochno i niekiedy z gorliwością misjonarza zesłanego na odległą, gorącą wyspę. Czynił wszystko, aby zbliżyć się do dzikusów, których się lękał i za nic nie był w stanie zrozumieć.

210 Umarłe marzenia leżały u podnóża schodów, w bezpośrednim sąsiedztwie portierni, pokoju strażników miejskich, automatu z napojami i tablicy z ogłoszeniami. Widziały tyle, co zdechłe mrówki. Najwyższym stopniom to nie wadziło. Pozostały beczelne, łakome i nienasycone.

211 Biuro wypaliło się samo. Popioły zarządzeń wewnętrznych zyskały gasnącą i ostateczną tożsamość. Ogień strawił telefon, służbowy komputer, kubek z długopisami i rysunki schizofreników, zawieszane rok lub sto lat temu na ścianach, których nie było. Nie stwierdzono także obecności zegara, już wczoraj roztopnie nastawionego na nieobecność.

212 Od wielu tygodni opuszcza łóżko powoli i ostrożnie. Pewno nie chce nastąpić na odłamek pamięci (na przykład fragment nieodwracalnie rozbitej butelki po wódce).

213 Straszna godzina to zwyczajny, na domiar wyjątkowy szczery epizod pracy. Zarówno w grafiku kata, jak i jego ofiary.

214 Jeżeli boli do żywego, to dlatego, że nie da się, by gnębiło i szarpało do martwego. Ale nadal – nieustannie, wiernie – ból oczekuje tekstu. Wydaje mu się, że można za jego pośrednictwem napisać życie.

215 Jak wygasa pisanie, którego nie zmylą konwencjonalne, przemądrzałe błagania?

216 Najwięcej dobrego dzieje się, gdy śmierć przychodzi do małych dzieci. Zdejmuje sprawnie i szybko miarę z niewielkich rozmiarów trupa. Pozostaje jej sporo czasu, aby zająć się tymi, którzy nadmiernie wyrosli lub bez rozwagi przytyli i obrośli w piórka.

217 Czy słowo „jutro” jest na tyle dojrzałe i samodzielne, że rozstanie się z nami bez żalu?

218 Poznawanie siebie w chorobie jest ostatnią umową. Niewątpliwie bolesną i bezsenną, ale wreszcie związałą, prostą i nieczułą na zmiany.

219 Pionowa kreska litery T znosi bez sprzeciwu ciężał mniejszej kreski poziomej – jakby dźwigała dwa spokojne, odwrócone od siebie, opustoszałe ramiona szubienicy. Gdyby po obydwu stronach dodać po kropce, byłby to sen o wisielcu, który nie ocalił ani jednej głowy.

220 W niedalekiej przeszłości obiecywał sobie wiele notatek, szkiców i esejów. Nawet coś czynił, ale niewiele i bez wyraźnej korzyści. Na drugi dzień oskarżał się o lenistwo i złośliwy spisek przeciwko samemu sobie.

221 Zapis w dzienniku albo napomina, że każde jutro będzie niewiadomą, albo uzmysławia, że straciło się ostatnie niewiadome, które warto jutro wyjaśnić

222 Fragmenty oddaliły się tak daleko, że nie umie wiarygodnie ocenić, co się z nimi naprawdę stało. Nie wie, czy zamierzają powrócić. Nie ma kogo zapytać. Podejrzuje, że nigdy nie były mu prawdziwą pociechą.

223 Notuje siebie pozbawiony sił, ogłupiały od naiwnych – i niewątpliwie pochopnych – rad dawanych dopiero co

przybyłym lękom przez lęki od dawna zadomowione i rozwalone wygodnie na tapczanie.

224 Pisanie załatwia problemy skomplikowanych osobowości znacznie efektywniej i efektywniej, niż zwykły to czynić najbardziej błyskotliwe plany samobójcze. Pisanie tak wyczerpuje, że życie wycofuje się posłusznie, bez zbędnego marudzenia.

225 Znoszenie zarówno własnego umierania, jak i należącego do kogoś innego, jest jedną i tą samą próbą. Ale dowiadujemy się o tym zawsze za późno.

226 Nie przysiądzie się do losu, który tak długo czeka. Może się z nim minąć, może to nie jego spacer. Może strajkują autobusy, tramwaje i kolej podziemna. Może zwątpiły najdalsze karawany.

227 Odrzuci wszystkie teksty. Czcionka Arial niewiele zrozumie z odzyskania bezdomności.

228 W wolnym od cła śnie wymienił czarne myśli na butelkę pięknie oflagowanego białego wina, likwidując na chwilę pragnienie wroga wewnętrznego.

229 Okrył się szczelnie pozą, codziennie głosił pochwałę przemyślanego, dobrowolnie przyjmowanego cierpienia. Całymi dniami – z samozaparciem godnym bardziej interesującej sprawy – studiował męczeńskie żywoty pisarzy i malarzy, wynalazców, którym się udało. Był tak zafascynowany legendą o cudzym bólu, że nie mieszał się do głośnego śmiechu rówieśników grających w piłkę na dziedzińcu rzeźni.

230 Co dalej z próżnością, z potrzebą, aby w szkole złudzeń pisać wytrwałe wypracowania – pisać na piątkę, szóstkę, na wieczność?

231 Dziennik intymny nie potrafi uwierzyć, że nie wolno stawiać życiu warunków.

234 Każde odkupienie jest transakcją i ma swoją cenę.

235 Opuścili dom, w którym nikt nie chciał mieszkać. Na ulicach, a nawet za miastem spotykały inne drzwi, mniejsze lub większe, ale podobnie obite i nieodwołalnie pokonane, zakurzone, bezradne, wykorzenione. Mijały się i pozdrowiały, ich zawiasy skrzypiały cichutko – może z tęsknoty, może zwyczajnie i niezręcznie.

236 Każdy miał szansę, by się nie bać. Wystarczyło się nie urodzić.

237 Pisaniu nie szkodzi ani niedomówienia z przeszłości, ani skreśle-

nia, które dopiero nadejdą – nawet jeżeli najważniejsze przyjdzie za wczesnie, już jutro.

238 Ból wiele razy jeszcze oszuka – w tej i w każdej innej grze.

239 Obojętne jej kolorowe pocztówki z wakacji. Niewiele sobie robi z atlasów i nie zna granic. Śmierć jest pękniętym kompasem.

240 Przy pewnej dozie samozaparcia i uporów, a także dzięki ponadprzeciętnej odporności na zmęczenie, możliwe jest odkopanie talentów, a następnie ich wymiana na umieranie, które będzie skromne, skupione, nie dokuczy nikomu i szybko przejdzie do wieczności.

241 Ma zalane łzami oczy i nie widzi, jak jego sobowtór szczerze się do niego uśmiecha. Po kwadransie rozumie, że uśmiecha się tylko do siebie. Ale to wystarczy, aby obaj – zapłakani, rozpozgodzeni i wynagrodzeni, nareszcie bezpieczni – zasnęli już na amen.

242 Każdy seans dokładnie wybacza i dobrotnie, lecz wyczerpująco, z uwzględnieniem wielu kontekstów, edukuje. Żaden nie uprzedza się i nie upiera się przy jednym rozwiązaniu. Im więcej prób, tym bardziej doskonały warsztat aktora, który poznaje techniki odprężenia, uspokaja się, nabiera coraz więcej pewności i utwierdza się we własnej misji. Niestety, żadna terapia nie wyjaśni, co życie zagra dzisiaj wieczorem.

243 Wierzył, że doczeka siebie, że spotka się z chłopcem, który uciekał bez sensu, na oślepie, bez głowy, bo mu ją odcięli w szkole.

244 Twierdzą, że liczy się przebyta (niewątpliwie pokonana) droga, ale przecież na końcu nie dokonuje się odczytu liczników, a grabarz to nie inkasent.

245 Alkohole nie miały szczęścia na loterii. Były tylko nagrodą pocieszenia.

246 Zdaje sobie sprawę, że palone listy nie ogrzeją. Jeszcze mniej oczekuje od systematycznie likwidowanych wiadomości elektronicznych.

247 Zmarli zbojkotowali festiwal myślenia, czytania i pisanie.

248 Dzieciństwo było niedojrzałym, nieudolnym koszmarem. Mimo to nie należało przez całe życie dźwigać (z infantylną chlubą) żałoby po chłopcu, którego oddano do szkół i na niewierkę.

249 Alkohol zdradził z młodszymi, pozabawionymi skrupułów, gotowymi bez

wahania przełknąć każde, nawet wyjątkowo podłej jakości upokorzenie.

250 Śmierć jest przedłużaniem z dnia na dzień egoizmem. Na szczęście, topnieje w oczach.

252 I nic, że marzyły się piękne, zuchwałe agonie.

253 Ostatni ból zdecydowanie nie był najbardziej udanym dziełem megalomanii.

254 Z ciekawością, z uważnym napięciem wchłaniał przerażenie, przyjmował jak dobro, gdyż młodość, niedostatecznie jeszcze wykształcona i skora do uproszczeń, wszystko uznaje za dobro. Zabił się w czerwcu. Kilka dni później wystawiano końcowe oceny. Nauczyciele zaoszczędzili na jednej rubryce.

255 Życie było misją samobójczą. Wybacz, dzienniku, że tak niewiele się działo.

256 Jego natrętna wrażliwość wędrowała z wierszami od redakcji do redakcji. Od apteki do apteki. Jakby realizował receptę na życie.

257 Przegrane, przeganiane z miejsca na miejsce, samotne nawet w tłumie. Zwiezdiły wiele światów, nie pomijając tych najbardziej okrutnych, niezdolnych do współczucia, gotowych zarazić zwątpieniem i melancholią. U kresu drogi lustra widzą kogoś, kto ocalał i przebudził się razem z nimi.

258 Depresja jest chaotyczna, bezładna, byle jak wypełnia swoje obowiązki. Gubi się w powtórkach, nawrotach, zapętleniach. Zapomina o urodzie frazy. Trudno jednak o porządek, gdy rozmawiamy ze sobą o rozstawaniu się ze sobą.

259 Miniatura to forma niedoskonała, małowówna, przejściowa. Przechodzi do milczenia razem ze swym ograniczeniem i kieszonkowymi kompleksami autora.

260 Na dziedzińcu szkoły witano pierwszoklasistów mową trawą. Mit o zmęczeniu miał wiele niewinnych początków.

261 Żadna nienawiść nie jest na serio, nikt z nowo przyjętych do pracy nie skończy życia w przydzielonym pokoju, w pozycji embrionalnej, pod służbowym łóżkiem.

262 Ostatnia nieprawda jest pozbawiona agresji, pokorna i wyciszona. Trudno uwierzyć, że nadeszła z życia. Kto zamknie nieprawdzie powieki?

Witold Zyk (1925–2023)

JACEK OKOŃ



11 maja 2023 roku zmarł w wieku 98 lat dr inż. Witold Zyk, zasłużona postać polskiego górnictwa i świadek historii Polski. Wilnianin – w swoim długim życiu i w swej osobie łączył epoki, ustroje, przełomy, pokolenia, aktywny w nich na różne sposoby, do końca obecny w życiu Śląska, górnictwa i w szczególnie sposób Zabrze.

Jeśli prawdą jest, a nie wątpimy w to, że „przeżycia tworzą duchową sylwetkę człowieka” (kard. S. Wyszyński), Witold Zyk był postacią piękną. Obdarzony już przez samą naturę wysokim wzrostem, dumną wyprostowaną postawą i jasnym szczerem spojrzeniem, zdołał dodać do tego jeszcze multum przeżyć, które uczyniły go jedną z najbardziej rozpoznawalnych i charakterystycznych osób w Zabrzu, widywanych stale tam, gdzie odbywała się konferencja, odczyt, spotkanie z ciekawym człowiekiem. Nawet będąc już od wielu lat na emeryturze (od roku 1981) nadal żył sprawami górnictwa, biegły w nich jak rzadko kto. Pisał w swej „Relacji”, opublikowanej w „Górniku Polskim”, nr 8–9/2015: *Tak więc, uczestnicząc wspólnie w spotkaniach z politykami, mogłem śmiało wdawać się z nimi w rozmowę; głównie jednak stawiałem pytania, a często były to niewygodne pytania. Pamiętam spotkanie w Hali MOSiR-u z Tadeuszem Mazowieckim i ministrem przemysłu Tadeuszem Syryjczykiem, obaj odpowiadali na moje »górnictwo« pytania. W jakiś czas potem w Sali Witrażowej Muzeum Górnictwa Węglowego pytałem premiera Józefa Oleksego o zamierzenia prywatyzacyjne w górnictwie. Podobne pytanie musiałem zadać premierowi solidarnościowemu, Jerzemu Buzkowi.*

Wielkie nazwiska przewijały się w tym życiu, nie tylko nazwiska koryfeuszów czy decydentów z branży górniczej. Wielokrotnie wybierany był na przedstawiciela Ministerstwa lub Zjednoczenia, gdy trzeba było powitać „w imieniu” sławnego gościa zagranicznego. Jako pracownik Ministerstwa Górnictwa witał w Katowicach premiera Indii, Jawaharlala Nehru; jako pracownik Zjednoczenia – Fidela Castro, generała de Gaulle’a, Breżniewa.

Był świadkiem Września 1939 roku, dwóch kolejnych okupacji Wilna: sowieckiej, potem niemieckiej. Za dni okupacji sowieckiej zdążył zdać maturę, za okupacji niemieckiej został robotni-

kiem przymusowym. Wywieziony do miejscowości Ausig (obecnie Usti nad Łabą) i zakwaterowany w obozie pracy przymusowej dla Polaków Türmitz Lager pracował jako pomocnik ślusarza i tokarza w zakładach naprawczych kolejowych. Okresowo włączano go do obsady pociągu budowlanego dla dokonywania doraźnych napraw zombardowanych torów i dworców kolejowych. Tam doczekał końca wojny. Do Wilna już nie powrócił, trafił na Śląsk.

Uzyskana jeszcze w Wilnie matura pomogła mu rozpocząć nowy rozdział życia. Jako ochotnika z maturą włączono go do grupy operacyjnej, przejmującej administrację Opolszczyzny z rąk tymczasowych komendantur sowieckich. Skierowano go w tej roli do Prudnika, mianując nawet kierownikiem jednego z wydziałów w tamtejszym magistracie. Następnym rozdziałem życia były studia górnicze na Politechnice Śląskiej, ożenek, ojcostwo, dyplom inżyniera i pierwsza praktyka pod ziemią.

Potem już całowyciowy związek z górnictwem na coraz bardziej odpowiedzialnych stanowiskach: szytgar zmianowy, oddziałowy i objazdowy, zastępca głównego mechanika w kop. „Pokój”. Lata 1952–1956 spędził jako delegowany na budowę kopalni „Nowy Wirek”, gdzie działał jako inspektor i główny inspektor inwestycyjny. Ten okres opisał w pracy, którą wysłał na konkurs „Pamiętniki inżynierów”. Wspominał to, jak zawsze ciekawie, świadom niezwykłości spraw, z którymi miał w ciągu życia do czynienia: *Mój pamiętnik został wyróżniony i skierowany do druku w pokonkursowej publikacji. Okazało się przy tej okazji, że kopalnia »Nowy Wirek« nie może się tak nazywać w druku, bo to nowa kopalnia, chluba naroduwa, a ja opisałem tam różne trudności, więc to nie powinno przedostać się do niepowołanych rąk. Wydaje mi się, że kopalnię tę potraktowano w tym przypadku jako coś ściśle tajnego. Redaktorzy publikacji polecili mi zakamuflować kopalnię pod inną nazwą. W moim pamiętniku nosi więc ona nazwę »Nowa Głęboka«. Takie to były czasy.*

Przełom Października 1956 dał mu nową nadzieję, nie jemu jednemu zresztą. Był w delegacji witającej na dworcu w Zabrzu Gomułkę, kiedy ten na Barbórkę 1956 roku przyjechał na Śląsk, do Zabrze, żeby świętować razem z górnikami.

Początkowo widział w nowej ekipie czynnik pozytywny, który na wstępie doprowadził do destalinizacji kopalń, usuwając z nich wreszcie Referaty Ochrony, czyli zakładowe komórki UB. Zyk miał z „tymi panami” do czynienia już w 1951 roku na kopalni „Pokój”, gdy ktoś wsadził do rury podsadzkowej miotłę i zatkał rurę. Wezwano go wtedy i zasypano pytaniami. Odpowiedział, że nic mu o tym nie wiadomo, nawet nie słyszał o takim wydarzeniu. Wówczas kazano napisać, że „ja, taki a taki, nie znam tego wydarzenia”. W swojej „Relacji” opowiedział nieco o trybie pracy takiej komórki UB-owskiej, o sposobach jej funkcjonowania.

W 1956 roku został skierowany do pracy w Ministerstwie Górnictwa w Katowicach na stanowisku starszego inżyniera w departamencie planów perspektywicznych pod dyrekcją prof. Jerzego Kolbego. Sporo się nauczył od tego nowego przełożonego i mentora. Wiele lat później, już w XXI wieku, poświęcił mu referat, jaki wygłosił w ramach Akademii po Szychcie, działającej przy Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrzu. Opowiadał o prof. Kolbem w czasie, gdy rozgrywały się już na bieżąco sprawy związane z restrukturyzacją górnictwa. Wiele przeszłych spraw nabierało nowych znaczeń.

Wspominał: *Departamentem, w którym pracowałem, kierował prof. Jerzy Kolbe z AGH, który często wyjeżdżał na Zachód, co wtedy było rzadkością. Po powrocie z jednej delegacji zagranicznej przekazał nam wiadomość, wówczas zadziwiająca, że rząd Holandii przystępuje do likwidacji swoich kopalń węgla kamiennego. To był rok chyba 1959. Myśmy byli wtedy w fazie budowy kolejnych kopalń i wzrostu produkcji. Kolbe tłumaczył nam to tym, że Holendrzy mają inne, trudniejsze warunki geologiczne i wyczerpujące się złoża. Ale była to jednak wiadomość szokująca. Nie widzieliśmy jednak w tym jakiejś zapowiedzi »wygaszania« gór-*

nictwa węgla w przyszłości, traktowaliśmy to jako wyjątek. Węgiel był wtedy naszym narodowym skarbem, eksport wciąż się zwiększał. W postępku Holendrów nie dostrzeżliśmy początku jakiejś tendencji, która w przyszłości miała zamknąć również nasze kopalnie.

W cytowanej „Relacji” nie pominął też postaci urzędującego wówczas ministra: Jan Mitręga, będąc już na emeryturze, był w latach 2007–2012 na zebraniach inżynierów górnictwa (SITG), gdzie chętnie wspominał swoją wizytę w USA u prezydenta Nixona. Było to w 1974 roku, w okresie kryzysu naftowego, kiedy to kraje arabskie wprowadziły dla krajów związanych z USA embargo naftowe. Nixonowi chodziło o uzyskanie bezpośredniej informacji dlaczego Polska nie odczuwa skutków tego embargo. Min. Mitręga wyjaśnił pytającemu, że nasz kraj ma bardzo duży udział węgla w krajowym bilansie energetyczno-paliwowym.

Życie Witolda Zyka samo jakoś, jakby bezwiednie, układało się w logiczną całość, także każdy moment jego górniczego życia stawał się przyczynkiem do dziejów górnictwa w PRL.

Na przełomie 1959/60 rozwiązano departament planów perspektywicznych. W 1959 opuścił więc Ministerstwo, przeniesiony do Zabrzeńskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego, gdzie pracował na stanowiskach inspektora kopalń i dyrektora ds. inwestycji. Zajął się tam przede wszystkim przygotowaniem budowy kopalni „Szczygłowice” oraz modernizacją kopalni „Makoszowy” i „Knurów”, a także elektryfikacją pokładów gazowych, zagrożonych wybuchem metanu. Miał duży udział w wybudowaniu kilku wież basztowych, m.in. w „Bielszowicach”, „Zabrze-Porębie”, „Knurowie”, „Makoszowach”, „Szczygłowicach”. Jeśli chodzi o takie obiekty, to – jak sam wyliczał

– miał zaznaczony udział w budowie 9 głębokich szybów, wież basztowych i wówczas innowacyjnych wieloliniowych maszyn wyciągowych oraz infrastruktury kop. „Budryk”. Najdłużej będą istnieć osiedla mieszkaniowe na Porębie w Zabrze i Fochu w Knurowie oraz Hala Sportowa MOSiR w Zabrze, których budowę koordynowałem.

Zdrowie dopisywało jeszcze długo. Wspiął się po górach, jeździł na nartach, był aktywnym członkiem

na bieżąco. Uczestniczyłem w pracach SITG, tworzyłem różnego rodzaju opracowania branżowe; z bliska przyglądałem się restrukturyzacji górnictwa, przekształceniom własnościowym, prywatyzacji. Jestem m.in. autorem opracowania »Prywatyzacja majątku nieprodukcyjnego w przemyśle węglowym w latach 1992–2012«, które trafiło do miesięcznika Zarządu Głównego SITG „Wspólne Sprawy”. W sumie opublikowałem w życiu ponad 50 rozpraw i artykułów; pierwszy tekst został opublikowany już w 1953 roku. Ukazywały się oczywiście w czasopiśmie technicznych, głównie górniczych i energetycznych.

Był wieloletnim członkiem Towarzystwa Konsultantów Polskich. Uczestniczył też w spotkaniach Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Górnictwa, Akademii po Szybcie, Klubu Inteligencji Katolickiej w Zabrze, Uniwersytetu III Wieku, w „Górniku Polskim” ukazała się jego obszerna „Relacja”, wyżej cytowana we fragmentach.

Jeszcze grubo po dziewięćdziesiątce imponował jasnością myśli i fizyczną sprawnością. Wielu pracowników górnictwa i muzealnictwa górniczego, jego znajomych, mogłoby podpisać się pod wierszem Walta Whitmana, gdy ten (jakże obcy) już dawno temu i daleko stąd opiewał kogoś jakże podobnego: *Ten człowiek pełen był cudownych sił żywotnych/ spokoju i wielkiej urody;/ swoboda i dostojeństwo jego zachowania/ Sprawilo, że tak często odwiedzałem go, aby stwierdzić/ ile w nim również mądrości./ ...każdy, kto go ujrzał, musiał go pokochać...* (tł. M. Bieszczadowski). Zda się, wierny portret Witolda Zyka.

* * *

Wiele się w polskim górnictwie zmieniło, odkąd podjął w nim pracę jako świeżo upieczony inżynier. Własnymi oczyma patrzył na zamykanie kopalń. Do niektórych wątków z przeszłości wielokrotnie powracał w rozmowach i prelekcjach. Także swą „Relację” zakończył słowami: „Przypomina mi się wciąż, jak w 1959 roku za dni mojej pracy w ministerstwie górnictwa w Katowicach prof. Kolbe oznajmił nam, pracownikom, inżynierom, że w Holandii zamykają kopalnie. Aż nie chciało się wtedy w to wierzyć. Byliśmy wtedy święcie przekonani, że u nas to niemożliwe”.

GÓRNICZY TURYSTYCZNY KLUB ŻEGLARSKI PTTK
„G WAREK”

ZAPRASZA

Kol. Witolda Zyka

na imprezę artystyczną p.n.

„Zapraszamy do nas”

ZORGANIZOWANĄ Z OKAZJI

IX CENTRALNEGO ZŁOTU
INSTRUKTORÓW I PRZODOWNIKÓW
TURYSTYKI ŻEGLARSKIEJ

w sali teatralnej Zakładowego Domu Kultury KWK „Zabrze”
w Rudzie Śl. – Bielszowicach, ul. Kokota 166.

14.06.79 - godz. 20⁰⁰

Międzyzakładowego Klubu Żeglarskiego „Klar” (z uprawnieniami sternika motorowego). Na emeryturę przeszedł w 1981 roku. Chyba nie spodziewał się, że przed nim jeszcze 42 lata życia. Ale i tych ostatnich lat nie zmarnował.

Bo także wówczas nic nie ubyło z jego niebywałej witalności i aktywności. Zmienił się ustrój, górnictwo zostało zrestrukturyzowane, a jego osobista niezamordowana aktywność nadal obracała się wokół spraw, którym poświęcił życie.

Tak pisał o tych nowych czasach: *Również po przełomie roku 1989, będąc już wtedy emerytem »z długim stażem«, starałem się być w tematach górniczych*



Witold Zyk (z prawej) na spotkaniu barbórkowym w Klubie Seniora kop. „Sośnica”, 2013. Z archiwum domowego Witolda Zyka

Ludzie ciekawsi od budynków

WERONIKA GÓRSKA

Wystawa Polska gminna i powiatowa Michała Cały obejmuje czterdzieści fotografii, które artysta wykonał w Polsce południowej i wschodniej oraz w Wielkopolsce i Kujawach od 2014 do 2019 roku. Zdjęcia te – kameralne, skupione bardziej na szczegółach niż ogóle – pod wieloma względami różnią się od dawnych prac artysty, ukazujących Śląsk i Zagłębie wraz z monumentalnymi hutami, kopalniami i hałdami. Można w nich jednak dostrzec podobne motywy do tych, które Cała uchwycił na podwórkach familoków – zwyczajnych ludzi i ich codzienne sprawy.

W obiektywie fotografa: przerwa w pracy na papierosa, zakupy, wizyta u fryzjera, jogging czy jazda na rowerze. Są to zatem sprawy wiążące się nie tylko z dbałością o fizyczne przetrwanie ciała, ale również o jego zdrowie i atrakcyjność. Mimo to powierzchowność bohaterów zdjęć daleka jest od wymuskanych wizerunków celebrytów. Reprezentują bardzo różne typy sylwetek i urody oraz style ubierania. Wśród nich mniej jest młodych osób i dzieci niż ludzi w średnim lub starszym wieku. Na jednej z fotografii widzimy mężczyznę w roboczym ubraniu, na innym kolorowo ubraną biegaczkę. Obok seniorki w chustce i swetrze pamiętającym lata dziewięćdziesiąte, a może nawet osiemdziesiąte, niosącej reklamówkę z zakupami, na innej fotografii pojawia się jej rówieśniczka w płaszczu, kapeluszu, z parasolką i kraciastą torbą na zakupy – prawdziwa dama, zachowująca godność i wdzięk mimo przygarbionych pleców. Twarze najstarszych sportretowanych mieszkańców gmin i miasteczek poorane są zmarszczkami, za którymi kryją się szczęśliwe i tragiczne wydarzenia. Aż chciałoby się poprosić o opowiedzenie tych historii, o wypunktowanie, jak to bywało kiedyś, a jak jest teraz i które czasy należy uznać za lepsze.

Wśród uchwyconych przez Całą budynków nie ma bloków z wielkiej płyty ani kilkupiętrowych, bogato zdobionych, wielkomiejskich kamienic. Dominuje zabudowa jedno lub kilkorodzinną, w większości wiekowa. Obok walących się, drewnianych chałup z wypaczanymi drzwiami i oknami oraz dziurawym dachem czy jednopiętrowych kamieniczek z odrapanym tynkiem, spod którego wyłazi cegła lub piaskowiec, widzimy świeżo wyremontowane

domy mieszkalne czy punkty usługowe, aż nazbyt krzyczące jaskrawością fasad i sztyldów.

Jak zauważa Radek Kobierski w opisie wystawy: „Polska prowincja na naszych oczach przechodzi przyspieszony lifting: wkroczyła do niej nowoczesność, komercja, kolory w całej swojej palecie, zwłaszcza kolory intensywne i <<krzykliwe>> – to jeden z elementów konstytutywnych zmiany oraz fotografii rejestrujących tę zmianę – porządek, wielkomiejskie tradycje, nowa architektura. Zmiany rozkładały się jednak nierównomiernie, nie tylko w sensie fizycznej, ale również mentalnej przebudowy. Michał Cała kupia się właśnie na tym, żeby ten kontrast był dla nas widoczny, żebyśmy sami mogli znaleźć się w środku tego procesu i wyrobić sobie na ten temat zdanie. Sam unika komentarza”.

Co znamienne, artysta nie fotografuje dyskontów spożywczych, których tak wiele można spotkać na polskiej prowincji, lecz małe, prywatne sklepiki, second handy, knajpki, zakłady fryzjerskie czy punkty skupu samochodów, czasami położone w centrum wsi czy miasteczka, a czasami w polu, pośród falujących zbóż. Jego obiektyw stara się zatem uchwycić to, co jednostkowe, nawet jeżeli wpisujące się w określone trendy i schematy. Z prac tych można wywnioskować, że mieszkańcy małych miejscowości nie czekają biernie na powstanie w okolicy wielkich zakładów produkcyjnych, lecz sami podejmują przedsięwzięcia inicjatywę, odpowiadając na materialne potrzeby krewnych i sąsiadów, a czasami też tworząc dla nich miejsca pracy.

Dla mnie najciekawsze spośród czterdziestu zdjęć Michała Cały okazują się te przedstawiające niszczące, stare domy. Chciałabym – podobnie jak wiekowych bohaterów tych prac – poprosić je o opowieść o budowniczych i dawnych mieszkańcach. Do wiedzieć się, jak wyglądały w latach świetności oraz dlaczego zostały porzucone, a przynajmniej zaniedbane. Zajrzeć tam, gdzie obiektyw fotografa nie sięgnął, czyli do wnętrza. Rozsiąść się na trzeszczącej kanapie, rozpoznać w ceracie na kuchennym stole taką samą, jaka miała moja babcia, niedyskretnie spenetrować szafki i szuflady. Chętnie wdrapałabym się po skrzypiących schodach na strych

lub przeciwnie, zeszła nimi do piwnicy. Przymierzyła pachnące lawenda i naftaliną, a może przeciwnie, ponadgryzane przez mole i myszy, suknie oraz kapelusze z minionych epok. Przewertowała albumy rodzinne z czarno-białymi, ząbkowanymi fotografiami. Odczytała pożółkłe, spisane wyblakłym atramentem metryki, świadectwa szkolne, listy pisane z wakacji czy frontów światowych wojen. Otworzyła słoiki z obłędnie pachnącymi i smakującymi konfiturami. Albo uchyliła wieko beczki i wciągnęła w nozdrza ostrą woń kiszzonej kapusty.

Najchętniej zaś bym te stare domy odremontowała. Nie po to, by krzyczały jaskrawą nowoczesnością, jak sąsiadnie, lecz by przywrócić im pierwotny styl i wdzięk. Pokryłabym dachy staroświecką dachówką lub gontem, wyprostowała garbiące się ściany, wstawiła nowe, lecz koniecznie drewniane okna. Potem zaś zasiadłabym w bujnym hotelu na ganku, z filizanką herbaty i ciasteczkami domowej roboty, patrzyła na rosnące w ogródku piwnie i stokrotki, a przede wszystkim słuchała opowieści mieszkanki i mieszkańców, liczących co najmniej siedem dekad, lecz i tak znacznie młodszych od tych budynków.

Wystawa Polska gminna i powiatowa krzepi świadomością, że mieszkańcy prowincji są rzutcy, zaradni, pracowici, zdeterminowani, by podnosić własny i swoich rodzin poziom życia, a także by dbać o zdrowie poprzez aktywność fizyczną. Zarazem prace Michała Cały budzą sentyment za „starymi dobrymi czasami”, pachnącymi drewnem zamiast przyciągającymi wzrok różnobarwnym plastikiem. Kto wie, może ten sentyment przerozodzi się najpierw w zainteresowanie, a później w dbałość o historię? Nie o historię wielkich wojen, rewolucji, religii i prądów ideowych, lecz o historię codziennego życia, jego radości i trosk. O historię, którą można poznać z ust seniorów, jak również odczytać ze starych dokumentów oraz przedmiotów codziennego użytku. ■

Michał Cała, Polska gminna i powiatowa, Galeria Miasta Ogrodów, Instytucja Kultury Katowice Miasto Ogrodów, 4 maja – 11 czerwca 2023 roku, kuratorka wystawy – Katarzyna Łata.



Lelów. Fot. Michał Cała



Żywiec. Fot. Michał Cała



Ślesin. Fot. Michał Cała



Częstochowa. Fot. Michał Cała



Siemiatycze. Fot. Michał Cała



Węgrów. Fot. Michał Cała



Włodawa. Fot. Michał Cała



Stary Sącz. Fot. Michał Cała



„We Will Rock You”, Teatr Muzyczny ROMA w Warszawie 2023

Chcemy rocka i wolności

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

Polska prapremiera „We Will Rock You” w Teatrze Muzycznym ROMA w Warszawie 15 kwietnia 2023 roku okazała się wielkim manifestem wolności. Im dłużej myślę o tym przedstawieniu, tym bardziej mnie inspiruje. Hasła bohaterów musicalu to: „Idź i walcz, martwych obudź!”, „Uwolnić się chcę!”, „Muszę tylko wydostać się z tych krat”. Zabrzmiała znowu z wielką ekspresją muzyka kultowego zespołu Queen.

Freddie Mercury stał się symbolem wolności nie tylko muzyki, ale człowieka. Jesienią 1991 roku ogłosił światu, że jest chory na AIDS, po czym zmarł. Jednak już za życia stał się legendą. W 1976 roku Queen zgromadził w londyńskim Hyde Parku około 200 tysięcy widzów podczas darmowego występu. W tym czasie w Polsce odbywały się strajki i starcia z policją w Radomiu, Ursusie i Płocku.

W 1981 roku generał Wojciech Jaruzelski został premierem. „Solidarność” walczyła o wolną Polskę. Rząd wprowadził reglamentację mięsa, wędlin, masła, mąki, ryżu i kasz, a następnie proszków do prania. Szalała inflacja. W różnych miejscach naszego kraju trwały strajki robotników, rolników i studentów. W tym samym roku Queen występował na stadionach Ameryki Południowej. Na koncert w Sao Paulo sprzedano 131 tysięcy biletów. W ten sposób pobito światowy rekord frekwencji. Kilka dni przed ogłoszeniem stanu wojennego występowała w Warszawie i katowickim Spodku Tina Turner – królowa Rock’n’Rolla (zmarła 24 maja 2023 roku).

Musical „We Will Rock You” wykorzystuje hity Queen, ale nie przedstawia historii działalności zespołu. Wśród rebeliantów walczących o wolność można odnaleźć inspiracje postaciami ze świata popkultury. Libretto ukazuje fikcyjną akcję z przyszłości. Ziemią rządzą antyliberalni cwaniacy, którzy wszystko chcą mieć pod kontrolą. Muzyki można słuchać tylko poprzez aplikację, która monitoruje każdą aktywność. A zatem panuje całkowita cenzura. W szkołach kształtuje się dzieci i młodzież według wzorców ściśle ustalonych i wdrażanych przez rządzących oraz posłusznych im żandarmów. Zabronione jest

posiadanie instrumentów i tworzenie oraz wykonywanie muzyki. Utwory rockowe jako wywrotowe są surowo zakazane. Można słuchać jedynie muzycznej papki. Miłość również jest niedozwolona. Ludzie przypominają więc roboty, które mają wykonywać to, co ustali władza. Swobodne myślenie jest niebezpieczne, więc trzeba je zdusić w zarodku.



W spektaklu wykonywanych jest kilkanaście hitów Queen, m.in.: „Innuendo” (w wersji oryginalnej), „Radio Ga Ga”, „Uwolnić się chcę”, „Killer Queen”, „Chcemy rocka”, „Rapsodia Bohemy”. Tłumaczenie chwilami zadziwia, np.: „Dziewczyno z tęgim tyłkiem, kręcisz cały świat!” albo „Tak się wygrywa” zamiast „We Are The Champions”, które brzmi w oryginale o wiele lepiej. Widziałem premierowe przedstawienie ze świetnymi aktorami musicalowymi: Maciejem Dybowskiem (Galileo), Marią Tyszkiewicz (Scaramouche), Małgorzatą Chruściel (Killer Queen), Łukaszem Zagrobelnym (Khashshogi), Natalią Krakowiak (Oz), Kamilem Franczakiem (Britt) i Tomaszem Steciukiem (Buddy).

Kamil Franczak był dotąd gwiazdą chorzowskiego Teatru Rozrywki. Grał główne role w wielu musicalach,

m.in.: „Producenci”, „Sweeney Todd”, „Niedziela w parku z George’em”. Za kreację Mistrza Ceremonii w musicalu „Cabaret” otrzymał Złotą Maskę. W ubiegłym roku wydał solową płytę „#lubiecie” pod pseudonimem FRANKY. Jest błyskotliwy, niezwykle zdolny i potrafi się zmieniać jak kameleon. Ma szansę na dużą ogólnopolską karierę na scenie i estradzie.

W zespole wokально-aktorskim z przyjemnością odnalazłem Andrzeja Skorupę, który na scenie Gliwickiego Teatru Muzycznego kreował role Chada w „High School Musical”, Claude’a w „Hair”, Terka w „Tarzanie” czy Wronskiego w „Annie Kareninie”.

Przedstawienie wyreżyserował Wojciech Kępczyński. Scenografia Mariusza Napierały to głównie potężne aluminiowe konstrukcje, które nie robią oszałamiającego wrażenia. Natomiast niezwykle pomysłowe są kostiumy Doroty Kołodyńskiej, powiązane z szalonymi fryzurami Jagi Hupało i obfitą charakterystyką Sergiusza Osmańskiego. Całości dopełniają futurystyczne projekcje Pilotów Studia.

Na początku niektórzy widzowie zatykali uszy z powodu basowych dźwięków, powodujących wibrację foteli. Później chyba wszyscy się przyzwyczaili do ostrej rockowej muzyki i gitary elektrycznej nadającej odpowiedni ton.

Najgorszym elementem spektaklu jest libretto Bena Eltona. Dialogi są sztuczne, kiepskie i naiwne. Aktorzy robią, co mogą, aby je obronić, ale nie zawsze się to udaje. Największą siłą musicalu jest młodzieńcza energia i wspaniała muzyka. Duże wrażenie robi też choreografia Agnieszki Brańskiej. Pod koniec przedstawienia znakomicie są wykonane największe hity: „We Will Rock You”, „We Are The Champions” i Bohemian Rhapsody”.

Starsi widzowie z rozrzewnieniem słuchają przebojów Queen – zespołu z czasów swojej młodości. Młodzi ludzie odbierają wspaniale tę muzykę i utożsamiają się z bohaterami, którzy buntują się przeciwko okrutnej i głupiej władzy na iPłanecie. To spektakl o rewolucji i walce o społeczeństwo liberalne, w którym każdy ma prawo do wyrażania swoich emocji i bycia sobą, a nie człowiekiem-maszyną.



ŚLĄSKA
OJCZYŻNA
POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

Co łączy Olzę i Oławę z Łyną?

Na tytułowe pytanie dzisiejszego odcinka odpowiadam od razu: praindoeuropejska etymologia. Praindoeuropejska, czyli niezwykle archaiczna, sięgająca czasów przed naszą erą, a zarazem typowa dla większości nazw wód, nad którymi rozdziły się cywilizacje. Oto bowiem zarówno śląskie rzeki *Olza* i *Oława*, dopływy Odry, jak i płynąca przez Pojezierze Olsztyńskie, Nizinę Staropruską i wpadająca do Pregoły w obwodzie królewieckim Łyna zawierają rdzenną cząstkę – *el*, – *ol* o znaczeniu „płynąć, ciec”.

Olza jest prawym dopływem Odry długości 86,2 km, w górnym biegu płynącym w Czechach i będącą później graniczną rzeką między Polską i Czechami, uchodzącą do Odry w pobliżu wsi *Olza*. Jej najstarszy zapis – *Olzam* – pochodzi z roku 1290. Późniejsze zarejestrowane postacie to *Olzam* 1450, *wody Olzy* 1521, *za Oldzu* 1611, *Olsa* 1755, *Olsze* 1872. Za najprawdopodobniejszą uznaje się następującą ewolucję brzmienia: praindoeuropejska *Olga* – później prasłowiańska *Olga*, od niej wywiedziona *Oldza*, a z niej *Olza*. Polska forma powinna brzmieć *Oldza* (z przejściem dawnego „g” w „dz”), pod wpływem jednak języka czeskiego ostatecznie przyjęło się brzmienie ze śródgłosowym „z” (por. na ten temat: Maria Malec: „Słownik etymologiczny nazw geograficznych Polski”, Warszawa 2003, s. 178–179).

Oława to prawy dopływ Odry długości około 91 km, płynący w województwie dolnośląskim, uchodzący do Odry we Wrocławiu – niedaleko mostu Grunwaldzkiego. Najstarszymi jego zapisami są: *Olaua* 1150, *Olawa* 1226, *Olauia* 1250, *Olow* 1333,

Ole 1440, *Olaw* 1469, *Olawa* 1470–80, *Olau* 1501. Postać *Olauia* (czyt. *Olavia*) jest zlatynizowana, warianty *Olau*, *Olaw*, *Ole*, *Olow* z kolei są graficznie zniemczone. We wszystkich tkwi – tak jak w *Olzie* – przywołany na początku odcinka praindoeuropejski rdzeń –*ol* o znaczeniu „płynąć, ciec”.

Tak jak nazwa wsi *Olzy*, w pobliżu której *Olza* wpada do Odry, jest przeniesiona z nazwy rzeki, tak samo podwrocławskie miasto *Oława* zawdzięcza swoje miano rzece. Ma również archaiczne zapisy: *Olauam* 1149, *Olaua villa* 1155, *de Olavia* 1269.

Czas przenieść się do województwa warmińsko-mazurskiego oraz na Równinę Pregoły, do której wpada jej lewy dopływ Łyna – długości 264 km (w Polsce 190). Lepiej uświadomimy sobie etymologiczne pokrewieństwo nazwy tej rzeki ze śląskimi *Olzą* i *Oławą*, gdy również przyjrzymy się jej starym zapisom: *Alna* 1251, 1320, *Alle* 1388, *Alla*, *All*, *Lana*, *Allana* 1576, *Alle* 1755, *Alle*, *Lyny* ok. 1790, nad rzeką *Łyną*, niem. *Alle* 1886. Wszystkie te warianty zawierają ten sam praindoeuropejski rdzeń –*el*, –*ol* „płynąć, ciec”, rozszerzony elementem –*n*. Zapis z roku 1576 *Lana* to rezultat przestawki nagłosowego *Al* w *La*. Kolejne zmiany to przekształcenie nagłosowego *L* – w *Ł* – oraz podniesienie wymowy *a* do *y* przed spółgłoską nosową *n*, czyli przejście postaci *Alna* w *Lana*, a potem *Łyna*, jak pisze prof. Maria Malec – skutek substytucji fonetycznych niemieckich i gwarowych, mazurskich i południowowarmińskich (tamże, s. 151).

Po tym wywodzie możemy stwierdzić, że pierwotnemu brzmieniu rzeki

Łyny z nagłosowym *Al*. – zawdzięcza swą dzisiejszą postać nazwa *Olsztyn*, największego miasta w woj. warmińsko – mazurskim. Oto jej najdawniejsze zapisy: *Novae Ciuiatis* 1348, *civitas Allensteyn ad fluuium Alne* 1353, *Allensteyn Nowemiasto* 1378, *Holsten, Holszten, Olszten* 1448, *Olsthin* 1502, *Holstyń* 1682, *Allenstein, Olsztyn* 1880.

Nietrudno przecież zauważyć, że pierwszy człon niemieckiego wariantu nazewniczego *Allen* – jest związany z nazwą rzeki *Allna* z praindoeuropejskim pniem *el*-, *ol*-, a drugi – z niemieckim rzeczownikiem *Stein* „kamień, skała” i że obowiązujący dziś polski wariant *Olsztyn* jest substytutem owego *Allenstein*, przystosowanym do naszej wymowy (por. *Bernstein* – *bursztyn*, nazwisko *Rabstein* – *Rabsztyn*, *Schorstein* – *Czorsztyń*, *Falkenstein* – *Falsztyn*).

Dopowiedzmy jeszcze dla porządku, że w XIV wieku występowała też nazwa *Nowe Miasto* – z pewnością antytetycznie nawiązująca do jakiejś starej osady.

A jaki rodowód ma *Odra*, do której uchodzą *Olza* i *Oława*? – zapytacie. Równie archaiczny – odpowiem, a jej zapisy sięgają X wieku: *Odera* 948, 995, *Oddoram*, *Oddaram*, *Oddara* ok. 1070, *Odra* ok. 1120, *Odere*, *Odre* 1175, *Odre*, *Odram* 1178, *Odra* 1202, *Odera* 1213, 1271. Należy *Odra* do tej samej rodziny wyrazowej co *woda*, *wiadro*, *Adriatyk*, gr. *hydor* „woda”, niem. *Wasser* „woda”, ang. *water* „woda”. Wszystkie zaś te brzmienia wiodą do praindoeuropejskiej podstawy *wodr* „woda”. Jakie to zwyczajne pod względem znaczeniowym! – chciałoby się na koniec zawołać. ■

O pożytkach płynących z obywatelskiego sprzeciwu

TOMASZ SŁUPIK

Data 4 czerwca we współczesnej polskiej historii jest symboliczna. Bowiem 4 czerwca 1989 roku w częściowo wolnych wyborach komuniści ponieśli klęskę, społeczeństwo powiedziało gromkie *nie* opresyjnej, autorytarnej władzy. W tamtym czasie, jak to czasami bywa, historia zerwała się z łańcucha i doznała przyspieszenia. Wystarczy przypomnieć, że we wrześniu 1989 roku na czele rządu stanął Tadeusz Mazowiecki, pierwszy niekomunistyczny premier od kilkudziesięciu lat w tej części Europy. Frustracja, zmęczenie, złość na tragiczną sytuację ekonomiczną sprawiły, że obywatele w przytłaczającej większości mieli dość oszukującej, aroganckiej, opartej na przemocy władzy i wypowiedzieli jej posłuszeństwo przy pomocy karty wyborczej, doprowadzając do jej kompletnej delegitymizacji. Polska, ale również europejska, czy światowa historia naznaczona jest skutecznymi ruchami obywatelskiego protestu, które wypowiadają posłuszeństwo władzy uzbrojonej po zęby, prześladowującej i represjonującej swoich krytyków, skłonnej do popełnienia wszelkiej mąci szalbierstw, a nawet politycznego skrytobójstwa, byle tylko ludzie ją sprawujący mogli się przy niej utrzymać. Z kolei przeciwko władzy w takich sytuacjach wychodzili ludzie uzbrojeni tylko w idee, z mocnym przekonaniem etycznym, że „siła bezsilnych”, kiedy protest przybierze masowy charakter jest w stanie pokonać każde jej wcielenie, nawet to totalitarne. Przykłady Gandhiego, Mandeli, Martina

Luthera Kinga, Wałęsy, Havla, a przede wszystkim ruchów, na czele których stanęli, są znakomitą ilustracją powyższej tezy. Przywódcy, intelektualiści, studenci, robotnicy, chłopci, kobiety, mężczyźni, starzy i młodzi, wykształceni i niewykształceni przekonani o swojej etycznej, a potem politycznej słuszności zmieniali swoje kraje, a docelowo świat, czyniąc go lepszym miejscem do życia. Robili to bez kłamstwa, przemocy, cynizmu, służalczości, zdrady, łamania charakterów przez tajną policję, usługowych mediów tworzących fałszywy obraz rzeczywistości, mający ukryć nieudolność i nadużycia władzy. Hegel mówił o wielkich jednostkach zmieniających historię, jednak protest, bunt społeczny ma zbiorowego bohatera – społeczeństwo, które zmienia bieg dziejów.

W Polsce 4 czerwca 2023 roku również nastąpiło przebudzenie społecznego, zbiorowego bohatera. Ludzie, a bardziej obywatele, na ulicach Warszawy mogli wyartykułować swój sprzeciw wobec arogancji i nadużyć władzy, przeciwko kłamstwu i nienawiści w sferze publicznej. Słowo dobrowolnie jest kluczem do zrozumienia tej sytuacji. Niesieni etycznym impulsem niezgody wobec tępej propagandy telewizji publicznej o najlepszym okresie w historii Polski w ostatnich trzystu latach, mający dość kolonizowania publicznego, wspólnego dobra, jakim są spółki skarbu państwa zarządzane przez lojalnych nominatów partyjnych, zarabiających miliony zło-

tych, gdy pensja początkującego nauczyciela wynosi 3605 złotych i jest niewiele wyższa od płacy minimalnej.

Przebudzenie obywatelskiego olbrzyma i jego pomruk sprawiły, że w szeregi PiS-u wkradło się zwątpienie, co do potencjalnego zwycięstwa w jesiennych wyborach. Funkcjonariusze partyjni zostali brutalnie wyrwani z drzemki samozadowolenia przez jeden stanowczy pomruk społecznego niezadowolenia. Już Grecy ponad 2500 tysięcy lat temu, *idiotes* nazywali ludzi, którzy mając możliwość decydowania o polityce uchylali się od takiego przywileju i obowiązku zarazem. Wszak demokracja to wysiłek kolektywny, to władza nad samymi sobą, gdzie decyzje powstają w wyniku zbiorowego namysłu i przyzwolenia. Oczywiście technicznie inaczej niż u Greków, współcześnie robią to parlamenty wybrane w wyborach, władza jest podzielona, a rząd jako reprezentant politycznej większości w parlamencie, wciela w życie i na bieżąco realizuje wolę suwerena.

Jednak historia lubi się powtarzać i to wcale nie jako farsa. Politycy nie mogą wybrać sobie innego społeczeństwa. To społeczeństwo może wybrać sobie innych polityków. Niech to będzie memento, nauka i ostrzeżenie dla wszystkich rządzących, których arogancja, zadufanie, kłamstwo i nieuczciwość w sferze publicznej, prędzej czy później spotkają się z mniej lub bardziej gwałtownym społecznym odporem. ■



Bez morału

KRZYSZTOF ŁĘCKI

I Józef Ignacy Kraszewski napisał „Stara baśń”, ja opowiem starą historię. O kolebce zachodniej demokracji, o Atenach. Ateny to ojczyzna demokracji? – pytał w jednym z esejów Zbigniew Herbert. I odpowiadał – „Tak, w morzu barbarzyństwa była to jednak ojczyzna demokracji, mimo że narzucała czasem wolę innym, zapatrzona w swój ideał, w swoją misję, w swoją jedynie słuszną drogę, po której próbowała prowadzić skłócony światek greckich partykularyzmów”.

II Pewnie się nie pomylę, jeśli zaryzykuję stwierdzenie, że najbardziej znanym tekstem kodyfikującym zalety ateńskiej demokracji była i pozostaje mowa pogrzebowa Peryklesa. Ateński przywódca wygłosił ją w specyficznych okolicznościach – grzebano jedne z pierwszych ofiar wojny peloponeskiej, której wybuchu był Perykles stanowczym zwolennikiem. A nawet należałoby powiedzieć – że w sporym stopniu to jego determinacja do niej doprowadziła. W tle przyczyn wybuchu wojny dopatrywano się także możliwej ucieczki Peryklesa od oskarżeń o nadużycia finansowe związane z budową Akropolu. Oczywiście to tylko marginalia. Główny powód, który doprowadził do wojny Aten (i ich sprzymierzeńców) ze Spartą (i jej sojusznikami) to dla historyków wszak tzw. „pułapka Tukidydesa” (od jej kronikarza) – „Otóż za najistotniejszy powód, chociaż przemilczany, uważam wzrost potęgi ateńskiej i strach, jaki to wzbudziło u Lacedemończyków” (Tukidydes I, s. 28); w innej wersji: „Lacedemończycy podjęli uchwałę o zerwaniu układu i konieczności wojny nie tyle z namowy sprzymierzeńców, ile ze strachu przed Ateńczykami. Widząc bowiem, że wielka część Hellady jest już opanowana przez Ateńczyków, bali się, żeby ich potęgą jeszcze bardziej nie wzrosła” (Tukidydes I, s. 59).

III Ale wróćmy do słynnej, znanej z edukacji szkolnej, mowy pogrzebowej Ateńskiego polityka. Przeczytań ją można współcześnie na dwa sposoby. Pierwszy – Bronisława Łagowskiego: „[...] odwołanie się do dziedzictwa greckiego pozostało w konstytucji europejskiej w formie cytatu z mowy Peryklesa zrelacjonowanej przez Tukidydesa w *Woj-*

nie peloponeskiej. Jest to najpiękniejsze przemówienie męża stanu, jakie w ogóle znamy”. I drugie – Ryszarda Legutki: „Sławna obrona demokratycznych Aten wygłoszona przez Peryklesa w *Wojnie peloponeskiej* Tukidydesa jest w istocie obroną ducha ateńskiego i ateńskiego imperializmu, nie zaś demokracji jako ustroju politycznego”.

IV No cóż – przypomniana w eseju Herberta karna ekspedycja na Samos, która miała miejsce na kilka lat przed wybuchem wojny peloponeskiej (a dokładniej – drugiej wojny peloponeskiej) pokazuje, że napięcie pomiędzy demokratycznym ideałem, a imperialistycznymi ciągotkami było naprawdę spore. W skrócie. Wyspa Samos weszła w spór z Miletem. Ateńskie miast ograniczyć się do roli rozjemcy, opowiedziały się za Miletem. „Obie zwaśnione strony należały do Związku Delijskiego zwanego później Ateńskim Związkiem Morskim. Formalnie wszyscy członkowie związku, a było ich ponad 200, byli na równych prawach i każdy posiadał jeden głos na Zgromadzeniach Rady Związkowej. W istocie na skutek faktycznej przewagi sił głos decydujący miały Ateny” – to Zbigniew Herbert. I kontynuuje autor „Labiryntu nad morzem”: „Samiejczy poczuli się skrzywdzeni i nie zgodzili się z tą decyzją. Arbitralna polityka Aten stawiała pod znakiem zapytania pozycję wolnego państwa. Chodzili słuchy, że rząd samijski się nie ugnie i będzie walczył o swoje prawa, a nawet że wystąpi ze Związku Ateńskiego, co byłoby niebezpiecznym precedensem, gdyż taki krok mógł pociągnąć za sobą łańcuch buntów innych miast greckich przeciwko Ateńczykom”. W tej sytuacji Ateńczycy wybrali drogę interwencji zbrojnej. Samiejczyków szybko zwyciężyli, ustanowili na wyspie rządy demokratyczne. Jednak ci mieszkańcy Samos, którzy uciekli przed inwazją, zebrawszy przy pomocy Persji (sic!) posiłki obalili narzucony przez Ateny rząd. Druga inwazja Ateńczyków na Samos przeprowadzona została znacznie większymi siłami. Ba, by odwieść Persów od pomocy Samiejczykom Perykles oddał tym pierwszym greckie ziemie w Karii. Nawet wówczas zwycięstwo Aten nie było przesądzone. Niemniej ostatecznie Samos skapitulowało – warunki, jakie wyspie postawiono były

nad wyraz ciężkie. Straciła status miasta sprzymierzonego, osadzono na Samos garnizon ateński, a ponadto jej mieszkańcy „musieli zburzyć mury obronne, wydać swoją flotę, dać zakładników, zapłacić kosztą wojny ustalone na zawrotną kwotę ośmiu i pół miliona drahm” (Herbert). Właśnie – pieniądze. „Większość miast płaciła do wspólnego skarbcza od jednego do trzech talentów rocznie – to znaczy sumę znośną, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę inflację. Ale ta kwota mogła być dowolnie podnoszona i trybut narzucony Samos po nieudanej rebelii ustalono na 80 talentów rocznie, do czego doszły koszty wojny, które buntownicy musieli zapłacić Atenom w wysokości 1000 talentów – co stanowiło już rujnujące obciążenie dla najbogatszego nawet miasta-państwa” (to znowu Zbigniew Herbert).

V Aleksander Krawczuk („Perykles i Aspazja”) powiada: „W Atenach dobrze zdawano sobie sprawę ze wzburzenia wśród sprzymierzeńców. Jednakowoż stronictwo Peryklesa było zdecydowane przekształcić Związek Morski w podległe Atenom państwo. Poddanie jego mieszkańców tutejszemu sądownictwu było ważnym krokiem w tym kierunku. Odtąd można było wtrącać się w sprawy wewnętrzne państw związkowych oraz karać lub nagradzać ich obywateli w zależności od nastawienia do ateńskiej władzy”. Ateńskie zabytki ciągle niszczone i ciągle są „odbudowywane”. Podobne są w tym do „ateńskich” ambicji politycznych, które w polityce nigdy nie znikną.

VI I na koniec raz jeszcze przywołujący Jacoba Burckhardta Zbigniew Herbert. Burckhardt opowiada „z podziwem, a także ironią o ateńskiej umiejętności mówienia o najgorszych rzeczach z przezorną delikatnością, o zdolności w wynajdowaniu eufemizmów. I tak nazwano więzienie-mieszkaniem, trybut – dopłatą, okupację – ochroną”.

VII Aha, i jeszcze jedno. To właśnie po zakończonej tryumfem ekspedycji karnej na Samos zaprowadzono w Atenach cenzurę. Po raz pierwszy w dziejach demokracji. Nie po raz ostatni. ■



MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

„Odzyskany śmietnik...” i zabór pruski

Niedawno ukazała się książka znakomitego polskiego historyka, także sprawnego antropologa kultury Włodzimierza Mędrzeckiego. Nosi intrygujący tytuł *Odzyskany śmietnik. Jak radziłyśmy sobie z niepodległością w II Rzeczypospolitej*. Wydawcą jest zasłużone Wydawnictwo Literackie. Z wielkim zainteresowaniem podjąłem lekturę tej publikacji. Nie spodziewałem się jednak, że po prezentacji między innymi historii zaboru rosyjskiego i austriackiego natrafię na rozdział dotyczący, co logiczne, zaboru pruskiego, a w tej prezentacji w „dziwnym kontekście” naszego regionu. I w czasie owej lektury zadzwonił do mnie mój rówieśnik, syn pani Marii, która wprowadzała mnie w latach 70. w specyfikę górnośląskich tradycji religijnych. Jej syn, z zawodu nauczyciel historii, w rozmowie telefonicznej z oburzeniem odniósł się do zdania rozpoczynającego informację o zaborze pruskim, zawartego w przywołanej pracy Mędrzeckiego.

Zanim przejdę do dalszych uwag, zacytuję owo zdanie w rozdziale zatytułowanym *Były zabór pruski: „Ziemie pozostające przed 1914 rokiem pod panowaniem pruskim (województwo śląskie, poznańskie i pomorskie) obejmowały obszar 47,1 tysiąca kilometrów kwadratowych (niecałe 13% kraju) zamieszkiwane w 1921 roku przez 4,3 miliona ludzi (16% populacji II RP)”. Mój rozmówca, z którym jeszcze przed niedawnymi czasami odwiedzałem wiele śląskich domów – rozmawialiśmy o sprawach etnicznych, o śląskiej kulturze, o mowie śląskiej, o tożsamości śląskiej – był mocno poirytowany. I muszę przyznać jedno. W czasie tych rozmów wielokrotnie pojawiał się temat specyfiki górnośląskiej historii, lat międzywojnia i czasów realnego socjalizmu. Wtedy pojawiały się opinie o Górnym Śląsku, jako „wewnętrznej kolonii Polski”, o niszczeniu śląskiej kultury, a także o regionalnej tożsamości. Pozostaje to w opozycji do pol-*

skiej opinii o „Śląskiej Katandze”. Mówiono też zawsze o tym, że był to zarówno obszar czeski, potem habsburski, a potem obszar przynależny do państwa pruskiego, „od czasów Fryderyka II”. Pojawiała się też kategoryczna opinia, że Śląsk nigdy nie był objęty zaborami. W efekcie przytoczone zdanie z pracy Mędrzeckiego wywołało u mojego rozmówcy wielkie poirytowanie. Zwłaszcza zaś zdanie: „Województwo śląskie ze stolicą w Katowicach otrzymało dość dużą autonomię”.

Mój rozmówca pytał: „Czy była to dość duża autonomia, średnia autonomia czy mała?”. Wskazał umiejętnie na status organiczny województwa śląskiego. A przypomnijmy, że został on wydany 15 lipca 1920 roku. A w artykule pierwszym czytamy: „Województwo Śląskie, będzie obejmowało wszystkie ziemie śląskie przyznane Polsce, czy to ze Śląska Cieszyńskiego, czy też na mocy art. 88 Traktatu Wersalskiego z Niemcami z 28 czerwca 1919 r. (Dz. Ustaw z 26 kwietnia 1920 r. № 35 poz. 200)”. On autentyczny „Korfanciorz”, ale doceniający także wielkość Józefa Piłsudskiego, był oburzony. Decyzję o statusie przedwojennego województwa śląskiego uznał za zrozumienie przez władze polskie trudnych losów tej części Górnego Śląska i specyfiki kulturowej ludności rodzimej.

Po lekturze książki Mędrzeckiego zadzwoniłem do pana Franciszka. Delikatnie odmówił rozmowy na ten temat, ale jednak rozmawialiśmy. Jego rozważania na temat nieznanomości przez Polaków historii regionu były dla mnie przekonujące. I w tym momencie odwołam się do moich badań antropologicznych w naszym województwie, zwłaszcza tych, dotyczących potocznej wizji przeszłości, ale też górnośląskiego stereotypu, autostereotypu i metastereotypu. I w tej perspektywie poza stereotypem i autostereotypem warto odwołać się do regionalnego metasereotypu. Czyli tego, jak Gór-

noślązacy rozumieją pojmowanie siebie przez innych. Okazuje się, że jest zbieżny z polskim stereotypem tej ziemi. Wszak teren ten jest uważany za zniemczony, zawsze przynależny do Niemiec, a ludność nawet dzisiaj wykazuje orientację proniemieckie. Niezrozumiały jest też dramat pokolenia „śląskich Kolumbów”, którzy przymusowo zostali wcieleni do sił zbrojnych III Rzeszy. I walczyli na froncie wschodnim i zachodnim.

W tym kontekście zrozumiałe jest, iż nader cenna panorama losów Górnoślązaków służących w Wehrmachcie, opracowana przez Alojzego Lyskę, jest nieznana poza granicami naszego województwa. Oczywiście przywołuję tu Jego dziesięciotomowe dzieło *Duchy wojny*. Pamiętam też z lat szkolnych, jak moi rówieśnicy, których ojcowie byli w Wehrmachcie, ukrywali ten fakt. I w tym momencie mam skojarzenie, jakie były reakcje w Polsce po owym akcie politycznym, dotyczącym „działka z Wehrmachtu” Donalda Tuska. Na szczęście takie postępowanie kategorycznie wtedy potępił Lech Każyński. Ale hasło rzuczone żyło już swoim życiem. Nieznane są też w Polsce okoliczności wyjazdu Górnoślązaków do RFN w latach 70. A problem ten obiektywnie wyjaśnia np. dr Justyna Kijonka.

Odwołuję się do tekstu *Migracje z Górnego Śląska do Republiki Federalnej Niemiec w latach 1970–1989, czyli między ojczyzną prywatną a ideologiczną*, ogłoszonego na łamach „Górnośląskich Studiów Socjologicznych” z 2013 roku. Oczywiście, nie twierdzę, że losów Górnego Śląska nie zna profesor Mędrzecki. Jego wiedza jest olbrzymia. Ale jednak tego typu skrót chyba jest nie do przyjęcia, bowiem niechcący powielany jest pewien polski stereotyp, jak i górnośląski metastereotyp. Zbieżność przerażająca. I na koniec. Praca Profesora jest cenna, i tylko to jedno zdanie...

W lipcu 2023 r. minie pięć lat od przyjęcia przez Sejm RP nowej ustawy Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce, wprowadzającej radykalne zmiany w funkcjonowaniu uczelni wyższych. Przez środowisko akademickie ustawa została nazwana „ustawą 2.0”, „reformą Gowina”, a także „deformą” i jest oceniana ambiwalentnie. Zwolennicy „reformy” podzielają opinię, że we współczesnym państwie uczelnie wyższe i nauka powinny być zarządzane centralnie, planowo, w systemie grantowym i powinny z sobą rywalizować na poziomie europejskim. Przeciwnicy „deformy” twierdzą, że zniszczyła ona tradycję polskich uczelni, ograniczyła demokrację zarządzania instytucjonalne-

go, przenosząc władzę w ręce nominatów, a pod pozorem samodzielności badawczej rozerwała więzi ludzkie. Dyskusja na ten temat wciąż trwa. Postanowiliśmy więc i my zadać wybitnym postaciom polskiej nauki (i regionu) pytanie, jak po pięciu latach oceniają Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Na ile ustawa określiła dobre, a na ile złe warunki badań i nauczania. Prosimy o podzielenie się opinią na temat stanu aktualnego Akademii (rozumianej całościowo jako szkolnictwo, nauka i środowisko), troski o jej przyszłość, a także o stan demokracji pionowej, rozumianej w kategoriach wspólnotowej obecności, którą ustawa radykalnie zawężyła.

Wolność, po co wam wolność?*

ADAM REGIEWICZ

„I have a dream...”. Piękne zdanie. Nie moje, ale piękne. Nośne. Chciałbym móc go użyć w kontekście wywołanej dyskusji, ale nie potrafię. Czuję, że byłaby to co najmniej niestosowność, jeśli nie zwyczajne hochsztaplerstwo. Bo powiedzieć, że dzisiaj w środowisku uniwersyteckim ktoś myśli jeszcze kategoriami ‘marzenia’ czy ‘wizji’ w takim rozumieniu, jak je ujmował Martin Luter King, jest zwykłym nadużyciem. Wręcz przeciwnie. Nie ma już całościowej wizji Uniwersytetu i nikt raczej nie rości sobie prawa do jej konstruowania. Jeśli w ogóle jako środowisko zajmujemy jakieś stanowisko, to zawsze w interesie swojego plemienia czy klasy, z perspektywy grupy czy dyscypliny. Co więcej, robimy to zazwyczaj zapaleni przez konkretne wydarzenia. Wystarczy iskra, aby wzniecić chwilowe oburzenie i równie szybko zgasnąć. Działamy jak łatwopalny materiał.

Plamy na słońcu... *

Niedawno takim zapalnikiem, który ponownie wzniecił dyskusje na temat wolności świata akademickiego, ale także roli i znaczenia uniwersytetu we współczesnym świecie, była wypowiedź ministra edukacji i nauki Przemysława Czarnka, zapowiadająca odebranie finansowania Instytutowi Socjologii i Filozofii PAN w związku z publikacją wyników badań prof. Barbary Engelking, kierowniczki Centrum Badań nad Zagładą Żydów, na temat postaw Polaków wobec polityki nazistowskiej w czasie okupacji. Środowisko akademickie zareagowało natychmiast i stanęło w obronie badaczki – nie tyle w obronie tezy, co samej idei nauki. We wspólnym stanowisku Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, Polskiej Akademii Nauk, Polskiej Akademii Umiejętności oraz Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego można wszak przeczytać następujący komentarz: „Odbieramy to jako działanie godzące w konstytucyjną wolność

słowa i wolność badań naukowych”. Przedstawiona powyżej konfrontacja wydaje się symptomatyczna dla dyskusji prowadzonej od wielu lat w świecie uniwersyteckim.

Na początku warto zwrócić uwagę na przestrzeń debaty, jeśli w ogóle można by użyć tego pojęcia w odniesieniu do zarysowanego konfliktu. Wypowiedź ministra pada w programie telewizyjnym, podczas rozmowy (TVP Info 24 kwietnia). Odpowiedź środowiska akademickiego ma o wiele poważniejszą formę, przybiera postać wspólnego stanowiska przedstawionego Ministerstwu Edukacji i Nauki. Reakcja środowiska wydaje się zatem niewspółmierna do sytuacji wypowiedzi medialnej: mamy oficjalne oświadczenie najważniejszych organów i instytucji akademickich wobec słów na antenie telewizyjnej. Za tym oświadczeniem idą kolejne wydarzenia: wypowiedzi rektorów, komentarze pracowników nauki, podpisy pod listem otwartym, o szumie medialnym nie wspominając.

Gdyby przyjrzeć się kilku ostatnim latom, z łatwością dostrzeżemy pewien powtarzający się mechanizm, przypominający reakcję łańcuchową. Żadne wydarzenie nie przechodzi bez echa, jednak wydaje się, że obecnie mamy do czynienia z reakcją zdecydowanie przesadzoną, niewspółmierną, która przypomina efekt bomby atomowej. Być może jest to efekt ukonstytuowanej od dwóch dekad komunikacji nowomediowej, w której uczestnik zapraszany jest do intensywnego przeżywania i komentowania rzeczywistości. A może jest to efekt rozpadu relacji, monadycznej struktury społecznej, w której komunikacja sprowadzona zostaje do wyrażania emocji, potrzeb i pragnień, a nie ukierunkowana w stronę „drugiego”? Niemniej, mikrowybuchy rządzą światem, także akademickim, o czym przekonują nas raz po raz organizowane protesty, pełne oburzenia petycje, wysuwane pod adresem organów decyzyjnych uwagi czy nawet oskarżenia.

Polityk zawsze będzie moim wrogiem*

Inną kwestią, zarysowanego powyżej sporu, jest wpisanie go w dyskurs polityczny. Wypowiedź ministra wyraźnie wskazuje na powinowactwo uprawianej nauki z interesami Polski. Mowa o szkodzeniu wizerunkowi i obrażaniu Polaków została odczytana jako element polityki historycznej skrzętnie realizowanej przez obecny obóz władzy. Warto zauważyć, że za wypowiedzią ministra nie kryje się zwykła ideologizacja nauki, ale pragnienie realizacji koncepcji uniwersytetu narodowego. Wywiedziony z XIX wiecznej tradycji niemieckiej projekt, uznawał służebność nauki wobec państwa i narodu. Uniwersytet narodowy jest w tej koncepcji ideologicznym przedłużeniem instytucji idei państwowości, zapleczem społecznym, kulturowym i politycznym. I nie da się ukryć, że w dobie zmian, które zaszły w cywilizacji, jest to model absolutnie nie do utrzymania, czego zdaje się nie zauważać środowisko (także poniekąd akademickie) reprezentowane przez obecną władzę. W wypowiedziach broniących tego projektu uniwersytetu narodowego raz po raz pobrzmiewa, wynikający z rozczarowania, lament nad utratą duchowej władzy nad rzeczywistością, nad społeczeństwem. I wydaje się, że powrót do takiego modelu akademickości jest niemożliwy.

Myliłby się jednak ten, kto twierdziłby, że w zarysowanym sporze granica dyskursu przebiega między tym, co polityczne a tym, co niepolityczne – profesjonalne, rzeczowe, obiektywne. Właśnie w ten sposób przedstawia się wypowiedź prof. Barbary Engelking. Bynajmniej nie mam zamiaru podważać rzetelności tych konstatacji, chodzi mi jedynie o samą zasadę. Głos środowisk akademickich stojących w obronie profesor Engelking jest w rzeczywistości opowiedzeniem się po stronie autonomii uniwersytetu zagrożonego ingerencją z zewnątrz. Taka postawa jest w gruncie rzeczy wyrazem koncepcji liberalnej. Michał Paweł

Markowski mówi o tej postawie jako strategii oporu wobec rzeczywistości. Postawa liberalna pragnie uwolnić się od tego, co nas otacza: polityki, techniki, ekonomii, utwierdzając przekonanie o moralnej wyższości wobec uwarunkowań społecznych. Nauka przede wszystkim. Czysta nauka, nic więcej.

Takiemu podejściu towarzyszy silne ukierunkowanie nauki na empirię. Kładzenie nacisku na empiryczność badań, nie zważających na kontekst, wydaje się wszak zaprzeczeniem ideologizacji. „Fakty statystyczne, a nie opinie, procedury, a nie treści. Jesteśmy na gruncie kumulatywnego modelu nauk empirycznych, których celem jest udowodnienie za pomocą grafów i tabel, że duch nie ma racji i pozostaje w tyle. Nauka zostaje tu wynajęta na świadka nieodwracalnego procesu, którego nieuwzględnienie jest głupotą, czy mówiąc po Kantowsku, niedojrzałością”. A jednak, jak dowodzi Markowski, jest dokładnie odwrotnie.

Kto dziś jest w stanie potwierdzić, że spisane sto, dwieście, czy pięćset lat temu kroniki wydarzeń przedstawiają fakty? Ma rację Hayden White, gdy mówi o narratywizacji historii, a gdy o tym mowa, to wchodzimy już na grunt literacki, zatem bliżej tu do publicystyki, polemiki, ideologii niż empirii. Może zatem statystyka? Liczby i tabele. Ale wystarczy przyjrzeć się ostatnim wynikom ewaluacji dyscyplin, żeby odkryć, że algorytmy nie są maszynami prawdy. Wszak można tak przedstawić dane, aby udowodnić nimi dowolną tezę. Zatem fizyka. I tu przychodzi mi z pomocą ostatnio wydana książka mojego Instytutowego kolegi, profesora Roberta Zawadzkiego: *Wprowadzenie do Traktatu o sferze Johna z Hollywood*. Prowadzony przez średniowiecznego uczonego opis kosmologiczny jest skrzętnie konstruowany w oparciu nie tyle o fakty, co świadomość danego czasu. Jeśli zatem dowodzi się umiejscowienia Ziemi w Układzie Słonecznym stosuje się wiedzę, którą akurat się dysponuje. Któż zatem zagwarantuje, że dzisiaj nie mamy do czynienia z czymś podobnym?

Nie mówiąc o pieniądzach, które w kontekście zarysowanego sporu: minister Czarnek – profesor Engelking, wydają się sprawą niebagatelną. W przestrzeni uniwersyteckiej dochodzi do bardzo ważnego, acz niepokojącego zjawiska synergii pod wpływem oddziaływania trzech sił: władzy, polityki i kapitału. Ten ostatni, będący znakiem turbokapitalizmu, staje się narzędziem działania o tyle niebezpiecznym, jak mówi Markowski, że pozostaje przezroczysty, niewidoczny. Zapowiedź ministra o odebraniu finansowania Instytutowi Socjologii i Filozofii PAN oburzyła środowisko, bo uczyniła pieniądź widocznym. Ujawniła jego nieograniczoną władzę. Do tej pory mechani-

zmy finansowania nauki, skrzętnie skrywane za decyzjami bezimiennymi i beztwarzowymi recenzentów piszących drugocenne opinie na temat projektów naukowych w ramach programów ministerialnych, wpisywały się w polityczną grę bez konieczności ujawniania odgórnych nacisków. Nie da się jednak zaprzeczyć, że taka polityka była i jest uprawiana nadal przez instytucje powołane, by nauce służyć. W ten sposób można w sposób nieograniczony i nieprzejrzysty sterować nauką, przyznając finansowanie na realizację projektów, których tematyka odpowiada profilowi politycznemu, zawsze powołując się na dobro nauki, nowoczesność czy zapropionowaną jakość badań.

Mój dom murem podzielony*

Wspomniany powyżej mariaż polityki, władzy i pieniędzy skutkuje, co dzisiaj w oczach środowisk liberalnych wydaje się największą bolączką, upartyjnieniem uniwersytetów. Pojęcie to rozumiem za Blumerem i Gurevitchem, którzy w odniesieniu do mediów przedstawiali wymiary powiązań między strukturami politycznymi a medialnymi. W ten sam sposób można by spojrzeć na relacje polityki i uniwersytetu. Podobnie jak media, tak też uniwersytet, co starałem się pokazać wyżej, nigdy nie jest neutralny politycznie, jednak odległość uniwersytetu od polityki decyduje o sposobie jego funkcjonowania. Można wszak, w kontekście upolitycznienia nauki, mówić o kontroli państwa (co raz po raz słyszymy w kontekście *Ustawy 2.0*), upartyjnieniu czyli stronniczości zarówno dydaktyki i prowadzonych badań, integracji środowisk akademickich z elitami politycznymi czy wreszcie o zaufaniu do samej instytucji uniwersytetu – jego legitymizacji.

Gdyby mówić o kontroli państwa, należałoby wskazać na cztery główne czynniki upolitycznienia uniwersytetu: ustawodawstwo, które jest zasadniczym narzędziem kontroli państwa, mianowanie personelu, kontrolę finansów i regulację treści. Z pierwszym punktem trudno dyskutować. Uczelnie poruszają się w ramach *Prawa o szkolnictwie wyższym i nauce* i jako instytucje publiczne muszą spełniać warunki określone w polskim prawie. Kolejne punkty są dyskusyjne. Z jednej strony uniwersytet posiada autonomię, w ramach której wybiera swoje władze (jakkolwiek by na to nie spojrzeć, to społeczność akademicka obiera Rektora), finansuje działania: dydaktykę, badania, popularyzację, działania środowiskowe itd.; decyduje o kształcie prowadzonej dydaktyki. Z drugiej jednak działania te są nieustannie kontrolowane w ramach dyscypliny finansowej instytucji publicznej czy przez Polską Komisję Akredytacyjną, które czasami przyjmują formę instrumentu politycznego.

W przypadku upartyjnienia uniwersytetów chodzi o relacje pomiędzy środowiskami akademickimi a partiami politycznymi. W tym kontekście można mówić o wyraźnej linii politycznej realizowanej czy to poprzez dydaktykę (włączanie lub wykluczanie pewnych zjawisk i tematów z dyskursu akademickiego) czy naukę (podejmowanie tematów badań z klucza ideologicznego), zaangażowanie członków konkretnych partii w działalność uniwersytetu i na rzecz środowiska akademickiego. Jeszcze inną formą upolitycznienia uniwersytetu jest rodzaj integracji przedstawicieli środowisk akademickich z politykami: chodzi tu zarówno o nieformalną bliskość stanowisk, polityczną sympatię, jak i wspieranie autorytetem naukowym wypowiedzi politycznych.

Nie trzeba dokonywać daleko idących analiz, aby zauważyć, że obecne środowisko akademickie jest wyraźnie podzielone. Granica wydaje się przebiegać nie tylko pomiędzy „kato-Polakami” i „fajno-Polakami”, konserwatystami i postępowcami, ale także między dwiema wymienionymi wcześniej wizjami uniwersytetu: narodowego i liberalnego. Z jednej strony wielu akademików przyjmuje postawę nihilistyczną, to znaczy nie angażuje się w nic poza pracą, ignorując to, co dzieje się poza murami uniwersytetu, skupiając się wyłącznie na pracy i to pracy badawczej, najlepiej laboratoryjnej. To zachowanie tych, którzy realizują model uniwersytetu posthistorycznego (menadżerskiego, korporacyjnego), skupionych na pracy, technice, badaniach. Oni wierzą w postęp, naukę, wyniki jako narzędzia usensownienia uniwersytetu. Z drugiej strony mamy ludzi pragnących zmian, wierzących, że to niesprawiedliwe uwarunkowania ustawodawcze, struktury są przyczyną problemów akademickości. W tej grupie mieszczą się wszyscy ci, którzy walczą o zmiany, wychodzą na ulice, by protestować, którzy wchodzą na barykady. To ideał rewolucyjny, który można by nazwać postmarksistowskim, gdzie realizuje się wywiedziona z ducha Hegla dialektyka. Ci zaś wierzą w działanie, w misję uniwersytetu, która polega na dydaktyce, nie na badaniach. Wszystkie te postawy są z gruntu wyrazem polityczności.

Czy wobec powyższego możliwe jest konstytuowanie instytucjonalnego wzorca akademickości? Czy nie lepiej byłoby budować przekonanie o uniwersytecie jako „wspólnocie wspólnot”, w których możemy „pięknie się różnić”, „robiąc swoje” – nie tyle „wbrew”, ile „pomiędzy”, w zgodzie z samym sobą? W tym upatruję naukowej wolności. ■

* Tytuł i śródtytuły zostały zaczerpnięte z tekstów Kazika Staszewskiego do piosenek zespołu Kult.

Adam Regiewicz – prof. dr hab., dyrektor Instytutu Literaturoznawstwa Uniwersytetu Jana Długosza w Częstochowie. Z wykształcenia filolog, z zamiłowania antropolog kultury. Naukowo zajmuje się badaniem zjawisk na pograniczu literaturoznawstwa i komparatystyki kulturowej, szczególnie interesują go: medievalizm, audioantropologia literatury, edukacja wobec zmian paradygmatu audiowizualnego oraz kerygmaticzność tekstów kultury (literatury, muzyki i filmu). Jest autorem ponad 100 publikacji (w tym 20 monografii), pomysłodawcą serii: „Głośnie pióra”, „Kulturowa historia odgłosów” oraz „Audiowizualne aspekty kultury w ponowoczesności”, współautorem podręczników do kształcenia literacko-językowego w szkole średniej „Sztuka wyrazu” (GWO). Ostatnio ukazał się jego *Słownik odgłosów somatycznych (na podstawie prozy polskiej po 1989 roku)*.

W stronę spotkania i wspólnoty

ALEKSANDRA SKRZYPIETZ

Na przełomie wieków zmagaliśmy się z napływem licznej rzeszy studentów; kto mógł, nadrabiał braki w wykształceniu. Aby temu podołać powstawały nowe uczelnie, mnożono liczbę grup, a ich rozmiar przerastał pojemność wielu sal. Nie znam nikogo z wykładowców, kto nie miał wówczas nadgodzin, a na studiach zaocznych (obecnie niestacjonarne) pracować trzeba było nieraz od rana do wieczora. Nie było łatwo i nawet dodatkowe wynagrodzenie nie rekompensowało ogromnego obciążenia, które się z tym łączyło. Nikogo nie zwalniano przy tym z obowiązków związanych z pracą naukową. Czas na napisanie doktoratu czy habilitacji był wtedy dłuższy, ale pracy naukowej nie da się realizować w wolnej chwili, przy okazji.

Potrzeby tamtych studentów były zrozumiałe, ich pęd do wiedzy, wynikający z przekonania, że studia przyniosą im lepszą pracę lub utrzymanie dotychczasowej, większe pieniądze, dobre samopoczucie, pogłębią ich wiedzę, podwyższą samoocenę (każdy z nich miał własną motywację). Jednak czekaliśmy na chwilę, gdy to się skończy i wróci edukacja będąca spotkaniem studenta i wykładowcy, ich rozmową twarzą w twarz lub wspólnym pochyleniem się nad książką, dokumentem, probówką, stołem laboratoryjnym itd., bo edukacja jest zawsze spotkaniem: dwóch głów, dwóch dusz skoncentrowanych na jednym problemie badawczym.

Później nadeszły czasy, gdy szeregi studentów przerezedziły się. Jednak zła praktyka tworzenia licznych grup pozostała. Pojawił się bowiem w szkolnictwie nowy, a zaskakujący element: rachunek ekonomiczny i opłacalność, należało zatem „upchać” jak najwięcej studentów w grupie. Wydaje się, że ktoś zapomniał, iż edukacja nie ma przynosić zysku, jest natomiast inwestycją, inwestycją w przyszłość. W ten sposób umknęła okazja, by uniwersytet i studia przywrócić do dawnego stanu: bliskiego, bezpośredniego kontaktu studenta i naukowca, gdzie tworzy się relacja sprzyjająca wymianie myśli, w ciszy gabinetu lub laboratorium. Dawniej studia były elitarne, co umożliwiało taką łączność. Dzisiaj, gdy są powszechnie dostępne (wspañiale) można, a nawet należy stworzyć odpowiednie warunki, by takiego spo-

tkania doszło, a przynajmniej w tym nie przeszkadzać.

Obecnie studentów jest znacząco mniej. Większość z nich rozpoczyna studia bezpośrednio po maturze lub niewiele później. Jednak nie wszyscy rozpoczynający studia kończą je. Przyczyną bywają poszukiwania, które część z nich prowadzi, zmieniając kierunki studiów. Rozpoczynają jeden kierunek i okazuje się, że „nie o to chodziło”, zapisują się więc na inny – jeżeli i tam są niezadowoleni, szukają dalej. Dzieje się tak dlatego, że do przyjęcia na studia upoważniona matura, a zatem dopiero bezpośrednie spotkanie z konkretną dyscypliną uświadamia młodym ludziom, że to, czego zasmakowali w szkole, nie odpowiada temu, czego trzeba będzie uczyć się na studiach. Wielu adeptów wiedzy porzuca więc studia w ciągu pierwszego semestru, nie przystępując nawet do egzaminów. Potem składają dokumenty na inny kierunek/uczelnię w nadziei, że odnajdą tam swą pasję (a może mniejsze wymagania). Odejście z uczelni lub zmiana kierunku zwykle nie są spowodowane niezadowolaniem z pracy wykładowców i sposobu prowadzenia ćwiczeń/wykładów, lecz rozczarowaniem dyscypliną lub samym studiowaniem, które – jak się okazuje – nie jest powtórką ze szkoły.

Powyższa konstatacja nie oznacza jednak, że zajęć na uczelni nie trzeba czynić ciekawszymi, a pracy ze studentami bardziej efektywną. Tu pojawia się także pytanie, co może kusić studenta, by studiów nie porzucił? Z pewnością nie mogą go nęcić zajęcia masowe, z poczuciem wyobcowania i anonimowości, które im nieuchronnie towarzyszą. Co prawda wykłady zwykle prowadzone są dla większych grup, ale już sama forma, w jakiej się odbywają (spotkanie bezpośrednie lub online) może decydować o ich atrakcyjności (warto dodać, że właśnie wykłady cieszą się zwykle najmniejszym zainteresowaniem, choć nie zdarza się, by sala była pusta, zawsze obecni się ci najbardziej zainteresowani przedmiotem). W czasie pandemii to właśnie połączenie poprzez Internet umożliwiało ciągłość nauki i pracy, dawało namiastkę spotkania, które było niezwykle potrzebne, a zabronione. Jednak to, co było le-

kiem na kłopoty, w których się znaleźliśmy, nie może stawać się ofertą codzienną. Była ona związana z chorobą i jest niezdrowa, a choć bywa wygodna, to niesie z sobą zagrożenia: kiedy zapagniemy na stałe zamknąć się w domach (i stosownie ubierać się jedynie od pasa w górę)? Zatem pojawiające się obecnie propozycje, by uatrakcyjnić zajęcia i prowadzić wykłady online dla licznej grupy studentów wydają się zupełną pomyłką. Jeżeli można ratować wspólnotę i relacje międzyludzkie, to poprzez spotkania bezpośrednie w możliwie najmniejszych grupach. W czasach powszechnych skarg na samotność i wyobcowanie jednostki, to właśnie w takiej formule zajęć student (a może i wykładowca) może poczuć się częścią grupy. Młodzież (przynajmniej jej część, bo nie wszyscy utracili głód wiedzy i relacji) nadal szuka „nauczyciela i mistrza”, zatem kontakt z wybranym wykładowcą byłby nadzieją, że student odnajdzie pasję, a może się nią „zarazi”, że zrealizuje swoje zainteresowania, że wiedza i umiejętności zdobyte w takim spotkaniu (może kontynuowanym przez kilka lat studiów) będą lepiej utrwalone.

Powinny to być zajęcia fakultatywne i tutorskie (zatem z możliwością szerokiego wyboru tematyki i prowadzącego), a ich szczegółowe treści mogłyby się rodzić w ramach konsultacji ze studentami (rzecz jasna w oparciu o tematykę realizowaną przez wykładowców w ramach ich najszerzej rozumianych badań). Pomysły, że zajęcia ogólne przyciągną studentów, a ci z fizyki zechcą posłuchać historyków, zaś ci z polonistyki otworzą się na chemię są chybotne i studenci postrzegają je jako strątę czasu. Już w szkole poznali różnice między poszczególnymi przedmiotami (dyscyplinami), większość z nich nie chce powtórek z tamtych lat, nawet jeżeli mogliby przy okazji usłyszeć coś nowego. Może raczej należałoby przypomnieć studentom, że jako wolni słuchacze mogą pojawić się na innych niż te zawarte w harmonogramie wykładach, w tym także na innych kierunkach, wydziałach. Będą mieli wówczas okazję posłuchać zupełnie innych tematów, spotkać wykładowców z innych dziedzin; przecież dawniej taka możliwość istniała i nic nie stoi na przeszkodzie, by i dzisiaj studenci realizowali swo-

je zainteresowania niezwiązane z dyscypliną, którą studiują, by dobrowolnie poszerzali swoją wiedzę. Próba sugerowania, że sami sobie nie poradzą, więc należy nakazać im obowiązkowe uczestnictwo w takich zajęciach, obraża ich inteligencję i podważa ich umiejętności szukania wiedzy.

Pojawia się czy raczej towarzyszy nam pytanie, jak pracować ze studentem, by uczelnię opuszczali ludzie coraz lepiej wykształceni. W czasach łatwego dostępu do informacji z pewnością nie trzeba wymagać od studenta szczegółowych faktów i formułek czy definicji. Muszą jednak zostać wyposażeni w solidne umiejętności radzenia sobie z poszukiwaniem wiedzy (nie tylko informacji), krytycznego myślenia, zdolności oceny tego, co jest możliwe i prawdopodobne, ustalania tego, kto może być (jest) autorytetem. Powinni umieć zadawać pytania i radzić sobie z poszukiwaniem odpowiedzi na nie, ze świadomością, że jest to trudne, a nawet nie zawsze możliwe, ponieważ cechą człowieka myślącego jest zawsze wątpić i wiecznie szukać. To jest postawa, którą mamy im przekazać, pokazując jak szukać wiedzy, a tego w przedmiotowych salach wykładowych nie da się zrobić. Wymaga to bezpośredniego kontaktu, sformułowania pytania, pochylenia się nad konkretnym materiałem, pracy w oparciu o sprecyzowany problem stanowiący przykład (może nawet nie jeden). Uniwersytet nie jest bowiem szkołą, tu się studiuje, czyli zdobywa wiedzę i umiejętności pod kierunkiem mistrza.

Zasady, na których spotykamy się ze studentami, formy pracy z nimi, to oczywiście jeden z elementów pracy uniwersytetu. Niezmiernie ważny jest także inny aspekt działania uczelni: poszerzanie wiedzy i umiejętności wykładowców, a służyć temu powinno także poczucie, że reguły w oparciu, o które działamy są jasne. Tymczasem od pięciu lat naszym zadaniem nie jest rozwój nauki, ale zapełnianie „dziur” (slotów). Nie chodzi więc o solidne badania, ale znalezienie sposobu, by wypełnić „sloty”, co kończy się często „kombinowaniem”, który temat okaże się lepszym materiałem do opublikowania, nie lepiej napisanym, lepiej przebadanym, lepiej udokumentowanym, lepiej przemysłanym. Nauka jest jak materia, którą tka-

my; jedni uzyskują solidną, doskonałą jednolitą tkaninę, inni tworzą wspinała różnokolorowe gobeliny, jeszcze inni – interesującą szachownicę pól. Jednak ci, którzy nie rozumieją istoty nauki, każą nam cerować, uzupełniać dziury w tkaninie, która nie istnieje, jak „nowe szaty cesarza”. W nowym systemie bezcelowe okazuje się też poświęcanie czasu na badania ważne, ciekawe, ale niszowe, gdyż nie znajdziemy tych, którzy zechcą nas cytować, ponieważ ich praca jest tematycznie odległa od naszej. Jednak cytowania są niezmiernie ważne, zatem zakłada się spółdzielnie (ja cytuję ciebie, a ty mnie), co jest kpina z nauki i etyki. Jednocześnie podejmowane są starania, by rozbić środowisko naukowe. Organizacja konferencji i uczestnictwo w nich nie przynoszą wymaganych przy ocenie naszej pracy punktów, podobnie jak publikacje pokonferencyjne, gdyż ktoś z góry założył, że nie będą wiele warte. W związku z tym ogranicza się okazje do spotkań naukowców, wymiany myśli, która temu towarzyszyła i uwag, które w czasie tych spotkań padały, przynosząc refleksję nad omawianymi tematami. Na konferencjach młodzi mogli posłuchać starszych, a ci obserwowali, jak poszerza swoje kompetencje młodsze pokolenie. Te spotkania były okazją do przedstawiania planów, stawiania pytań i wątpliwości, bez nich możemy jedynie prezentować/poznawać treści już wydrukowane, więc na swój sposób skończone.

Nauka rodzi się w oparciu o nieustanne recenzowanie, oceny, uwagi, którym poddawana jest nasza praca; bywa to bolesne, ale jest też twórcze. Rozwój drogi naukowej i sama praca możliwe są jedynie poprzez poddanie się ocenie (bywa, że kąśliwej). W związku z tym trzeba starać się bardziej, pokonywać własne ograniczenia, wykazać się wytrzymałością na krytykę i umieć się jej poddać, przemysleć uwagi recenzentów. Tymczasem po „reformie” na uczelniach pojawiła się grupa ludzi, którzy nauką niemal w ogóle się nie zajmują. Realizują obowiązki dydaktyczne, administracyjne, zaś naukowe w stopniu bardzo ograniczonym. Wielu z nich za działalność nagradza się stanowiskiem profesora uczelni. Nadaje się je bez wiedzy, a tym bardziej akceptacji środowiska. Niezglobione są bowiem kręte ścieżki

prowadzące do tych „awansów”. Widzimy, jak odmawia się stanowiska profesora uczelni pracownikowi, który uzyskał habilitację zatem najwyższy stopień naukowy, ale dostają je doktorzy, którzy od dawna niczego nie opublikowali, to znaczy nie wykazują oznak działalności naukowej i po tej ciernistej, ale twórczej drodze nie kroczą. Dawniej nadzór nad drogą awansu sprawowały Rady Wydziału, będące przedstawicielstwem wspólnoty i sprawujące kolegiąlną odpowiedzialność za stan nauki na poszczególnych wydziałach. Teraz Rady zlikwidowano, a o wspólnotcie i kolegiąlności, nie tylko w wymiarze współpracy, ale i odpowiedzialności, każe się nam zapomnieć, decyzje zaś zapadają w tajemniczych, nieprzeniknionych kuluarach, zaś odpowiedzialność za te decyzje rozmywa się i ginie w otchłani rozrastającej się administracji.

Należy zatem umożliwić spotkanie wykładowcy ze studentem, by pomóc studentom rozwijać ich pasje (wielu je ma), budzić ich uśpione umysły (wielu na to czeka), pozwolić im na ich własne błędy i pokazać, jak można je korygować (zwykle się da). Nie zrywać z wypróbowanymi metodami kształcenia, które przynosiły wymierne efekty. Nie sugerować, że lekiem na wszystkie problemy są innowacje, zwłaszcza te zaczerpnięte z cudzych doświadczeń, choć gdzie indziej już odkłada się je do lamusa. Powszechnie dostępna edukacja na poziomie uniwersyteckim powinna sięgać do doświadczeń wypracowanych i sprawdzonych, które można odświeżać, zamiast wywracać cały system. Należy mocniej skoncentrować się na pracy z najbardziej zaangażowanymi studentami, nie odbierając szans wszystkim innym. Rachunek ekonomiczny nie może decydować o kształccie uniwersytetu, a idei zmian w jego funkcjonowaniu nie powinni przedstawiać (wprowadzać w życie) ludzie niezwiązani z nauką, nie prowadzący samodzielnych badań i bez kontaktu ze studentami. Pięć lat funkcjonowania „reformy” obnażyło jej błędy. Czas więc przywrócić naukowcom prawo do współuczestniczenia w codzienności uczelni, nie jako pracownikom zobowiązanym do wypełniania określonych zadań, ale jako ogniom wspólnoty, którą uniwersytet od początku swego istnienia miał być. ■

Aleksandra Skrzypietz – prof. dr hab., profesor w Instytucie Historii Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. W kręgu jej zainteresowań badawczych znajdują się stosunki polsko-francuskie w XVII i XVIII w., funkcjonowanie dworu królewskiego w epoce nowożytnej, dzieje i znaczenie polityczne rodu Sobieskich, wpływ edukacji na kształtowanie postaw politycznych i obywatelskich oraz rola kobiet w przemianach społeczno-politycznych. Jest autorką książek: *Francuskie zabiegi o koronę polską po śmierci Jana III Sobieskiego* (2009), *Królewscy synowie – Jakub, Aleksander i Konstanty Sobiescy* (2011), *Rozkwit i upadek rodu Sobieskich* (2014), *Jakub Sobieski* (2015), *Królowa Margot. Ostatnia perła Wależjuszów* (2016), *Franciszek Ludwik de Bourbon, książę de Conti – „obрани król Polski”. Saga rodu Konduszów* (2019).

Fenomen przetrwania.

O debiucie poetyckim Kazimierza Gołby

JAN MALICKI

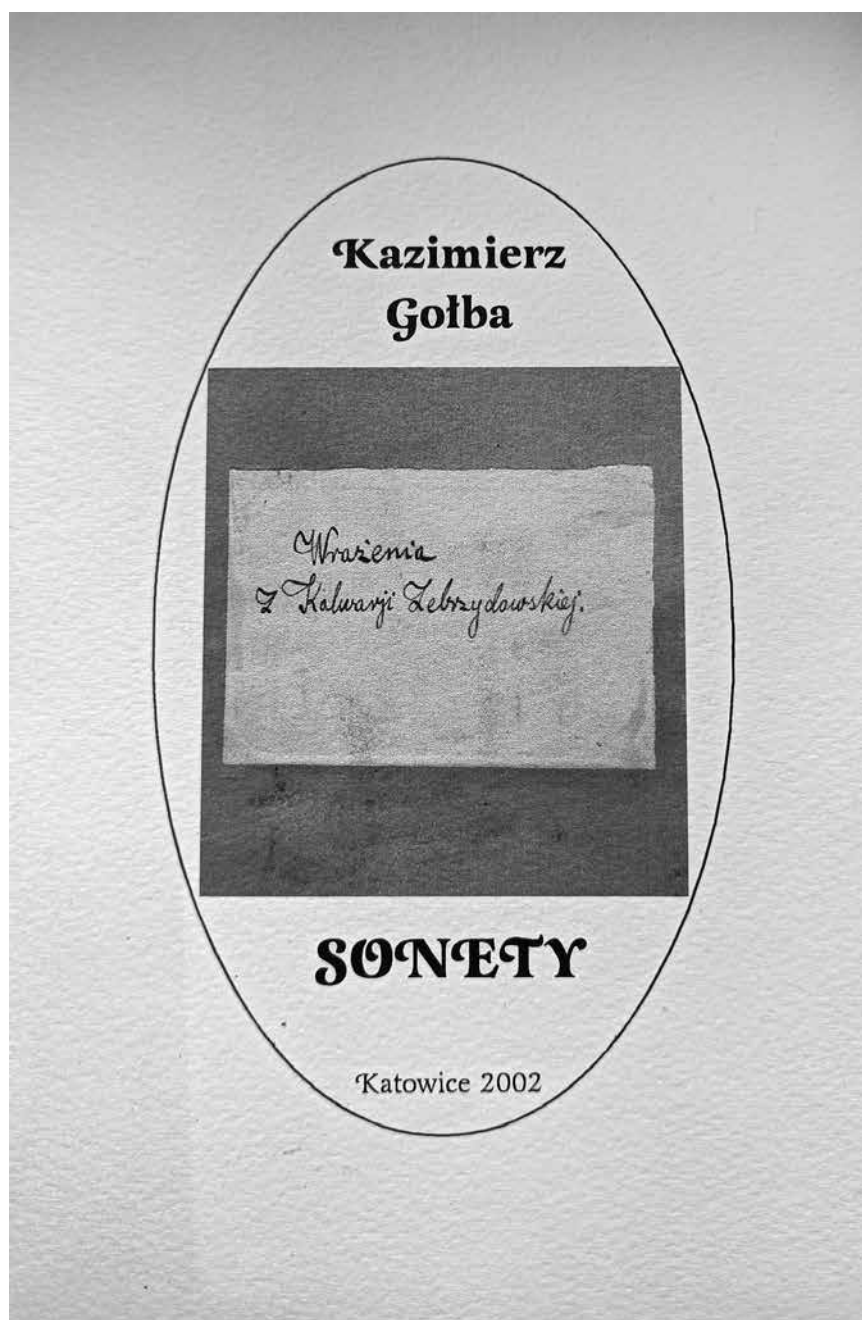
Tym razem nie będzie o „Wieży spadochronowej”, choć przyznać to muszę, nieodłącznie wiąże się ona z nazwiskiem – ba, staje się znakiem rozpoznawczym po trosze zapomnianego – twórcy. Przywołuję natomiast jego debiut pisarski oraz fenomen przetrwania małego, cieniutkiego kajeci-

ka w grubą linię, podobnego do tych, które są doskonale znane i stosowane przez pokolenia uczniów do dziś. Zeszytu, zapisanego starannie kaligrafiowanym duktem pisma, z wyrazistą manierą graficzną, polegającą na stylizacji inicjałów na modłę dawnego rękopisu, choć znacznie uproszczonego i zu-

bożonego. Czytam: „Kazimierz Gołba: Wrażenia z Kalwarji Zebrzydowskiej (sonety)”. A na stronie ostatniej: „Piisałem podczas tygodniowego pobytu w Kalwarji Zebrzydowskiej od dnia 11 do 17 czerwca 1922 roku”.

Dla Kazimierza Gołby był to czas niezwykle ważny. Z jednej strony zamykający egzaminem maturalnym okres edukacji podstawowej, z drugiej – czas kontemplacji odświeżającej i pytań „co dalej?”; wyboru drogi życia na całą długą i niemożliwą do powtórzenia przyszłość. Miał wszak ledwie 18 lat. Ton rozważań antropologicznych autora: o człowieku – Ja; naturze – Ty; i „Wiecznej Myśli, która jest od wieka”, wyraźnie podkreśla ów rozliczeniowy charakter wypowiedzi. Oczyszczająca a zarazem budująca. Osobisty i uniwersalny. To mnie nie zaskoczyło. To konsekwencja wyboru gatunku – właśnie sonetu o utrwalonej od stuleci konstrukcji w odmianie włoskiej lub francuskiej. A tak na marginesie. Aż prosi się, by odtworzyć śląskie dzieje sonetu od czasów baroku po Tadeusza Kijonkę, ostatniego pasjonata tego gatunku.

Jednak nie tylko przedmiot genologiczny jest tu istotny, ale i cały zbiór Gołbowych asocjacji, budowanych na zasadzie centonu, a jednak o w pełni oryginalnej konstrukcji, jak w sonecie V „Na Żarku. B.”, w którym dopatrzmy się i Mickiewiczowskiego „Pani pana zabiła, bo był już niemłody” (dopowie poeta), i tropów z „Balladyny”, i lokalnych opowieści ludowych, i Leśmianowskich fraz. Taka kumulacja skojarzeń, to pogłos szaleństwa szkolnej erudycji, ale i rodzaj gry z czytelnikiem. Wcale nie zaskakującej. Wszak niedawny absolwent krakowskiego Gimnazjum św. Jacka, chlubiącego się zresztą znakomitymi postaciami, takimi jak: Feliks Koneczny, Lucjan Rydel i Rafał Malczewski, był do tego rodzaju poczyną odpowiednio przygotowany. Nie znamy nauczyciela, który uczył go polskiego. Ale przypuszczamy, że literaturę poznawał z kart niezwykle popularnego w środowisku krakowskim podręcznika prof. Ignacego Chrzanowskiego „Historia literatury niepodległej Polski (965–



XIV.

Posęgnanie

Przyrodo umajona, w stu szarach rakleta,
Ktorej serce zdrudzone uderza tętniące,
Ktorej świeci poranne, rzą zmute stonice,
Segnaj mi ty, o segnaj, rorkornd a swieta!

Tys rorkuta maż dusej, ktoraż qniatly pęta
Fatsru, blichtru i study, tys zdrubrita łspiaje
Jasni mojej potęgi, do latu się rwaje.
Myśl wulka, Myśl ogromna jest dziś w niej pocęta.

Łar się we mnie rorkalit tyriacem ptomieni,
Serce ogniem potężnej mitosci goręci,
Jako wulkan wyruchta i jak wulkan graje.

Btykaszice w mych oczach, lico się rumieni,
Mor się we mnie pocęta, r Morz - Myśl szczęśliwa.
Uerucie obrozynieje, nisie mnie, porywa...

1795)”; być może z wydania siódmego lub ósmego z 1920 roku. Po latach prof. Jan Zygmunt Jakubowski tak pisał: „To pierwsze i serdeczne spotkanie z wielką tradycją literatury staropolskiej, pierwsze i nigdy niezapomniane olśnienie jej bogactwem, pięknem i mądrością. Uczyłem się z tej książki w gimnazjum. Była ona długo moim najwierniejszym przewodnikiem po drogach wielowiekowego rozwoju literatury narodowej. Moim? Myślę, że to nie tylko osobiste doświadczenie. Było ono udziałem wielu”. Szczególnie inspirujące dla młodego adepta ars poetica mogły być rozważania o sonetach Mikołaja Sępa-Szarzyńskiego, choć i analiza twórczości Jana Kochanowskiego, również. Ale sam Ignacy Chrzanowski, profesor honorowy UJ, nie zajmował się wyłącznie

kulturą staropolską; był też znawcą romantyzmu. I to wybitnym. Stąd naturalne skojarzenia dokonań młodego poety z Mickiewiczowskimi sonetami.

Ale jego tygodniowy pobyt w Kalwarii Zebrzydowskiej między 11 a 17 czerwca 1922 roku miał też inny jeszcze wymiar. Szerszy, ponadindywidualny, ponadlokalny. W dzień po wyjeździe młodego Kazimierza z Kalwarii do Krakowa, na nieodległym Śląsku zaczęły się dziać wydarzenia, które odcisną pośrednio swoje piętno także i na jego losie. To moment, kiedy tereny plebiscytowe opuszczają oddziały policji i wojsk międzysojusznicznych. Trzy dni później, na most łączący Kongresówkę ze Śląskiem wjedzie gen. Szeptycki, przejmując tę ziemię w imieniu Rzeczypospolitej. Terenów szczególnie ważnych

również dla biografii pisarza – Szopienic i Katowic. On sam zresztą później powtórzy tę drogę już jako pedagog. Jednak nie znamy jego reakcji na te wydarzenia. W kilka miesięcy potem młody pan Kazimierz rozpocznie studia historyczne w Uniwersytecie Jagiellońskim, które ukończy w 1927 roku, przedstawiając rozprawę doktorską zatytułowaną „Aleksander I wobec sprawy polskiej na Kongresie Wiedeńskim 1814–1815”. Rok wcześniej jednak, w roku 1926, Kazimierz Gołba osiadł na stałe w Katowicach, podejmując pracę nauczyciela. Początkowo w komunalnym gimnazjum w Szopienicach, później zaś w katowickim gimnazjum państwowym, w którym zresztą chciał też pracować wiele lat później Jan Zaremba, przyjaciel po piórze, a w przyszłości twórca śląskiej polonistyki. Niedługo, bo już w 1937 roku, w wieku 33 lat, Gołba przeniesiony został na emeryturę, jak wielu innych śląskich nauczycieli, którym bliższe były idee Wojciecha Korfantego niż Michała Grażyńskiego.

Pobyt w Kalwarii Zebrzydowskiej odciśnie jednak swoiste piętno na życiu Kazimierza Gołby. W tymże bowiem roku 1922, kiedy spisuje swoje „Wrażenia”, publikuje też w „Głosie Narodu” swój pierwszy drukowany tekst, w dwa lata później – na łamach „Gońca Akademickiego” – kolejny. Odtąd stale pojawiać się będą w prasie jego utwory. W „Gońcu Krakowskim” ogłasza swoją pierwszą powieść „Szlakiem honoru”, w 1930 – tom wierszy „Salwa nad brukiem”, a w 1932 – powieść historyczną „W cieniu wielkiej legendy”. Coraz częściej też sięga po tematykę lokalną. Tak powstają sztuki: „Rekruci”, wystawiane w Warszawie, Poznaniu, Sosnowcu; „Legenda o św. Jacku”, „Lompa” oraz powieści: „Młodzieżowcy” i „Dusze w maskach”.

A co z rękopiśmiennym tekstem „Wrażen z Kalwarii Zebrzydowskiej”? Na szczęście rękopis przetrwał. Wędrował wraz z autorem przez Kraków do Katowic. Nie uległ unicestwieniu podczas rewizji w domu pisarza przeprowadzanej przez gestapo i UB. Zachował się. I wraz z całym archiwum Kazimierza Gołby znalazł swoje miejsce w zbiorach Biblioteki Śląskiej. Z ogromną wdzięcznością przejmowałem całą zachowaną twórczość z rąk Rodziny. Nic dziwnego, że w roku jubileusza 80-lecia właśnie sonety zostały opublikowane, a na prośbę dzieci pisarza Marii Gołby-Świder i Bolesława Musiałkiewicza, zadedykowane Janowi Pawłowi II. ■



Pejzaż niewzruszony

WOJCIECH LIPOWSKI

Spotkali się, chociaż nie było to oczywiste i nikt nie przypuszczał, że nastąpi. Obaj zranieni przez życie, odmienieni przez doświadczenia, egzystencjalne gry trudnościami, niepewność, lęk o przyszłość, paradoksalność sytuacji, w której rzeczy dostępne rozumieniu wymykają mu się jednak i pozostaje tropienie tajemnic, jakich pełno w życiu, ale odsłonić je czasem nie sposób. Mieczysław Wojnicz i Hans Castorp, jeden z kart powieści Olgi Tokarczuk *Empuzjon*, drugi *Czarodziejskiej Góry* Tomasza Manna. Przejmujące spotkanie, właściwie samo w sobie mogłoby stanowić temat utworu literackiego, gdyby ktoś zdecydował się taki napisać. Wojnicz opatrzył rany Hansa, bowiem jak wiadomo, wybuchła wojna, zaś oni zanurzeni w rozterkach myśli nieoczekiwanie odkryli, że łączy ich choroba i pobyt w sanatoriach, a także kulminacja rozwoju wewnętrznego, chociaż odbywająca się w różnych geograficznie miejscach: legendarnym dolnośląskim uzdrowisku Görbersdorf i sanatorium Berghof. Panowie przebudzeni ze snu, wytrąceni z biegu osobnych zdarzeń zetknęli się w punkcie, gdzie ciało przestaje być tylko przedmiotem terapii a ważny staje się duch. Zdawało się, że ci emisariusze przeciwieństw, wpatrzni w nierzęczywisty, niepokojący krajobraz, pojawili się już tylko po to, aby zamknąć ostatecznie ciąg myślowo-estetyczny spraw, o których powiemy, zapadających tak głęboko w pamięć, że od nich zaczęliśmy. Ta wyjątkowa i przejmująca scena zamyka bowiem teatralną adaptację pierwszej po

Noblu powieści Tokarczuk, jakiej dokonali na koniec sezonu Robert Talarczyk i Miłosz Markiewicz. Spektakl jest koprodukcją Teatru Śląskiego, warszawskiego Studio oraz wrocławskiego Instytutu im. Jerzego Grotowskiego.

Powiedzieć, że *Empuzjon* w teatrze jest historią podszytą grozą czerpiącą garściami z niewyczerpanych sił przyrody, gdzie drzemią pierwiastki żeńskie, to właściwie nic nie powiedzieć. W końcu to horror i w dodatku przyrodoleczniczy, ale to nie jest najważniejsze. Autorzy spektaklu postawili raczej na możliwość opowiedzenia historii Mieczysława Wojnicza, katolika, studenta Politechniki Lwowskiej, w nieco innym wymiarze, wprowadzając nastrój tajemnicy, grozy, niepewności do ciągu z pozoru chaotycznych zdarzeń przedstawionych niejako w dwóch płaszczyznach narracyjnych: jednej odnoszącej się do niedawnej przeszłości bohatera i drugiej, ważniejszej, pobytu w uzdrowisku, gdzie jesteśmy świadkami spraw dziwnych, niewyjaśnionych, czasem wykraczających poza realne ramy w stronę baśni, niepokojącego biologizmu, zanurzonych w dziwnej poświacie sączącej się między drzewami, które okalają Pensjonat dla Panów, gdzie zamieszkuje kuracjusze.

Talarczyk posklejał to dziwne męskie towarzystwo z przeróżnych przypadłości, w których nie do końca orientują się sami zainteresowani. Przypadłością nie jest tylko choroba, ale wszechobecna podejrzliwość, lęk, obcość. W zasa-

dzie od początku twórcy spektaklu zdają się wzbudzać wrażenie, że wszyscy są tu obserwowani i podglądani, co wywołuje niepokój, trzeba dodać, że także u widzów w teatrze, szczególnie pod wpływem zmieniającego się pejzażu za wielkimi oknami sanatorium, niby pulsującego życiem, a jakby przypominającego obumieranie, biologiczny koniec każdej jednostki. Być może przekonanie, że każdy skończy tutaj w podobny sposób, wzmacniane grzybową nalewką wywołującą halucynacje sprawia, że akcja płynnie przechodzi od empirycznej rzeczywistości w stronę oniryczną, gdzie nawet samobójstwo Klary żony gospodarza, jej nieustanne powroty z zaświatów, nie wywołują zdziwienia a wspomniany horror nie wybrzmiewa należycie.

Przysposobienie obszernego tekstu powieści dla potrzeb sceny wymagało sporego wysiłku i pomysłowości. Rzecz jasna, otrzymujemy wybór wątków, zdarzeń, można powiedzieć kluczowych dla tego utworu, sprawą otwartą i dyskusyjną pozostaje kwestia konstrukcji ciągu zdarzeń. Nie jest to adaptacja równa i spójna, ale chyba taką być nie mogła zważywszy na charakter materiału, bardziej filmowy w tym wypadku niż teatralny. Kłopot narratora borykającego się z możliwym przedstawieniem poszczególnych postaci, zdarzeń polega na trudności pokazania na scenie konkretnej powieściowej rzeczywistości z wykorzystaniem aluzji do tego, co można o niej pomyśleć, a co skutecznie wymyka się przedstawieniu. Trudno jednak czynić z tego zarzut, chodzi bardziej o próbę odpowiedzi na pytanie, czy autorom udało się zbliżyć do zrozumienia tego, co się właściwie wydarzyło na kartach powieści.

Mamy zatem montaż scen o różnym charakterze i dynamice. Główny bohater oraz mieszkający w pensjonacie pozostali kuracjusze, przedziwnie ubrani w kombinację garniturów i pidżam, prowadzą eseistyczne pogawędki, przerywane spacerami, zakrapianymi wieczorkami, czasem drobnymi awanturami. Wszystko na granicy powagi i szaleństwa. Rozmawia się tu o nieobecnych kobietach, „beziemiennych mieszkańcach ścian, podłóg i stropów”, dziwnych niewyjaśnionych listopadowych zabójstwach, leczeniu, czasem tańczy się w konwulsyjnych pozach, czy toczy dysputy niczym z powieści grozy o zdiwaczałym właścicielu pensjonatu Opitzu i jego zmarłej żonie. Wątków



jest wiele, ale nadrzędny stanowi prezentacja poglądów mężczyzn na temat kobiet układająca się w coś na kształt antykobiecego dyskursu, aczkolwiek można powiedzieć, że istotną dominantą spektaklu jest w ogóle rozprawa o wszelkich kolorach odmienności, dziwactwa, ludzkiej nieoczywistości.

Wspomniano o nawiązaniach do twórczości Manna, wydaje się równie uprawnione stwierdzenie, że w spektaklu Roberta Talarczykach pobrzmiewają także inne tropy, jednym z nich jest odwołanie do Schulza. Powracające wspomnienia lwowskiego domu głównego bohatera, jego relacji z ojcem i dumną prowincją, oniryczne, plastyczne sceny wkomponowane w ciąg epizodów są jakby żywcem przeniesione ze świata jego opowiadań. Z innych kontekstów wspomnijmy Arystofanesa i jego *Żaby*, gdzie swój żywot rozpoczynają tytułowe empuzy, czyli zmiennokształtne kobiece demony. Odniesień jest znacznie więcej i to stanowi dużą wartość spektaklu dla widzów dociekliwych, otwartych na konfrontację intelektualną z teatralną adaptacją powieści. Dodajmy, że bardzo aktualnym tematem wpisanym w narrację całości jest problem płynności płci, czego przykładem Mieczysław Wojnicz, postać binarnie nieoczywista, mężczyzna, który gra męskością wykorzystując strategię udawania na użytek publiczny. Szczególnie ciekawa jest w tym kontekście relacja głównego bohatera z innym pensjonariuszem Thilo studentem z Berlina znawcą krajobrazu. Ich rozmowy i spotkania odgrywają w biografii duchowej Wojnowicza niebagatelną rolę.

Towarzystwo wypełniające zdeformowaną, tajemniczą przestrzeń sanatorium to postaci zbuntowane przeciw obowiązującym normom, dogmatom, dokonujące nieustannej transformacji oraz redefinicji pojęć o człowieku i świecie. Aktorzy nie mieli łatwego zadania, aby w sposób wiarygodny, przekonujący, ciekawy dla widza pokazać istotę osobowości poszczególnych mieszkańców Pensjonatu dla Panów. I tak: Opitz, właściciel pensjonatu, nieprzenikniony, marmurowy, chwilami zabawny, nieco pogubiony w życiu takim pokazał go udanie Marcin Gaweł; jego młody pomocnik Rajmund Jakuba Freta wprowadził humor i lekkość do ciężkiej atmosfery tego domostwa na dodatek ze śląskim akcentem; Michał Piotrowski interpretujący Wojnicza pokazał bardzo przekonująco jak można w życiu udawać i grać, balansując pomiędzy prawdą i pozą, kruchością fizyczną i duchową w imię odwagi oraz godności; trzeba docenić Mateusza Znanickiego w popisowej roli kobiecej Klary, najpierw żywej później zmarłej, w której przejrzały się przejmując losy wszystkich kobiet tu nieobecnych przygniecionych cierpieniem i obojętnością świata, była w tym tytułowa empuza, oskarżenie, bunt, zemsta, ale też akcenty parodystyczne wy-



grane doskonale; Wiesław Sławik w roli doktora oddał doświadczenie oraz dystans do ludzi i świata; Krzysztof Strużycyki zwrócił uwagę jako pogubiony August z nieodłącznym melonikiem i laseczką; w końcu chodząca wrażliwość, wysmakowany pejzażysta, smutny wędrowiec egzystencjalnych rozterek Thilo czekający już tylko na śmierć przejmująco wygrany przez Mateusza Smolińskiego: i jeszcze ciekawa postać nieco szalonego teozofa i tajnego radcy Waltera w ujęciu Dariusza Maja; na koniec wspomnijmy Artura Świeża w epizodycznej znaczącej roli ojca Mieczysława.

Przestrzeń *Empuzjonu* Roberta Talarczyka wypełnia niepokojąca muzyka mistrza Wojciecha Kilara w opracowaniu Adama Wesołowskiego. Buduje napięcie, podkreśla oczekiwanie na kolejne zdarzenie, punktuje poszczególne epizody i dobrze współgra z zasługującą na szczególne uznanie scenografią Katarzyny Borkowskiej, zresztą została zasłużenie doceniona przez publiczność. Kontemplowanie tego wielobarwnego, mieniącego się znaczeniami obrazu poszerza możliwości interpretacyjne spektaklu.

Gdy Thilo i Wojnicz odbyli jedną z ostatnich rozmów, oglądając reprodukcje i ryciny, ze szczególnym uwzględnieniem flamandzkiego malarza Herri met de Blesa, mówili o sposobie patrzenia na pejzaż. Najważniejsze, aby robić to tak, by przekraczać szczegół, zmierzać do fundamentu danego widoku, podstawowej idei z pominięciem detali, wówczas przed naszymi oczami pojawi się coś zupełnie innego, widok nowy, z pozoru nieobecny a jednak istniejący pod powierzchnią obrazu, przefiltrowany przez wyobraźnię i wrażliwość obserwującego. Który jest prawdziwy? Także spośród tych pomieszczonego w spektaklu? Wojnicz i Castorp w zakończeniu, przed wyruszeniem w drogę, spojrzeli na rozpościerający się przed nimi pejzaż i zapewne już wiedzieli. ■

Olga Tokarczuk
Empuzjon
 reż. Robert Talarczyk
 Światowa prapremiera 12 maja 2023
 Teatr Śląski w Katowicach

Noc nade mną ma cztery oczy
A trzy wpatrzone w Ciebie
Jedno księżycowi zadaje pytania

Sroki wznoszą ciemny granat swych piór
By przedostać się przez taflę jeziora
Do podziemnych krain
pełnych skradzionych pierścionków
I tajemnic zaklętych w kopertach

W podziemnym królestwie ptaków
Mieszkają nadworni poeci
Niedźwiedzie, rysie, sójki
Czasem ludzie

Chowają się w dębach szaf
Siadają w foteli atlasach
By z głębin rubinów, chleba i złota
Wyśnić świat

Zazdrość jest jak gorzkie pomarańcze
Których nie mogę przestać jeść
Choć w ustach kaleczy ich szkło

Podobno można wyzdrowieć
Z choroby gorzkich pomarańczy
I innych brzydkich myśli i słów

Podobno
Można przestać się łąać i karać
Podobno są ogrody
W których wiersze kwitną jak jabłka
Podobno jeszcze nie jest za późno

Siny słońcem wieczoru
Długi cieniem grabu
Mokry wodą wczorajszą
Jako miejsce niezgrabnych uwodzeń
Porzuconych trzcin kwiatów
Rozdartych jabłek kolan

Nasza droga do siebie
Od siebie
Do nikąd

Cierpliwy kronikarz lamentów jesieni
Notujący złote łyzy króli drzew
Mieszkaniec pomiędzy morzami
Ściętych traw

Pocięty w równą kratkę
Strumień chodnika

Zamieszkałam
Na czubku trzciny

Losy moje ważą się
Na cienkich, złocistych milimetrach
Czułych na wiatr

W moim malutkim mieszkanku
Nie mam nawet czajnika
Odwiedzają mnie tylko derwisze
Wirując w powietrzu
Po czerwonym winie

Czarodziej z naprzeciwka
Przesyła mi listy
Na grzbiecie żuka
I dołącza do nich
Szklane kuleczki

O złotych chłopcach
Których kocham
Rozmawiam z ważkami i trzmielami
Które przychodzą i odchodzą
Niczym blade, lekkie obłoki

Zamieszkałam na czubku trzciny
Jakby niechący
Jakby coś mnie
Zamieszkało



fot. Tomasz Bieniek

Moja Afryka

Pode mną szumią
Szerokie wody asfaltu

Trasy szybkiego ruchu
Mają nogi grube i szare
Niczym stare kenijskie słonie

Mijam sawanny parkingów
Na których fordys pasą się srebrem
A grube grzbiety hond otwierają paszcze ba-
gażników
By ukazać hipopotamie kły

Patrzę w łąd pozbawiony cienia

Niegdyś widziałam zdjęcie
w National Geographic
Antylopy stały na nim przy tafli wody
Dokładnie tak, jak elektryczne hulajnogi
Ustawione jedna przy drugiej
Nad kałużą pod katowickim marketem

Tu też czasem świeci słońce
A szklane okna są jak jezioro Wiktorii

Mój baobab ma na imię sosna
Wije się między Chorzowem a Rudą
Rozdarte dziecko Śląska

fot. Tomasz Bienek



Szukam Ciebie, gdy Ty
Spadasz gradem na moje ulice
Wpadasz pod stopy, kaleczysz kostki
Chłodzisz miasto szklanym zaklęciem

Jesteś tu — widzę Cię wszędzie
Lecz zaklęty w nierozszyfrowane pisma
Klinowe, fenickie
I jeszcze jakieś nie z tej Ziemi

Czekam na jakąś odpowiedź
Znak na niebie pisany błyskawicą
Za kroplą jednak toczy się tylko kropla

Choć ulice płyną latarni blaskiem
Wokół samochody, instrumenty
Psy w różowych płaszczykach
Serce moje znów
Uciekło na bułanym koniu
W samotność mongolskich stepów

Nauczyłam się jego eskapad
Pozwalam mu biegać
Jestem tu i tam

Opieram się o ciemne drzewo
Chylące się nad ulicami Katowic
I w tym samym czasie
Jadę konno
Po wyschniętych korytach rzek, pustyniach

Wchodzę do pełnego autobusu
Gdy tumany kurzu wznoszą się
Pod ciężarem kopyt
Mojego wiernego wierzchowca

Patrzę przez brudne okna
I widzę nagie wzgórza,
Łąki północnych gwiazd

Moje serce za bardzo kocha wiatr

Jurajskie radości i smutki

ZBIGNIEW LUBOWSKI



for. Zbigniew Lubowski

Co może znajdować się na szczycie góry? Gęsty las, polana widokowa, a może schronisko? Tradycyjne wyobrażenia turystyczne zawodzą na całej linii w przypadku Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Na najwyższym wzniesieniu jurajskim (511 m n.p.m.) znajduje się wbudowany w skałę wapienną... ekskluzywny hotel SPA wraz z restauracją. Wyślanik redakcji „Śląska” zdołał osobiście wdrapać się na skalny wierzchołek.

Niecodzienny obiekt noclegowo-gastro-nomiczny o dostosowanej do lokalnych warunków nazwie „Poziom 511” wyróżnia się bajecznymi wręcz cenami, które mogą – uwaga, uwaga! – oszołomić przeciętnego turystę. Jura w ogóle słynie z rozmaitych niespodzianek, które czekają na spragnionych wrażeń poszukiwaczy wakacyjnych przygód. Malowniczy region położony w dorzeczu górnej Wisły i górnej Warty, na styku Śląska i Małopolski, olśniewa widokami – charakterystycznymi białymi skałkami (ostańcami), urzekającymi rezerwatami przyrody nieożywionej oraz warownymi zamkami skalnymi z mrocznych czasów średniowiecza.

Z historyczną wiernością

We wsi **Podzamcze**, u podnóża ruin zamku **Ogrodzieniec** – wsławionych realizacją filmowych zdjęć plenerowych do serialu telewizyjnego „Janosik” (1973) oraz ujęć we wnętrzach dla potrzeb „Zemsty” w reżyserii Andrzeja Wajdy (2001) – utworzono przed 13 laty niezwykle park, który można określić mianem „Jury w pigułce”. Warto tam zajrzeć przed docelową eskapadą turystyczną Szlakiem Orlich Gniazd – trasą o długości blisko 164 km pomiędzy Krakowem a Częstochową, obejmującą dawne warownie, wzniesione na ska-

łach dochodzących do 30 m wysokości.

Park Miniatur Zamków Jurajskich umożliwia zapoznanie się z historycznymi obiektami w ciągu zaledwie kilkudziesięciu minut. Z dużą starannością odtworzono tam 16 twierdz i pałaców z okresu ich największej świetności, z zachowaniem naturalnego otoczenia każdej z budowli. Zgromadzono tam również średniowieczne maszyny oblężnicze, a także – co warto koniecznie odnotować – repliki częstochowskiego klasztoru na Jasnej Górze. Zrekonstruowano je w skali 1:25 z należytą dbałością o szczegóły i z historyczną wiernością. Spore zainteresowanie zwiedzających wzbudza ją miniatury okazałych zamków: **Babice**, **Bobolice**, **Bydlin**, **Mirów**, **Rabsztyn** oraz pałacu w **Pilicy**.



Miniatura zamku w Babicach

Spacerkiem między zamkami

Trzeba wyraźnie stwierdzić, że współczesny kształt wielu z nich odbiega mocno od ich dawnego wyglądu. Niektóre budowle zostały w ostatnich latach pieczołowicie odrestaurowane, a inne są już tylko przygnębiającymi ruinami historycznych obiektów. Nie zmienia to jednak faktu, że Park Krajobrazowy Orlich Gniazd (o powierzchni prawie 50 tysięcy hektarów) stanowi unikatowe nagromadzenie niepowtarzalnych pejzaży o dużej różnorodności szaty roślinnej i świata zwierzęcego.

Źródłem niewątpliwej satysfakcji tu-

rystycznej dla jurajskiego wędrowca jest współczesny kształt średniowiecznych zamków **Mirów** i **Bobolice** (powiat myszkowski, sąsiadujący bezpośrednio z powiatem częstochowskim). Są one położone blisko siebie. Łączy je 1,5-kilometrowa trasa spacerowa wśród wapiennych skałek. Obie twierdze powstały w XIV stuleciu z inicjatywy króla Kazimierza Wielkiego. Miały chronić ówczesną Małopolskę przed najazdami ze strony Śląska, który wtedy należał do Czechów. Zbudowano je ze względów militarnych na strategicznym pograniczu. Ich późniejsze burzliwe dzieje obfitowały wszakże w zdarzenia osobliwe.

W 1683 roku pojawił się w Bobolicach król Jan III Sobieski podczas swojej wyprawy wojennej na Wiedeń. Zamek był jednak do tego stopnia zniszczony, że królewscy dworzanie woleli spać w namiotach, niż schronić się w jego murach. Mirów dla odmiany upodobał sobie kilkadziesiąt lat później rodzimi filmowcy. Pod zamkiem powstawały zdjęcia podczas realizacji „Powidoków” (2016) w reżyserii Andrzeja Wajdy. Bogusław Linda, odtwórca głównej roli w filmie, staczał się widowiskowo ze zbocza u podnóża zamku. Jurajską wizytę filmowców z Warszawy zdołano utrzymać w absolutnej tajemnicy przed okolicznymi mieszkańcami oraz mediami.

Ruiny i lipa

Zrujnowane twierdze zostały odnowione dopiero w XXI wieku, dzięki intensywnym wysiłkom rodziny Laseckich (efekt działalności senatora Jarosława Laseckiego, związanego aktywnie ze Stowarzyszeniem Miast Króla Kazimierza Wielkiego). Dzisiejszy wygląd obu zamków nie napawa już frustracją, choć jeszcze pod koniec zeszłego stulecia prezentowały się one paskudnie pod względem wizualnym.



for. Zbigniew Lubowski



Boczna część ruin zamku Ogrodzieniec (upamiętnionego w wielu filmach)



Odrestaurowana ruina zamku Mirów (własność prywatna)



for. Zbigniew Lubowski

Udostępniony zwiedzającym odnowiony zamek Bobolice (własność prywatna)



for. Zbigniew Lubowski

Widok ze szczytu Góry Zborów (Skąły Kroczyckie)

Nie można natomiast powiedzieć tego o pałacu we wsi **Wierbka** (800 mieszkańców) w powiecie zawierciańskim. Pochodzący z 1880 roku obiekt, wzniesiony przez przedsiębiorcę Chrystiana Augusta Moesa (założył on w tej miejscowości papiernię i gorzelnię) popadł obecnie w kompletną ruinę. A jeszcze u schyłku czasów PRL utworzono w dawnej rezydencji Moesów ośrodek odwykowy dla narkomanów.

Dziś zostały z niego nędzne pozostałości z powodu niszczycielskiego pożaru sprzed 36 lat. Nadpalone resztki dawnych ścian pałacu straszą spacerowiczów w dzikim lesie, który niegdyś był efektownym parkiem, okalającym okazałą rezydencję. Z 10-hektarowego parku ostała się co najwyżej trzecia część przyrodniczego kompleksu. Uwagę poszukawczy śladów historii przykuwa jednak drobnolistna lipa z pniem o ponad czterometrowym obwodzie.

Ostry spór prawniczy

Nieco lepiej wygląda pałac w dwutysięcznym miasteczku **Pilica** (powiat zawierciański). Powstał on w początkach XVII wieku. Była to późnorenansowa rezydencja w stylu włoskim, zbudowana przez kasztelana oświęcimskiego – Wojciecha Padniewskiego. Składała się z czterech skrzydeł otaczających wewnętrzny dziedziniec. Zamek był otoczony tzw. fortyfikacjami bastionowymi.

fot. Zbigniew Lubowski



Fronton zamkniętego pałacu w Pilicy

Po II wojnie światowej utworzono tam dom dziecka, a później – zakład poprawczy dla młodzieży. W 1989 roku pałac wraz z pięknym 10-hektarowym parkiem kupiła od Skarbu Państwa znana bizneswoman, a zarazem kolekcjonerka i filantropka – Barbara Piasecka-Johnson (1937-2013). Zamierzała nadać mu charakter elitarnego przybytku sztuki – siedziby galerii malarstwa.

Nic nie wyszło jednak z tych planów, bo roszczenia do pałacu zgłosili potomkowie Kazimierza Arkuszewskiego, który był jego właścicielem w latach 1908-1945. Zaciekły spór prawniczy nie został do dziś rozstrzygnięty. O dalszych losach obiektu powinni zdecydować – jak się ocenia – spadkobiercy Barbary Piaseckiej-Johnson. Doprowadzenie pałacu do stanu dawnej świetności może kosztować krocie. Na szczęście – rezy-



Zamek Rabsztyn z odnowioną wieżą widokową

dencja nie niszczy w szybkim tempie, bo na co dzień opiekuje się nią dozorca mieszkający w budynku dawnej oranżerii pałacowej.

Pomniki przyrody

Efektownie prezentuje się rozległy park wokół pałacu, z klasycystyczną studnią. Został on uznany za pomnik przyrody (dzieło sztuki ogrodowej). W słoneczne dni jest chętnie odwiedzany przez miłośników rekreacji na łonie natury. Dawną rezydencję arystokratyczną zamknięto, co prawda, na cztery spusty, ale park jest dostępny dla wszystkich zainteresowanych. To konsekwencja łagodnej „polityki spacerowej”, prowadzonej przez liberalnego dozorcę.

Na terenie Jury Krakowsko-Częstochowskiej jest więcej różnego rodzaju kompleksów przyrodniczych, by wymienić chociażby Sokole Góry, Ostrężnik, Bukową Kępę czy Smoleń. Najciekawszym z nich wydaje się 45-hektarowy rezerwat **Góra Zborów**. Skąd się wzięła taka zaskakująca nazwa? Według legendy – zbierały się tam okoliczne wiedźmy przed odlotem na miotłach na sabbat czarownic na Łysą Górę w regionie świętokrzyskim.

To magiczne miejsce jest częścią pasma Skał Kroczyckich (powiat zawierciański). Geologiczne procesy krasowe ukształtowały tam liczne wapienne ostańce, jaskinie i fascynujące leje. Bezleśny wierzchołek wzgórza stanowi świetny punkt widokowy, a Góra Zborów jest jednym z najatrakcyjniejszych rejonów wspinaczkowych na obszarze całej Jury. Dodajmy jeszcze ze względów dokumentacyjnych, że teren rezerwatu był w okresie II wojny światowej miejscem krwawych potyczek między wojskami niemieckimi a polskimi oddziałami partyzanckimi Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich.

Jaki pan, taki kram

Na obrzeżach Zawiercia (dzielnica **Skarżyce**) można natomiast zobaczyć pozostałości XIV-wiecznego zamku rycerskiego Bąkowiec. Najstarsi mieszkańcy pobliskich zabudowań nie pamiętają innego wyglądu zrujnowanej budowli. Można się nawet spotkać z opiniami, że dawny zamek uległ zniszczeniu jeszcze w XVII wieku.

W 1967 roku wpisano ruiny do rejestru zabytków. Pobliska kawiarnia i park leśny stanowią dziś – wraz z ruinami – ośrodek rekreacyjno-wypoczynkowy, który jest własnością prywatnej firmy z Dąbrowy Górniczej. Nic nie wskazuje na istnienie planów ewentualnego przywrócenia zamkowi dawnego wyglądu. Nie bardzo zresztą wiadomo, kto i z jakich funduszy miałby się podjąć realizacji kosztownego zadania odbudowy historycznego obiektu.

Zupełnie inaczej jest natomiast w przypadku gotyckiego zamku **Rabsztyn** (Olkusz w Małopolsce). Został on zbudowany w XIII wieku na wysokiej wapiennej skale. Obiekt nie jest dziś niszczącym zabytkiem, lecz tzw. „ruiną zrekonstruowaną”. Ze szczytu odnowionej wieży widokowej można podziwiać panoramę okolic. W zeszłym roku zamek otrzymał prestiżowy Jurajski Certyfikat Jakości w kategorii „atrakcje turystyczne”. Starania władz samorządowych gminy Olkusz zrobiły po prostu swoje. W Rabsztynie odbywają się coroczne i wyjątkowo widowiskowe turnieje rycerskie. Tłumy zwiedzających dowodzą, że historia dawnych twierdz warownych nie musi być lekceważoną dziedziną wiedzy. ■



Skałki jurajskie

fot. Zbigniew Lubowski

Alliance... po XX wieku. Próba zapisu fragmentu historii

ROMAN WYBORSKI

Lata 70. Pani Halina Skibniewska, wicemarszałek Sejmu, w kularowej rozmowie zagaduje katowickiego tow. posta i zadufanego samodzierżcę Górnego Śląska, mniej więcej w duchu: *jak to może być, tow. Grudzień, że u Was jeszcze nie ma aljansfransez*. Fonetyczną zagadkę *aljansfrans* Grudzień przekazuje tow. rektorowi Rechowiczowi. Gdzież historyk ruchu robotniczego miałby to usłyszeć..., więc tow. rektor Uniwersytetu Śląskiego, zagadkę zadaje tow. Lubasiowi, dziekanowi filologii (nb. na czele tzw. uczelnianej POP – „grupy trzymającej władzę”), któremu romanista tow. Abramowicz wyjaśnia *Alliance Française* (dalej AF). Zanim nastąpi zwrotna wstępna zgoda wymienionych „instancji” zza kulis na proscenium wyjdzie tajemnicza pani de Bénouville. Tu dłuższa anegdota.

Półoficjalny tytuł tej postaci to delegat AF na Polskę. Tytuł ów wymyślił był długoletni nr 1 paryskiego AF, sekretarz generalny Marc Blancpain, wspólnie ze swoim przyjacielem generałem de Bénouville (prawej ręki p. Dassa, producenta floty powietrznej Republiki, obu znaczących sponsorów Stowarzyszenia AF), od czasu wojennego Ruchu Oporu męża dzielnej Géorgine, atrakcyjnej córki „białych” uchodźców z bolszewickiej Rosji. Nie siląc się na aluzje do późniejszych przegód pozamażeńskich tej – wtedy – pięknej pary, obojgu odpowiadała aktywność, hm, pozaparyska, a nawet pozametropolitalna zaborczej Hrabiny, jak ją nazywano w stolicy „kochanej Polski”. Zatem przybywszy z wizytą do Monsieur Grudnia *owijała Go sobie naokoło palca*, jak to określił tłumacz i radiowiec Eugeniusz Łabus, dodając, iż obecni tłumili w sobie śmiech na widok cacyka bezradnie ogłupiałego wobec nawałnicy komplementów prawdziwej damy. Skutek oczywisty. Niebawem, prawie pół wieku temu zaistniała pierwsza w kraju i tzw. demoludach placówka AF „przy Uniwersytecie Śląskim”.

Zanim do niej powrócimy nieco szersze tło. Tytuł dotyczy francuskiego „aliansu” w jednym z kilku znaczeń w ub. wieku najpierw rozpowszechnionych, potem wypieranych i w końcu wypartych, jak wszystko, przez anglo-amerykańskie najpierw brzmienie, potem polityczno-militarny przymus przynależności do tzw. Sojuszu, który formalnie i „wizerunkowo” zachował, bodaj jako jedyny, oba anagramy – założycielskie! – pisowni ang. NATO i fr. OTAN (co do „wspak” można by dowolnie żartować). Niecałe pół wieku temu w latach siedemdziesiątych, skrótowo i słusznie zwanych gierkowskimi, franko-filskie biografie na czele z ówczesnym „tow.”

decydem nr 1 umiejętnie wykorzystywano do rozpowszechniania wpływów francuskich, m. in. w szkolnictwie. Raczujący Uniwersytet Śląski otwiera w 1973 roku neofilologie z romańską, oczywiście, a niecałe trzy lata później pierwszy przyuniwersytecki – w Polsce i w krajach zaprzędanych przez Aliantów, *nomen omen*, sowieckiemu coraz mniej krwawemu bolszewizmowi – Ośrodek *Alliance Française*, po którym powstała podobne w miastach oczywistych wpływów germańskich, co samo w sobie znaczące: Wrocławiu, Łodzi, Gdańsku, Poznaniu, itd. Kolejną falę frankofonii i – filii przejmie pokolenie ostatniej uwolnionej dekady XX wieku, choćby w zinstytucjonalizowanej postaci wyższych szkół: handlowej z Tulużą i politycznej z Bordeaux, dość spektakularnych katowickich realizacji brukselskiego Tempusa, „domu Saint Etienne” i rządowej paryskiej fundacji p. de Chalendar, by tylko o nich wspomnieć.

Takie uwikłanie katowickiego zakątka Europy w geopolitykę ma swoje racje historyczne. W skali mikro wypadła przypomnieć fakt zaistnienia choćby tegoż AF w Katowicach w 1938 roku; nb. od pani Schreiber, pół wieku temu lektorki j. niemieckiego w śląskim Wyższym Seminarium Duchownym dostałem jej cenny zeszyt z ówczesnego kursu. W skali makro byłoby to stulecie historycznych dat dla Górnego Śląska: od pozytywnie i decydująco ochronnej roli francuskiego korpusu plebiscytowego po jedną z pierwszych umów międzypaństwowych Drugiej RP z rządem francuskim na rzecz zapewnienia pracy i godnego życia (szkoła, lekarz, kościół) dziesiątkom tysięcy rodzin górniczych w prawie wszystkich zagłębiach węglowych Francji, podstawie trwałej prawie milionowej mniejszości polskiej. Z kolei o kłopotliwym – by rzecz ująć jak najostrożniej – znaczeniu brzmienia *alianse* świadczą desygnty – lub ich brak – wojskowe i polityczne przed, w czasie i po wojnach „polskich” XX wieku, skutkiem których Alianci podpadają pod publiczystycznie wygodne określenie *kontrowersyjne* aż po ...zamach stanu we wrześniu 1939 roku, którego skutkiem uchodźcze władze RP na terytorium Francji zostały osobowo skonstruowane z udziałem dyplomatów w Bukareszcie zgodnie z życzeniem Paryża. Pozostając jeszcze chwilę we wstępnie zgłoszonej więzi języka i cywilizacji warto uzmysłowić tak właśnie brzmiące pierwotne znaczenie polskiej obrączki, symbolu – niegdysiejszej? – trwałości małżeństwa i fundamentu rodziny. Osobny akapit uzasadni „niegdysiejsze” wtrącenie, istotne dla pozorów traktatów wzajemności.

Niejeden kameralny koncert – organizowany przez Alliance – francuskich solistów w ówczesnej wyższej szkole muzycznej u rektora Góreckiego kończyły rozmowy, w których równi klasą gościom muzycy katowiccy (choćby z Kwartetu śląskiego) słusznie pytali w duchu wzajemności sojuszniczej: a kiedy nasze koncerty u nich? „Kiedy” oznaczało najpierw ćwierć wieku i całkowitą zmianę ekonomiczno-politycznej mapy Europy, co podpada pod nasze, *nomen omen*, *propos* o tyle, o ile, *primo*, języki francuski (de Gaulle się w grobie przewraca) i polski równie łatwo „niszowo” ulegają anglo-pidżinowi, a *secundo*, np. muzyka (by nawiązać do poprzedniego wątku) się rozpowszechnia rynkowo i samoistnie. Tu nawiązałbym do de Gaulle’a (nb. któremu za mało się pamięta „Zabrze”), zbyt często w Polsce obrażanym *czarlssem*, a nie byłby to ani jedyny, ani najdotkliwszy skutek anglo-walca, który „przejechał i wyrównał”...

Jak wyżej podkreślono wypadła osobno – metodą kartezyjską, jakby nie było... – potraktować język i „cywilizację”. Osobno znałyby też stopniowo: akces do rzeczonyj cywilizacji uzasadnia zaawansowana biegłość w języku cyzelowanym przez stulecia a w ostatnim, XX–tym równolegle i oddolnie „korumpowanym”, uproszczanym tj. redukowanym do zdań prostych (okólnik administracyjny lat 70. zakazywał zdań złożonych, niezrozumiałych dla petentów, nie tylko imigranckich). Jakież wstęp do cywilizacji zapewniały umowy „pierwszy stopień” w co najmniej trzy- a nawet sześciostopniowej gradacji kursów? Żaden. Kolejne rezygnacje – ponad połowy kursantów – z wyższych stopni oznaczają także rezygnacje z akcesu do osławionej cywilizacji, nb. w pokoleniowym międzyczasie zastąpionej przez atlantycką. Wszak to właśnie od lat 90–tych udowodniali sami Francuzi wdający się w „biznes” polski. Agonii dopełnił internet. Po niemieckim francuski fundament Europy przestawał podtrzymywać wielowiekową i co najmniej dwujęzyczną tożsamość kulturową.

Język niemiecki przywołałem w nawiązaniu nie tyle do myślowickiego „trójkąta trzech” zaborców porozumiewających się wówczas po francusku (!) ile do wstępnego półwiecza śląskich neofilologii. Tamże tylko jedna – dla przyszłych romanistów i germanistów – komisja egzaminacyjna przyjmowała dokumenty maturzystów 1973. Jako jej sekretarz z pewnym zdziwieniem (i efektem pewnego stereotypu spoza Śląska) rejestrowałem nikłą katowicką, szerzej śląską proveniencję kandydatów zdominowanych

przez licealistów zagłębiowsko-częstochowskich. Niebawem ignorant wiedział, iż język niemiecki dopuszczono w jedynym katowickim liceum, któremu na dodatek (za karę?) dano na patrona berlińsko-sowieckiego bolszewika. Bez „patrona” obyła się sosnowiecka willa przy ul. Pułaskiego (dla AF i germanistów p. dr Szewczykówny oraz bibliotekoznawstwa; universistas); na ten adres przyszła z Francji korespondencja *Université de Sibérie* zamiast *Silésie*: znamienna dla nich geo-tożsamość.

Czym była (wszak oryginalnie i gramatycznie rodzaju żeńskiego) i jest AF? Ponad stuletnim stowarzyszeniem, na wyrost zwane prawicowym, organizacją poza rządową, która na mocy umowy z rządem (dodajmy: jedno z modelowych partnerstw publiczno – prywatnych) uczyć języka w metropolii i na całym świecie służy eksportowej *civilisation*, pojęcia zarazem fundamentalnego i wiodącego dla rozpowszechniania „języka i cywilizacji” w minionym stuleciu aż po zeń rezygnację na rzecz aktualnych „kultur frankofońskich”, nb. którym warto poświęcić osobny akapit. Przy Uniwersytecie Warszawskim zaistniał Polski Komitet Współpracy z AF, jedna więcej hybryda dla nadambitnego rektora po marcowego '68, tyleż prof. co tow. Rybickiego. Po okresie istnienia umownego Francuzom już pozory nie wystarczają (jak tow. Rybickiemu), domagają się konkretów np. w postaci kursów, oczywistych w ponad setce placówek AF w całym świecie. Więc tow. rektor podpowiada znany już ze wstępnego akapitu scenariusz p. Skibniewskiej – prezes TPPF, wyspecjalizowanym „towarzystwie przyjaźni” w istocie kontrolowanym przez wywiad i kontrwywiad. Bowiem lata 70-te charakteryzuje wielostronna i wieloosobowa francuska próba wpływania na mentalność i moralność Polaków przez agentów wpływu, podwójne funkcje, „lektorów” prosto z (= po latach w) ZSRS, itd. Nie dziwota, iż ktoś taki stanąwszy pod harmonogramem zajęć zaskoczony liczył – na „komunistycznej” uczelni – krocie „mgr”, których mimo programowej laickości kojarzył wyłącznie z.. watykańskimi prałatami, tj. Monsignorami. Jeden z prorektorów, któremu podporządkowano rzeczony ośrodek ostrzegał: *francuski wywiad ma u nas ponoć najlepsze osiągnięcia*. Wtórał mu jeden, drugi „protektor” UŚ z SB, od samego początku, ale i nie nazbyt nachalnie (wypada przyznać) obserwujący zagraniczne poczynania na terenie ówczesnego woj. katowickiego. Inny prorektor nie zezwalając na uruchomienie kącika prasy (regularnie dostarczanej do ośrodka) obcojęzycznej w czelni wydziału Nauk Społecznych z porozumiewawczym uśmieszkiem argumentował *no nie, nie możemy rozmiękczać młodych mózgów*. To jeszcze jeden element tamtej scenografii i obsady aktorskiej (tu prosilibym PT. Czytelnika o pochope, choć czasem zasadne, nie mylenie prorektora z „protektorem”).

Wypadałoby tu przynajmniej akapit poświęcić trzem podzbiorem francuskich współuczestników kiedyś realnej promocji tamtej cywilizacji: dyplomatycznego, lektorskie-

go i... wakacyjnego. Nie będzie prywatnym nadużyciem potwierdzenie, iż pisze to formalnie ich partner oraz przełożony, a w wielu przypadkach zaprzyjaźniony aż po kontakty rodzinne. W ramach wydziału kulturalnego Ambasady kadrowo obfity *ataszat* językowy warszawski i krakowski oferował ludzką panoramę (a)moralnych zachowań. Na jednym biegunie p. Henri Bourgeois, prawa ręka, kierowca itp. rzeczonej Hrabiny, który czas umownie wolny pobytu w Polsce przeznaczył na dzieło życia – tłumaczenie... Pana Tadeusza (!), wydanego w latach 90-tych. Na drugim, też w latach 90- tych inny wydawca i „autor” własnych wspomnień (nb. nawet spolszczonych!) z pobytu, gdzie jedno roku bezdzietnie zamężna kochanka ginie w wypadku samochodowym, a druga zamężna zachodzi w ciążę rodząc ich dziecko... w Niemczech. Obie były moimi koleżankami na sosnowieckiej romanistyce, a niepozorny kogut bretońsko – galijski nie wzbudzał (by) aż takich podejrzeń, poza tym uzasadnionych: przeżyłem niejedno kierując t. zw. wakacyjnym kursem dla dwóch setek studentek krajowych romanistek z udziałem dwóch dziesiątków animatorów francuskiej cywilizacji; szokujące *hulaj du...* skoszarowania treści najcelniej (a mogłyby być bardziej, hmmm, pikantne) jęk prośby „animatora”: *daj mi jakiś inny pokój, co wejść do swojego już jakaś leży w łóżku, muszę się trochę wyspać przed zajęciami*. Płciowa polsko – francuska atrakcyjność (*attraction* znaczy też pociąg, przyciąganie,...) w parach trwałych i nietrwałych to osobny przedmiot pogłębionej refleksji, hmmm, również historycznej.

Wspomniana pierwsza – w 1973 roku – komisja egzaminu wstępnego łączyła romanistykę z germanistyką. Powiedziałyby się: historycznie symboliczne, europejskie prorocze, bezwiednie realizujące nie tak dawne porozumienie de Gaulle’a i Adenauera. Wspomnianemu jednemu liceum katowickiemu z językiem niemieckim i sowieckim patronem dzisiaj patronuje nasza Maria na carsko – rosyjskim paszporcie Skłodowska, małżonka Curie, którą pod koniec XX wieku młodzi Francuzi plebiscytem obrali na najważniejszą postać (nie tylko!) kobiecą ich współczesnej cywilizacji. Jeśli mowa o liceach w kontekście katowicko-frankofońskim trzeba podkreślić wychowanków i nauczycieli „Kopernika” z takimi nazwiskami jak – w tamtych czasach – choćby panie Markiewicz i Wyciszczok oraz p. Kaczmarek, po którego niespodzianym przedwczesnym zgonie (w stanie wojennym lat 80., co istotne np. dla takich uczniów jak Jurek Gorzelik) banita uniwersytecki miał zaszczyt przejąć nie tylko nauczanie (w jego domowej szafie znalazłszy setki stron słynnej wówczas metody Kaczmareckiego), ale też w krajowym konkursie uznaną tradycję recytacji poezji oraz ambitnego teatru frankofońskiego. Rzadko się zdarza, aby Profesor spoczął w grobie naprzeciwko wejścia do swojego liceum, który to adres na cmentarzu przy ul. Sienkiewicza podpowiadam uczniom i wychowankom.

Grób bowiem byłby figurą właściwą frankofonii, do której najpierw powolnego umniejszania, potem gwałtownego (internetowego!) upadku przyczyniały się kolejne pokolenia rodaków wielkiego de Gaulle’a (nad)używające angielskich „makaronizmów” do minimum komunikacji medialnej i biznesowej. W krajowym szkolnictwie prawdopodobnie zaprzepaszczonego strukturalny moment obrony drugiego i trzeciego języka obcego. Przypadkiem brałem wówczas udział w takiej obronie w stu procentowo anglojęzycznej (i głęboko antyniemieckiej!) Holandii, gdy masowa akcja frankofońskich rodziców wybroniła (nie wiem na jak długo) szkolny francuski. Zarazem wypadałoby, powołując się na statystyki francuskie sprzed pół wieku, nazwać ówczesne woj. katowickie krajowym potentatem frankofonii. Każdy inteligent się zgodzi, iż świadome czytanie i osłuchanie, następnie pojęciowe odniesienia do każdego kolejnego języka wzmacniają immunologiczną odporność na wszelkie manipulacje i prostactwa, od rodzimej nowomowy i medialnego prania mózgu począwszy.

Nekrolog à *mémoires* od czasu do czasu z mini światelkiem w anglo-tunelu? Niedawno poznałem polskiego ojca pallotyń, prawą rękę biskupa Hong-Kongu, koordynatora katolicko – azjatyckiej frankofonii. Podobnie jak w poprzednim stuleciu Ameryka Południowa, w XXI daleka Azja realizuje językową tożsamość – tu religijną – taką jak powyżej przypominano tą o świeckiej Holandii. A przecież latami o. Remigiusz Kurowski służył paryskim pallotyńm i w polskim Montmorency, i na *rue Surcouf*o. Sadzika, równie (co najmniej) głęboko zasłużonym niezależnej kulturze, co słynna inaczej „Kultura” z Maisons-Lafitte.

Inny świecko-religijny kontekst cywilizacyjnej nadziei przetwarza historyczny moment cesurą 15 kwietnia – pożarem Notre Dame i fantastyczną rekonstrukcją geniuszu średniowiecza najnowocześniejszymi osiągnięciami technologii XXI wieku. Rejestrowanie na wielu nośnikach poszczególnych etapów w niezliczonych miejscach i warsztatach przetwarzania materialnego i świadectw duchowego zjednoczenia – z materia gotyckiej katedry – setek wykonawców, artystów w swoim rzemiośle kilkunastu jeśli nie kilkadziesiątu specjalności.

Natomiast azjatycki fragment „kultur frankofońskich” współzawodniczy(ł) z afrykańskim, skąd jest wypierany przez chińską ekspansję inwestycyjno – gospodarczą lub militarną rosyjską spod znaku prywatnej armii tzw. Wagnera (ostatnio z Wybrzeża Kości Słoniowej = *Côte d'Ivoire*, nb. trudno o mocniejszy dowód na afro – francuskie Państwo). To raczej w metropolii coraz liczniej potomkowie afrykańscy odgrywają pierwszoplanowe role od Kościoła katolickiego przez polityków i rząd po nagrody literackie, kinematografię i całą kulturę. Dla jej krajowego zaistnienia i rozeznania wypadałoby oddać niepospolite zasługi Krzysztofowi Jaroszowi, profesorowi i byłemu dziekanowi Wydziału, mojemu studentowi z pierwszego rocznika 1973. By nawiązać do wstępnych akapitów powiedziałyby się: *c.b.d.o.*

Psycholog suflerem

RYSZARD JASNORZEWSKI

Teodor Bujnicki był utalentowanym poetą, członkiem wileńskiej grupy „Żary”, który zginął pod koniec wojny, zastrzelony za nazbyt surowo ocenioną kolaborację z Sowietami. Po latach wspominał go Czesław Miłosz: „Dlaczego (...) przedmiotem historii literatury jest zawsze sukces, nigdy porażka? Czyż porażka nie uczy o wiele więcej?”. Sukcesy są niewątpliwie tworzywem każdej, małej i większej historii. Być może porażka uczy – niezależnie od ról zawodowych – nie mało, ale nie wiemy o niej zbyt wiele. I raczej nie interesuje wydawców książek o sporcie.

Dwugłós piłkarza (już w stanie spoczynku) Łukasza Piszczka i psychologa sportowego Kamila Wódki opatrzone tytułem: *Mentalność sportowca*. Potrzebne jest istotne dopowiedzenie, że mowa o mentalności dobrze, pozytywnie służącej właścicielowi. Zamknięta kariera wybitnego piłkarza została bowiem opowiedziana jako wiązka emocjonalnych i egzystencjalnych spełnień, odpowiednio wytrenowanych lub raczej zaprogramowanych we współpracy z psychologiem sportowym. Ta współpraca trwała długo, bo siedem lat, ale urzeczywistniła się na ostatnim etapie wyczynowej drogi piłkarza. Dla przyszłości wywodu (wykładu?) konieczna była więc retrospekcja, sięgająca niedojrzałych jeszcze (bo mających wiele wspólnego z iluzjami) wyobrażeń Piszczka o zawodowej karierze. Ani małoletnie wyobrażenia, ani dorosłe doświadczenia nie uchroniły przed zawodowym kryzysem. Zdarzyła się poważna kontuzja, a równolegle – według świadectwa piłkarza – „Na kłopoty fizyczne nałożyły się potężne obciążenia psychiczne”. Dolegliwociom instrumentu do gry – ciała – zarządziła operacja i późniejsza rehabilitacja, problemom z mentalnością pomogła współpraca z psychologiem.

Profesjonalny piłkarz „przypomina trochę maszynę” czy wręcz mechaniczną zabawkę. Oceniając czas bezpośrednio przed podjęciem dialogu z psychologiem, Piszczek zdobył się na ważną refleksję: „Byłem bez energii, jak zabawka, której baterie są na wyczerpaniu”. Kamil Wódka zaprosił do przemyślenia przeszłości, stał się suflerem przypadków szczęśliwych: „(...) na wczesnym etapie rozwoju parłeś do przodu, bo pragnąłeś grać w piłkę. Wyglądało na to, że kierowało tobą właśnie to marzenie”. Ludzki mechanizm piłkarski potwierdza, że tak w rzeczywistości było, nie paraliżowała go presja, gdyż pasja wystarczała za „paliwo do działania”. Swoje zrobiło także, że u progu kariery nie chciał zawieść rodziców, troskliwych, ale równocześnie nie wywierających toksycznej presji (psycholog

elegancko skomentował: „Z jednej strony otaczała cię troska, z drugiej – rodzice starali się przygotować cię do radzenia sobie z różnorodnymi sytuacjami. Może taki sposób podejścia rodzica do młodego sportowca to dla ciebie norma, ale gwarantuję ci, że nie zawsze tak jest”). Zabrakło jednak przestrogi filozoficznej natury. Na pewno pozytywne wzory są bardzo ważne dla rozwoju młodego piłkarza. One same jednak nie wystarczą, by stać się wybitnym sportowcem. Czy sama gra w życie jest wystarczającą wygraną?

Przeznaczony do zawodowego sportu człowieczy mechanizm, już wprawiony w ruch (i zaopatrzonego w niezbędne paliwo) potrzebuje wyznaczonej trasy („Na właściwe tory pomagali mi wrócić rodzice i trenerzy”; starsi, bardziej doświadczeni zawodnicy „Byli dla mnie jakimś wzorem, drogowskazem”; w zawodowej piłce „można bardzo szybko, łatwo zostać odstawionym na bocznicę”). Zauważmy, na marginesie, że drogowskazom zdarzają się wypaczenia – tak było, gdy Piszczek, jako zawodnik Zagłębia Lubin, wykazał się czynem kupowania meczu (w czas jakiś potem wyrażając czynny żal i dobrowolnie poddając się karze). Na szczęście dla sportowca, epizod korupcyjny był jedynie zakrętem. Przyszły sukcesy w reprezentacji i piłkarski doświadczenia w barwach Herthy Berlin i przede wszystkim Borussia Dortmund. Mentalność sportowca nie dostarcza opisu spotkań i nie układa piramidy osiągnięć sportowych. Skupia się na biografii emocjonalnej i – nic na to nie poradzimy – na przygodach mechanizmu, który w najlepszym piłkarsko momencie musiał pojąć bardzo trudną prawdę: „głowa spalała iles dodatkowego paliwa”.

Nadszedł czas psychologa. Mechanizm generował myśli, wiele myśli, które należało na nowo ukierunkować. Piszczek zrozumiał: „O głowę należy dbać tak samo jak o fizyczność”. Wódka skomentował, że chodziło o szlachetną dekapitację, o to, by w efekcie poprawnego (z efektem poprawionego) myślenia móc „odciąć głowę”, „działać automatycznie”, wykorzystując maksymalnie posiadany potencjał. Na ostatnim etapie wyczynowej drogi, Piszczek potraktował przygotowanie mentalne jako równorzędne do ćwiczeń utrwalających umiejętności gry w piłkę. Psycholog zaproponował trening wyobraźniowy (ćwiczenia „na żywo” i ćwiczenia z materiałami audio oraz wideo) oraz szereg technik pozwalających zredukować stresy, a zatem – przynajmniej – ograniczyć myślenie o sprawach zbędnych (na przykład zamartwianie się tym, co będzie w przyszłości). Mottem wspólnej pracy uczyniono (inspirując od



nową psychiczną nie tylko sportowca) zdanie: „nie musi być idealnie, aby było dobrze”.

Kto ciekaw wszystkich kulisów współpracy psychologa i piłkarza, niech przeczyta dokładnie książkę. Czy można ją potraktować jako zestaw dobrych praktyk, pomocnych do wędrówki przez dżunglę czy raczej drażniący rynek? Wódka co prawda przestrzega: „W piłce nożnej (...) młody piłkarz zostaje towarem do sprzedania coraz częściej”, ale nie znaczy to, że zaleca uniwersalne działania ochronne, skuteczne w każdych okolicznościach. Póki co wystarczy, abyśmy w karierze Piszczka dostrzegli konsekwentną strategię kogoś, kto wykorzystał otrzymaną od losu szansę i w pełni ją wykorzystał. Książka postanowiła przekonać, że szanse sportowe najpełniej uświadamia sportowy psycholog.

Kamil Wódka wyczerpująco omawia między innymi hipotetyczną sytuację, gdy psuje się samochód, którym rodzic dowozi pociechę na trening: „Dziecko w takiej chwili po prostu nauczy się, czym generalnie jest trudna sytuacja i jak się wtedy zachować”. Zapewne wiele nauczy się również wówczas, gdy zepsuje się autobus albo zawiedzie tramwaj. Samochodami rodziców, autobusami i tramwajami zmiernają dzieci na spotkanie losu. Najlepiej, gdy jeszcze niewiele sobie z tego robią i nic im nie ciąży.

Łukasz Piszczek, Kamil Wódka: *Łukasz Piszczek. Mentalność sportowca*. Wydawnictwo SQN, Kraków 2023, s. 294.

Samotność

Nagle zostałem bez ojczyzny
 mam ją tylko w sobie
 Życie wśród tego narodu stało się udręką
 Obcy wśród rodaków wyrzucony poza granicę niczym dwulatek syryjski
 W push-back'u jestem z polskiej tolerancji i dobra
 Norwida Tuwima Baczyńskiego Miłosza Tokarczuk Grechuty Niemena Demarczyk
 w obcym kraju czuję się niczym
 Moi przyjaciele umarli
 Został ostatni adresat Bóg
 Do niego zadzwonię żeby mnie stąd zabrał

Częstochowski

Zrobiłeś tyle dobra co zła podobnie jak każdy
 Bilans trudno ocenić
 Nie zawsze chciałeś żyć
 Pierwsze myślenie o śmierci miałeś w wieku 15 lat
 Z depresjami zmagasz się pół wieku
 Niczym zabytek kruszałeś
 Innym razem twardniałeś
 Bo po śmierci nie wiadomo co z tobą
 Ciąg dalszy nastąpi lub nie
 Dlatego zostałeś kamieniem

Pasażerowie wieczności

Jesteśmy pasażerami samolotu którego kapitan dawno wyskoczył
 Jesteśmy pasażerami którego załoga odpłynęła szalupami do brzegu
 Jestem kierowcą autokaru który ledwo widzi i co chwila zasypia
 Za kierownicą bo znużyło go życie
 Ale ma nadzieję że dojedzie do dobrego motelu i po prysznicu
 Stanie na nogach

Matnia

Świat jest hospicjum
 Żal mi tej naszej ludzkości głupiej
 Bo sam jestem głupcem
 Boli mnie wasze cierpienie i umieranie
 Współczuję nawet mordercom
 Roztrząskującym niemowlęta o mur
 Zabijanie innych pozwala im przeżyć
 A każdy chce żyć
 Dlatego zabija innych żyjących
 Jesteśmy potworami
 Nie ma w nas litości
 Stworzono nas okłamując od dziecka

Goście z tego świata

Piękne łabędzie płynące po jeziorze
 Czy podziwiają przyrodę
 Skupione na jedzeniu zielska
 Głupie pytanie
 Ciągłe jesteście dzieckiem zdziwionym tym światem
 I tak zostaniesz

Obrzydliwe słowo

Na początku było słowo zło
 Bierze się z gadania
 Trzeba się oszukiwać żeby było przyjemnie
 I pięknie żyjąc w piekle

Szczęśliwy człowiek

Sensu życia szukacie
 A sensem życia jest cierpienie
 Macie go pod dostatkiem
 Marnując czas na szukanie szczęścia
 Ile dni miałeś szczęśliwych a ile cierpiecieś
 Skupcie się na przeżywanie cierpienia
 A będziecie szczęśliwi

Melancholia i pożądanie

Zaczynacie poznawać świat
 Masturbacjami
 Kończycie też masturbacjami
 Między id a super ego rozgrywa się wszystko czym
 zostajesz
 obdarowany i to w zasadzie cała głębia
 Rozczarowanie jest pięknie diabelnie smutne
 Brzydota wiadomo przypadkiem się zdarza

Spacer w popiół

Śniłem tej nocy potworny koszmar. W paczce miałem tylko osiem papierosów. Mój własny krzyk obudził mnie przed świtem. W pierwszym odruchu pobiegłem, by sprawdzić. Papieros był jeden, złamany.

Sen był już spalony, podobnie jak dobre samopoczucie. Włożyłem więc buty i poszedłem z psem na spacer.

Po niebie przemieszczały się ostatnie ciemnoszare dymy, pewnie z tych licznych brudnych kominów. Na horyzoncie żarzył się nieśmiały pomarańcz. Ruszyłem więc w jego stronę. Całe osiedle Na skale, wszystkie popielate budynki tworzyły ciekawy labirynt, w którym samochody mogły skręcać jedynie w prawo. Dlatego też poszliśmy w lewo. Trochę na Halembę, co? – palnąłem do psa. I właśnie wtedy moje myśli zawiało w progi mieszczącej się tam Krainy Tapet, w której pracuje. Przywiało także kolor jej ciemnej cery. Nie ma dymu bez ognia, a ten, mam wrażenie, tli się do dziś. Po-całunek, który spalił do dna, jak śpiewała Violetta Villas, która zgasła w biedzie, samotna i zapomniana. Wypalona.

Po drugiej stronie ciemnej jak machorka rzeki, przebiegł męczyzna. „Filterki” – zwykły nazywać biegaczy mój ojciec, nałogowy palacz. – Przy ulicy biegają dla zdrowia innych, pochłaniając cząsteczki stałe. Pożyteczni śmiertelni.

Od dzieciaka miałem wrażenie, że czarne przestrzenie pomiędzy pasami parzą. Mój pies przejął to po mnie, zawsze biegł przez przejście jak po węglach.

Dobrze, że sklep był już niedaleko, bo paliło się przede mną, jak jeszcze nigdy. Pani o brązowych paznokciach, jak co dzień dociekała, czy to mój dowód przez dobre dwie minuty, co przestało już rozpalać we mnie gniew. Przegrzała się rzecz ludzka.

Błyskiem pognaliśmy do naszego licealnego „zaplecza” gdzie ćmiło się raz dniem, raz nocą. Ogar poszedł w krzaki, a ja rozpaliłem się, patrząc w niebo. Wyobraźnia oddycha dymem, co potwierdziłby każdy wielki tego świata, ten, co nie zasłużył na Nobla i na którego Nobel nie zasłużył. Rozgrzany umysł pali się do snów. Potrzeba jeszcze palaczy, by ten sen ziszczyć.

Wessenber

Był zszyty z różnych kultur.

Miał kiedyś matkę. Znała odpowiedź na każde pytanie, prócz jednego. Wdrapała się więc na górę i na klęczkach wyszeptwała: Skąd bierze się tętniące życie? Następne spędziła trzy dni w tym samym miejscu, by obmyć się deszczem i opić ciszą. Gdy zesza z góry, matka powiedziała jej, że ma w oczach coś innego. Dwa tygodnie później napadła ją fala mdłości i chęć na wszystko, co wypuści pęd z ogrodu.

Dziś ludzie nie nazywają się tak jak kiedyś, przyszło mu na myśl. Zgasła epoka pożarów, w świetle których dziecko przewyższa granice darowanym kawałkiem chleba. Spojrzał wstecz, na młodego szesnastolatka z ojcowską dumą. Pochował matkę i babkę tego samego tygodnia, a przecież to one opłatały rękami granice bezpiecznego domu.

Słowo nie jest dobrym wyjściem z jaskini. Lekki szmer to nie wyprawa. Niewidoczne niebo i sztuczna potencia to nie siła, przenoszona z wilgocią skały, trawy, oddechu przed porankiem. Ta wilgoć znajduje się w oczach. Bolesne, że tak zmiennych.

W dzisiejszym świecie każda decyzja jest efektem bólu. Nie lepiej przemknąć pomiędzy wszystkim? Jak powietrze w płonącej Notre Dame. Ta miłość do siebie samych jest nieczysta. Przecież łyk z Sekwany niesie w sobie mniej mdłości niż życie z cyganką spędzone pod dachem Katedry... Czy właśnie na tym to polega, by Pierwszy spędził życie szczęśliwie, budując doskonałą podobiznę Boga, a po tysiącletniach Upadający przygniótł swe nieszczęście jej ruinami?

Wieszało się wielu nic nie znaczących, tych, którzy mając najwierniejszą miłość u stóp, sądzili, że warta jest jedynie ta pomiędzy płaczącymi wierzbami. Chopin gdyby żył, to by pił. I pił. I pił. I prosił potomkinię Mocnego o jeszcze jeden dym z papierosa, pachnący szczęściem Majorki.

Dlaczego jestem Księciem Ciemności? Bo wylałem się na mur modlących się do zupy? Marzę, by to świat zmienił mnie, a nie odwrotnie? Przecież nawet nie odwiedzam pogrzebów. Moi przyjaciele giną w samolotach pełnych wódki. Zanim zajadę konia w stronę kanału, chcę zobaczyć mój kolejny młody uśmiech, nucający kołusanek w piętę chleba. Śmierć zawsze jest w kieszeni. To, czy wyjmiesz, czy szew się rozstarga zależy od porządnej roboty. Pytanie tylko kogo?...

Raju, jak tu pokojowo. Inteligentni robią podkop z powrotem. Dewoty gotują de volaille'a. Dozorca może jeść z podłogi. Jedni idą spać, inni wołają spaść. Wódka nie grzeje się za kaloryferem, tylko chłodzi w lodówce.

Adoptowałem słońca. Chmury są filtrem zemsty. Byłby szczęśliwy, gdyby nie ta maska...

U nas wielkie poruszenie. Nikt nie wie skąd napływa tyle dusz i słów w kolorach żółto-niebieskich. Podobno powstaje komisja, mająca podjąć decyzję o spojrzeniu w dół.

Grassness

Can't you see we're crying
Barbra Streisand

1
Wiązka krzaczastych gałęzi przetoczyła się po piasku. Przyhaczyła o przekrzywiony, drewniany znak z napisem „Grassness” i poleciała dalej, podążając donikąd.

Jedna, jedyna ulica, oto całe miasto. Na niej toczą się losy wielu pokoleń. Od dawna tak było i długo tak będzie.

Gdzie nie charknać, wszędzie piasek. Sucha okolica.

Powietrze niesie kulawe dźwięki pianina, wprost z Salonu. Stuzębny Jenkins grał na sucho.

Dlaczego Stuzębny? Bo w paszczy miał po dwa rzędy złotych kłów, na dole i na górze. Taka przypadłość.

Czyż wychudły kot wysrał się z dachu na kapelusze starego murzyna Pitta. Dachowiec mógł być bezpański.

Huk!

Głęboki Johnny rozwalił Kliffa Tulipana z gnata na środku ulicy, w imię zasad. Trafił prosto w bliźnię na policzku. Szanowny oprysznia nabył ją podczas bójki na potłuczone butelki w Grawitacji, oczywiście mocno wiany.

Grawitacja. Tak miejscowi mówili między sobą na Salon. Knapę prowadziła ciesząca się poważaniem burdelmama Pachnąca Olcia. Konkretnych gabarytów kobieta w średnim wieku, ubierająca się w jaskrawe odcienie zieleni. Od kilku lat wspomagała lewą nogę zdobioną laską. Mimo to poruszała się dość sprawnie. Jej ulubioną czynnością było przesiadywanie w bujanym fotelu, koło baru.

2

Pastor Godder przemawiał nad trumną zmarłego Pierra Robesa.

– Przez całe swoje życie powtarzał nam: wolność, równość i braterstwo. Hasła tak bliskie naszemu Panu. Niestety, nie ma go już z nami. Niechaj zazna spokoju w niebie, a my ukojenia po tak wielkiej stracie. Amen.

– Amen – odparli żałobnicy.

Sosnową skrzynię włożono do ziemi i zakopano.

3

– A jeśli nie wyobrażam sobie dnia bez czystej ćwiartki – ciągnął Jim. – To jest to jeszcze uzależnienie, czy już nirwana? Po przeciwnej stronie stolika siedział doktor O'Bryen. W tle słyszeli muzykę pianina. Stuzębny Jenkins wypił już dwie setki. Zasuwał jak nigdy.

– Jim, pijesz codzienne, na umór. Daj się namówić na terapię. Jedna sesja tygodniowo, co?

– Picie nie jest takie złe, doktorku. Poranki są gorsze. – odparł z uśmiechem Jim.

– A czy to nie powinno wyglądać inaczej? Dlaczego poranek decyduje o tobie, a nie odwrotnie?

– Nie poranek o mnie decyduje, ale kac. On jest karą za grzechy. A ja lubię grzeszyć. Co poradzę?

– Samemu nic nie poradzisz. Ale jeśli spróbujesz o tym ze mną porozmawiać, postaram się wyciągnąć cię z tego bagna.

Jim zaczął się zastanawiać. Lubiał alkohol, ale w tym momencie bardziej go potrzebował niż pożądał.

– Nie, jednak nie. – odpowiedział.

4

Młody Burns kochał się z Megan w szopie jej ojca. Robili to na sianie kilka razy w tygodniu. Po kryjomu, rzecz jasna. Rodziny kochanków nienawidziły się od pokoleń, zapewne przez to, że mieszkaly płot w płot.

Jak to mówią, zakazany owoc smakuje najlepiej.

Leżeli teraz na wyściełanym klepisku. Nadzy, naiwni, zauroczeni sobą nawzajem.

– Powinnaś trochę skrócić włosy. – powiedział.

– A co? Już Ci się nie podobam? – odparła.

– Nie o to chodzi. Jesteś piękna, ale lepiej by Ci było w trochę krótszych.

Megan miała gęste, czarne, falowane włosy. Końcówkami sięgały jej talii. Nie skracala ich od śmierci matki. Przed kilku laty znalazła ją z pętlą na szyi, w ogrodzie, na jedynym drzewie.

– Nie mogę ich skrócić – powiedziała.

– Dlaczego?

– Nie zrozumiesz.

Ojciec Megan, pijany jak zwykle, wracał do domu, pod wieczór. Zabalował z kolegami. Jeszcze parę lat temu, po każdej zabawie fundował sobie w domu wieczorny boks. Przez następne kilka

dni jego żona nie wychodziła z domu. Był bardzo zdziwiony, gdy się powiesiła.

Przypomniał sobie, że ma jeszcze dwie flaszki w szopie. Zatoczył się tam i otworzył drzwi. Zauważył młodych śpiących na sianie. Wszedł dość cicho. Nie zbudził ich.

Bez zastanowienia chwycił za widły i wbił je młodemu Burnsonowi w brzuch.

Następnego dnia odciął kolejną pętlę z drzewa.

Jego sznur zdjęto tydzień później.

5

Pewnej nocy lunął deszcz. Padało przez następne kilka dni. Ziemia stała się wilgotna, rośliny zaczęły kiełkować. Miałeśzko porosło trawą.

Ludzi ogarnęło szczęście. Znowu mieli nadzieję. Wierzyli, że nareszcie będzie dobrze.

Pięć dni po zakończeniu opadów, dwie osoby dostały wysokiej gorączki. Tego samego dnia trafiły do kostnicy, przy kościele. Następnego tygodnia trzy kolejne zajęły ich miejsce.

Każdego dnia przybywało zmarłych. Ludzie stracili nadzieję. Nie minął rok, a w Grassness zwiędło ostatnie źdźbło trawy. ■



Szorstka polszczyzna Łobodowskiego

JERZY PASZEK

Józef Łobodowski, urodzony 19 marca 1909 roku w Purwiskach na Suwalszczyźnie (obecnie Litwa) – zmarł 18 kwietnia 1988 roku w Madrycie. Jego życie można podzielić na dwie części, czyli tę polską (do II wojny światowej) oraz hiszpańską (od 1941); jego prochy przewieziono do Polski 28 października 1988 roku do Lublina, któremu ongi poświęcił 26-stronicową *Balladę Lubelską*. Jest autorem prawie 20 tomików poetyckich, a w tym pięknie wydanej w Londynie, nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, książki pt. *W połowie drogi* (Londyn 1972, 180 s. + 4 nlb.; w eseju liryki i poematy Łobodowskiego cytuję na podstawie tej edycji).

Omawianą libellę kończą słowa *Od autora*: „Tytuł tego tomu wierszy kojarzy się naturalnie z Dantego: ‘In mezzo del camin di nostra vita...’. Ale Dante był w wieku w pełni usprawiedliwiającym ten zwrot. W moim wypadku, skoro już dobrze przekroczyłem sześćdziesiątkę, tytuł może wzbudzić zdziwienie. W połowie wędrowki? [...] Nie w połowie drogi życiowej, lecz w połowie drogi poetyckiej – tak należy go rozumieć” (s. 173). A jednak poeta się przeliczył: po roku 1972, gdy wydał reprezentatywny wybór swoich utworów, do nowych tomików należy tylko czwórka: *Dwie książki* (Paryż 1984), *Mare nostrum* (New York 1986), *Pamięci Sulamity* (Toronto 1987; o Zuzannie Ginczance), *Dytyramby patetyczne* (Londyn 1988), gdyż *Rachunek sumienia* (Paryż 1987) jest jedynie wyborem wierszy z lat 1940–1980. Podsumowując, do 1972 roku Łobodowski opublikował więc lwia część swojego dorobku (ponad trzy razy więcej tomików niż po edycji książki *W połowie drogi*). Nie była to więc druga połowa drogi poetyckiej, lecz jej uwieńczenie, finisz czy końcówka.

Wiersze z wyboru londyńskiego podejmują częstokroć tematykę śmierci. Do liryków takich trzeba przede wszystkim zaliczyć te, które już w tytule posiadają to „nocne” (zob. s. 16), mroczne i symboliczne słowo: *Srebrna śmierć*, *W rocznicę śmierci* (wiersz poświęcony pamięci Pedro Borrella), *Śmierć Beatryczy*, *Na śmierć generała Andersa*, *Na własną śmierć*, *Strofy o śmierci*. Fakt ten łączę z refleksjami poety, który rozmyśla o Horacym i jego przesłaniu: „non omnis moriar” (s. 11, wiersz ma inc. „Nie urodziłem się dla żadnej z ziemskich bitw”). W horacjańskiej aluzji do *Ars poetica* mowa jest o „życia śmiertelnym hipodromie” (s. 8).

Trudno nie zauważyć, iż słowem kluczem całego tomu jest epitet „srebrny” (i pokrewne jego warianty) oraz rzeczownik „srebro”. W wymienionym liryku *Srebrna śmierć* spotyka się frazy, odwołujące się do Selene, Luni czy Diany, bogiń księżycowych: „srebrna noc”, „ulewa białych róż i zamieć lun, / proszące srebrem nad doliną”, „srebrzysty flet”, „srebrny strumień” (s. 15), „srebrem tkany całun”, „srebrne usta” (s. 16). A dalej ujawniają się i inne skojarzenia: „na twą trumnę srebrne okucie” (s. 21), „I księżyc wszedł. I dłonią ze szczyrego srebra / przymusił, aby rozkwitł pąk śniadego brzucha” (s. 23), konika „Cukrem karmić, z konewki srebrnej poić” (s. 26), „żywym srebrem głosów dźwięcząc, / przesuwają się gromada roześmianych dziewcząt” (s. 31), „Apokalipsy koń, / po-

derwany / srebrną uzdą księżycy” (s. 36), „złatywali się poci księżycowi / i kryształowo-srebrny słowik”, „Niebo śpięte jest srebrną księżycą agrałą” (s. 38–39), „nachylić się w tę noc nad żarem źródła / srebrnych bioder i wilgotnych ust” (s. 57), „dnem srebrnej doliny [...] blask księżycy głuch” (s. 63), do flinty wbij „nie śrut, / lecz kozikiem naznaczoną na krzyż / srebrną kulę, coś poświęcił ją w kościele” (s. 85), „struny srebrnopłynne” skrzypiec (s. 155), „słowa ze srebra i z czerni” (s. 156), „W ulach brzęczy miodosytne lato, / siwy obłok srebrnym smyczkiem zaraz zatnie, / srebrne trzmielie rzucą się na sad, / w rozkrzyczaną, upalną matnię” (s. 160), „najpiękniejsze włosy / jeśli srebrne”, „Srebrny deszcz w siwe oczy zacięna, / srebrne trzmielie rzuciły się na sad, / trzęsie się srebrny dreszcz na orzeszynach” (s. 162).

W tych srebrzystościach lśni i mieści się także najważniejszy dla mnie poemat tomu, czyli *Pochwała szorstkiej mowy* (s. 125–145). Mowa polska jest szorstka – pełna syczących i szumiących spółgłosek – bo taki klimat gwarantuje nam „srebrny sierp” księżycy (cz. IX):

I tak szorstki kamień po kolei się wysłowi
ku dudniącej głębinie cembrowin,
ku twardziźnie trwałych podwalin.
Noc zarzuca srebrny sierp na ramię,
gwiazdozbiory rozżarza...
Kres doczesnej pracy kamieniarza.

„Matki święte” są również „Pannami Srebrnymi”, bo „stopami wspierają się o księżyc”. Tu Łobodowski tak zmienia znany tekst *Pana Tadeusza* („Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy / I w Ostrej świecisz Bramie!”), by utworzyć z dwu postaci jedną, symbolizującą największe polskie *sacrum* (cz. X):

Panno Srebrna, co w Jasnej świecisz Ostrobramie,
tyś spragnionemu źródło, a kalece ramię
pomocne; coś stopami wsparła się o księżyc,
poradź nam jako mamy w Twe imię zwyciężyć.

Także w XI części poematu motyw srebrny połączono z NMP: „srebrny błysk wzniesionego lemieszka. / A na drodze zasempre maryjna kantyczka / i pątniczka przesunie się rzesza”.

Nierzadko ujawniają się w poemacie wątki erotyczne, powiązane z muzyką i grą na skrzypcach: „Oj, smyczek dudli na lipkowym pudle, / po srebrnych, po strunach... / Patrzyło się dziwczę, chyłało nad źródłem / jak luna” (cz. IV).

Te wszelkiego rodzaju srebrzystości lunarne i marsowe, erotyczne i sakralne zderzają się z innym motywem muzycznym, a mianowicie z tytułową szorstkością naszej mowy. Fragmenty końcowe poematu – numerowane jako paragrafy XV i XVI – nawiązują do incipitu: „Szorstkość twych dłoni pochwalam, / ojczysta mowo!” (cz. I); „Szorstkość twych dłoni pochwalam, / ojczysta mowo” (cz. XV). Aby wróciła do nas „dźwięczna szorstkość” (cz. XV) – trzeba koniecznie skończyć z epoką „ust, snem zakneblowanych” (cz. XVI):

Czujna fala powróci nas, którzyśmy uszli,
powróci nasze usta, snem zakneblowane,
by w czarnej ziemi, w łonie śpiewającej muszli
znów kielkowały szorstkim słowem.
A-m-e n.

Zaraz na początku tego peanu na cześć polskiej mowy, zaprezentowana jest metafora dźwiękowa charakterystycznych zderzeń naszych spółgłosek, trudnych do wypowiedzenia dla Hiszpanów (Łobodowski prawie pół wieku mieszkał w Madrycie i stale stykał się z ludźmi, narzekającymi na uderzającą ich i przerażającą fonetykę polszczyzny); cz. II:

Nie pogłaszcze ten rytm, w którym trzeszczy
gęstwa polskich przyłasczek i leszczyn,
żadnej pieśni od Capri i Sorrento.
Ale za to szum puszczu w niej zmieszczę,
aby runąć gwiazd płonących deszczem
w świętojańskie gorące święto.

Zresztą fraza „od Capri i Sorrento” nie zawsze oznacza tu „słodsze”, południowe tony, bo w Polsce głoska „r” współtworzy „ostre słowa” (cz. IX): „Ostre słowa t-a-r-n-o-g-r-ó-d i b-i-ł-g-o-r-a-j, / szumią rzeczne wiry z-a-m-o-ś-c-i-e-m. / Wczora było za wcześniej, dzisiaj znowu pora, / to mnie w goście na trześnie zaprosić”.

Z tego połączenia szumiących (wczoraj, wcześniej, trześnie) i „ostrych słów” ze spółgłoską „r” (Tarnogród, Biłgoraj) wynika, że nieszorstkie mogą być w polszczyźnie jedynie kołysanki dzieciinne (typu „Matuleńka śpiewa: – li-li, li-li”, cz. III) lub przyśpiewki ludowe: „Oj, dy-li, dy-li, / oj, ra-di, ra-di...” (ib.), „Oj, dy-li, dy-li, wśród wyschłych bylin” (cz. IV), „Oj, da, da-da, da-da-aaa...” (ib.), „Oj, dy-dy-ry-dy...” (cz. V), „Oj, dy-dy, ry-dy...” (ib.), „Oj, da-da-da, / doła nie-szczęśliwa” (cz. VII), niebo „zakołuje kołędą Wigilii. / Oj-ra-di, ra-di, / oj, dy-li, dy-li...” (cz. VIII).

Dodać należy, że Łobodowski świadomie prowadzi grę Polska contra Reszta świata, gdyż współzawodniczy – wyjechawszy „za lubelską parafię” – z trubadurami z Prowansji, znanymi z kreowania erotyków o bardzo wykwintnej strukturze rymowej (a cały analizowany poemat i tom bliższy przecież niebanalnymi rymami!). Jak w cz. II:

Poznaj, trubadurze, iż potrafię,
gdy wychylę się za lubelską parafię,
twoim nutom i melodiom podolać.
Że na modłę prowansalską czy włoską
umiem czule otwartym samogłoskom
trefić pukle
z wysokiego czoła.

Stąd apostrofa: „Karkasono [Carcassonne] i śniada Narbono [Narbonne], / patrz jak w słońcu Roselionu [Langwedocja-Roussillon] płoną / barbarzyńskie nasze tarcze. / Wyskoczyłem za Narew, za Wisłę, / waszą mowę na piach rozgryzłem, / wyszczerzyłem kły i groźnie warczę” (ib.).

Taki „szumny” [‘dumny’] i „szumiący” nasz język poeta połączy też z zawikłanymi polskimi dziejami, z hukami armat i haubic. U nas symbolem jest czas, gdy „w kuźniach słychać kos powstańczych kucie” (cz. VI). Stąd szorstka nuta rodzi się wraz z wybuchem wojny: „Na gorzkim dymem wdętych kartofliskach, / na partyzanckich ścieżkach, tropach, / z roztartej mięty, z nocnych błyskań / powstaje szorstka, zachrypnięta nuta” (cz. VII). To tak, jak gdyby „skowyt i bulgot” musiał rymować się ze zdaniem „Jak nasz śpiew... jak uchronić od kul go?” (p. VII). Mars, sztuka wojenna, rzadko idzie ręką w rękę z Erato i Melpomeną, ale u nas jest



inaczej, bo szum skrzydeł husarii i zgrzyt kneblowania armat bliskie są polskiej poezji, a nawet jej narzędziem muzycznym (zob. s. 106: „Opadają zmyry i wiedźmy, druzgocą / muzyckie narzędzie”) – szorstką, acz dźwięczną fonetyką... A wszelkim diabłom historii, biesom i kusym, szorstką i niewdzięczną (s. 136) polszczyzną Polak, potomek Kochanowskiego, Mickiewicza, Norwida, Wyspiańskiego, Żeromskiego i Leśmiana (do nich aluduje Łobodowski takimi słowami, jak: wiwilga, gołoborze, Łysogóry, rozwórka, turonie, Panno „co w Jasnej świecisz Ostrobramie”, Czarnolas, chruśniak malinowy, „Tęskno mi, Panie”, porąbany na polana fortepian, zgniłe chochoły) powiada (cz. VIII): „Z wszystkich bitew i klęsk chleba został nam kęs — / ostrzem słowa przekrojony razowiec”.

Irena Szypowska swojej książce o autorze tomu *Kasydy i gazele* (Londyn 1961) nadała tytuł *Łobodowski. Od „Atamana Łobody” do „Seniora Lobo”* (Warszawa 2001). Niewymawialne dla Hiszpanów nazwisko, u nas bliskie komiksowego odgłosu „łubu-du”, a naprawdę pochodzące od nazwy rośliny łobody – lebiody (Andrzej Bańkowski w *Etymologicznym słowniku języka polskiego* z roku 2000, czyli znanego zapewne Szypowskiej, dokładnie opisuje zalety wyrazu rymującego się ze „słobodą” [ukraińskim określeniem ‘osady, której mieszkańcy byli zwolnieni na pewien czas od ciężarów feudalnych’ – wedle *Encyklopedii „Gazety Wyborczej”*]: ‘Lebioda-łoboda, chwast bujnie rosnący po ogrodach i zapłociach, o miękkich, smacznych, białych od spodu liściach, należała ongiś do ważnych roślin jadalnych, zwłaszcza w czasach nieurodzaju, głodu; dziś, przyrządzana à la szpinak, [bywa] przysmakiem smakoszów’. Ale dla Hiszpanów był Łobodowski innym, by tak rzec, „przysmakiem”, jabłkowitym, gdyż jabłka lobo – jak pisze się w cytowanym kompendium – to ‘kanadyjska odmiana jabłoni, odporna na mróz; owoce jesienne, duże, czerwone [i bardzo twarde!], głównie deserowe; w Polsce powszechnie uprawiana. Góral na to: „panoczku, tyz piknie!’’.

Opowieść o Irenie Gelblum Conti di Mauro Remigiusza Grzeli to jest najbardziej sensacyjna biografia minionego stulecia. Znam jej pierwszą wersję pod tytułem *Wybór Ireny* z roku 2014, także dramatyczne losy książki, znam i drugą, wydaną w roku 2023 pod tytułem *Trzy życia Ireny Gelblum*.

Pierwsza zaczynała się zdaniami: „Są takie życiorysy, w których nic się nie zgadza. Fikcja miesza się z prawdą, a prawda z roku na rok coraz bardziej się zaciera. Bywa, że w końcu łatwiej uwierzyć w fikcję niż w prawdę o sobie. Czas mija, świadkowie odchodzą, fakty się gubią i pozostają jedynie fragmenty opowieści. A opowieść jest zawsze prawdziwa”.

Druga wersja zaczyna się akapitem: „Marek Edelman udzielił wielu wywiadów, ale jeden z nich na kilka lat odmienił moje życie. Mówił w nim o bohaterskiej łączniczce Żydowskiej Organizacji Bojowej, która była odważniejsza od innych. Nazywał ją „Irką Wariatką”. Ze zdumieniem opowiadał, że ta urodzona w Warszawie dziewczyna po wojnie zmieniła tożsamość, została włoską poetką i pisze „takie tam wzdychy”. „Iрка Wariatka” nie życzyła sobie, aby ludzie dowiedzieli się, kim jest naprawdę. Dlatego nie podał jej nazwiska. Nie musiał. Znałem Irenę Conti di Mauro od prawie piętnastu lat. Nie wiedziałem, że ma bohaterską wojenną przeszłość. [...] Chociaż się z nią przyjaźnię, w ogóle nic nie wiedziałem”.

Ta druga biografia, napisana od początku, rozszerzona o nowe fakty, wypowiedzi, refleksje, na nowo skomponowana, wiwisekcyjna do bólu, to lektura, po której już nic nie będzie dla czytelnika jednoznaczne. Może jedynie to, że Remigiusz Grzela napisał ją brawurowo.

Znałam i ja Irenę Conti di Mauro, poetkę. Któż jej nie znał spośród piszącej braci? Ale dopiero po kilku latach od śmierci poetki z książki Remigiusza Grzeli dowiedziałam się, że znałam inną osobę niż tę, którą znałam. Nie wiedziałam, że była bohaterką, że wykarczowała z przeszłego życia prawdę wojennych lat, zmieniała kilka razy datę urodzenia, odsuwała się od tych, którzy ją pamiętali jako Irenę Gelblum, by nic nie wskazywało, że brała udział w konspiracji.

Opowieść Remigiusza Grzeli trzyma w napięciu od pierwszych zdań. Dlaczego? Dlaczego tak się stało, jak było? Te pytania można powtarzać nieustająco. Możemy jedynie snuć domysły, silić się na własne interpretacje. Także pytać pytaniami, które postawił autor. Słuchać opowieści osób, które też ją znały.

Trwała w poczuciu winy, że przeżyła, kiedy jej bliscy zginęli?

Dlaczego nie chciała być bohaterką na miarę Marka Edelmana i Kazika Ratajzera?

Jak ona to zrobiła, że tak się zaparła, by nie rozpoznawać dawnych przyjaciół i grać nową siebie perfekcyjnie przez co najmniej pół wieku?

Jak to zrobiła, że władze komunistyczne pozwoliły jej na taki kamuflaż? Że przez tyle lat nikt jej nie zdradził?

Czy nigdy nie przerobiła swojej traumy?

Trzy życia Ireny Gelblum

KSIĄŻKI

MARTA FOX

Jaką tajemnicę skrywał jej pobyt w Palestynie, dlaczego tam nie pozostała?

Czy dlatego, że nie była syjonistką i nie chciała budować państwa izraelskiego?

A może nie nadawała się do życia w kibucu?

Czy wolno szukać Ireny prawdziwej w jej wierszach?

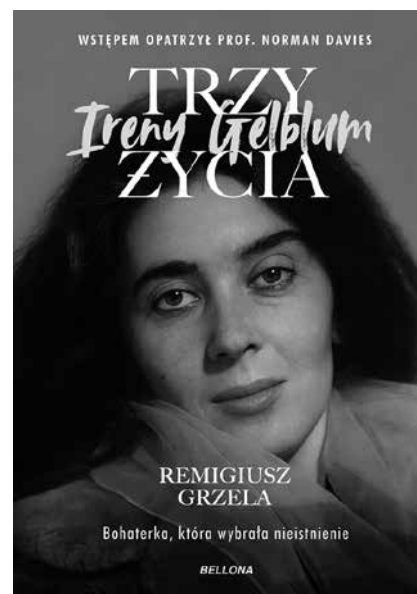
Prawdziwej, czyli której?

Czy poezja była dla niej wolnością, w której mogła wyrażać uczucia, a kamuflować fakty?

Remigiusz Grzela wojenną historię Ireny opowiada przez innych. Szuka śladów, osób. Znajduje. Chwyta się szansy na znalezienie odpowiedzi. Bywa, że przyjeżdża za późno i osoba, która pamiętała Irenę „wojenną”, zmarła. Autor nie ukrywa siebie w tej książce, pisze o swoich emocjach, o tym, jak poszukiwania go wciągają, jak odkrywa ślady, których istnienia nie podejrzewał. Dzięki odnalezionym we Włoszech listom odkrywa Irenę, której nikt nie znał. Listów Kazika Ratajzera autor nie cytuje już w obecnej biografii. Dlaczego? Czytelnik znajdzie w książce wyjaśnienie. Bynajmniej nie zubożył w ten sposób biografii, gdyż listy, choć były dowodem związku Kazika i Ireny, nie zrewolucjonizowały opowieści, nie wychodziły bowiem poza sentymentalną stylistykę i zakamuflowaną czułość.

Jakby się dzisiaj czuła Irena, co by powiedziała, gdyby zobaczyła, że świat jest jej pełen, nie tej, którą chciała być, ale tej, którą była w przeszłości: Ireny-bohaterki, Ireny-wariatki, która nie wie, co to strach i z dawką brawurą wyprowadza dziewczynę z obozu zagłady, Ireny-łączniczki w żydowskim getcie. Czy przyznałaby się do siebie tamtej, przytuliła tę dzielną dziewczynę? Co mogłaby zbudować ze swojej samotności?

Mam i ja swoje wspomnienie o Irenie Conti. Słyszałam o niej na długo przedtem zanim ją poznałam. Koledzy po piórze machali ręką i mówili – mitomanka. Czytała swoje wiersze z namaszczeniem. Każdy wydawał mi się wówczas arcydziełem. Kiedy



czytałam w domu, nie znajdowałam w nich nic dla siebie. Irena była wdzięczna czytelnikom za to, że przychodzili na jej spotkanie i potrafiła o tym mówić tak, że każdy czuł się lepszy i wybrany.

Przyszła i na moje spotkanie w Klubie Księgarza, związanej z promocją powieści. Jesteś poetką, powtarzała, poetką, pamiętaj o tym. I cytowała: „Być może trawa na jej grobie wyrośnie czerwona, być może Stwórca zapłaci czerwonym deszczem”. – To twój wiersz sztandarowy, powinnaś nim zaczynać i kończyć autorski wieczór – przekonywała. Czułam się pogłaskana, byłam jej wdzięczna za to, że jako poetka honorowała poetkę.

Zapraszała mnie wiele razy do swojej „białej willi”. Nigdy nie przyjechałam. Jakbym wyczuwała jej rozedrganie, jakbym wiedziała, że Irena jest zasznurowana i nie uda mi się nawiązać szczerych relacji. Ci, którzy tam byli, wracali zdziwieni przepaścią pomiędzy gorliwością zaproszenia a murem, który potrafiła potem stworzyć. Nikt z nich się z Ireną nie zaprzyjaźnił, choć takie były ich oczekiwania. Życzliwa, ale nieobecna. Jak jerzyk, zawsze w locie. I wpatrzona w rozmówcę oczami, które zabijały pytania i pozostawiały niepokój.

Remku, dziękuję Ci za Twoje gorliwe tropienie śladów Ireny, za wnikliwość i empatię widoczną na każdej stronie książki, za pomnik, który swoją opowieścią stawiasz nie tylko Irenie, ale wszystkim w Getcie Warszawskim, „pomnik trwalszy niż ze spiżu”.

Jak dobrze, że ta historia mogła zaistnieć po raz kolejny i przypieczętować 80 lat Powstania w Getcie Warszawskim. ■

Remigiusz Grzela, *Trzy życia Ireny Gelblum*. Bellona, Warszawa 2023, s. 544.

Dominika Słowik po debiucie literackim uznana została przez lansujących ją wydawców za pisarkę śląską. W nocie reklamowej jej pierwszej powieści *Atlas: Doppelgänger* można było przeczytać: „W samym blokowisku Śląska czasów transformacji”. To nader częsty błąd redaktorów nieznających specyfiki województwa śląskiego składającego się z różnych regionów. Dotyczy on także często twórców z Zagłębia Dąbrowskiego czy okolic Częstochowy, nie wspominając o Żywiecczyźnie. W tym przypadku dotknął pisarkę urodzoną i dorastającą w Jaworznie, na pograniczu Górnego Śląska i Małopolski, należącym administracyjnie do województwa śląskiego. Zwłaszcza że opisała w debiutanckiej powieści *Atlas Doppelgänger* życie w świecie zdevastowanych podwórek i klatek schodowych z kopalnią w tle. Z przyklepioną etykietką prozaiczki górnośląskiej zapraszana była na spotkania autorskie, podczas których dochodziło do odkrycia małopolskich korzeni pisarki. Życiowa decyzja o zamieszkaniu Dominiki Słowik, iberystki z wykształcenia, w Krakowie potwierdza słabe więzi z kurbacją śląską.

Obojętność autorki na identyfikację ze śląskością widoczna już w debiutanckiej prozie i skłonność do kreowania fantazmatycznych światów przedstawionych, symbolizowanych przez opowieści dziaćka marynarza, w całej krasie ujawniła się w drugiej książce *Zimowla* – nagrodzonej Paszportem „Polityki”. Odeszła tematycznie daleko od labiryntów wielkomięskich blokowisk na rzecz magicznych realiów pipidówki. W onirycznym świecie Cukrówki postaci postępują jak uczestnicy koszmaru; Pszczelarz tresuje rój pszczół, Misza handluje marihuaną, po ulicach spaceruje naga Magda, mieszkańcy poszukują skarbu, w jeziorze pojawia się topielec.

W najnowszym zbiorze opowiadań *Samosiejki* prozaiczka na dobre pograżyła się w fantazmatycznej rzeczywistości mocno obecnej w codziennym życiu fikcyjnych postaci. W tytułowym tekście narrator, botanik mieszkający w domu na odludziu łowi do siatki owady. Jego sąsiadka, zarazem przyjaciółka, biologka z wykształcenia, z pasją zajmuje się ogrodnictwem. Życie bohaterów obraca się w kręgu zwyczajnych czynności: zakupów, jedzenia, picia i zawodowych zajęć. Jednak w powietrzu wisi nieodgadniona zagadka. Drzewka rozrastają się samoistnie w zastrasającym tempie, zajmując pola i ogrody. Niezwykły blask na nieboskłonie i ziemskie ciemności nakazują się domyślać postaciom ingerencji obcych. Inwazja roślinności to wojna z ludzką cywilizacją wyniszczającą naturę. Końcowy dialog narratora i Ewy puentytuje symboliczną rejteradę przed lasem i zgodę na bycie w symbiozie.

„- Czy to koniec?”

Natychmiast zawstydziłem się tych słów. Już je kiedyś słyszałem, tylko wtedy to ode mnie oczekiwano odpowiedzi.

- Nie wiem. Może nie.

Samosiejki nie ustąpią

KSIAŻKI

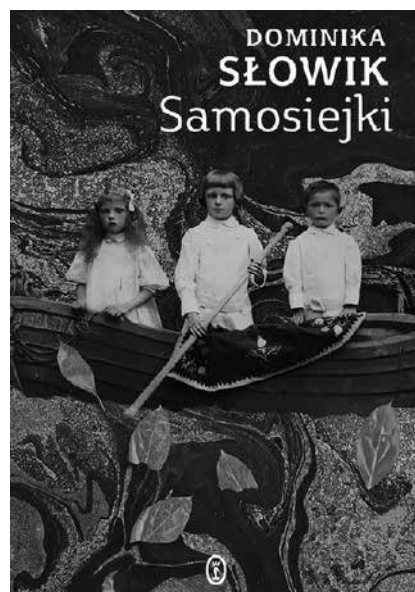
- To co dalej?
- Musimy wreszcie trochę ustąpić.”

O ingerencji kosmicznych sił traktuje też napisane w stylu literatury fantastyczno-naukowej opowiadanie *Kolonie pozaziemskie*. Bohaterka ląduje na stacji orbitalnej opuszczonej przez załogę. Ma uporządkować kosmiczną stację, usuwając grzyb porastający ściany kapsuły. Jej wysiłki to daremny trud. Gdy domyśla się, że ludzie wpuścili ją w pułapkę, zaczyna w skafandrze z zabłąkanym kundlem orbitować w kosmosie, obserwując, jak stacja zamienia się w rafę koralową.

Motyw rozrastania się mikroobów, sinic, grzybów, doniczkowych krzewów pojawia się także w pozostałych opowiadaniach. Jednak ta inwazja wcale nie musi zagrażać ludziom. Bohaterka opowiadania *Wegetacja* pograża się w nirwanie płataniny roślin doniczkowych. Akceptuje łądygę fasoli rozrastającą się w jej nosie narratorka nowelki *Pnącze*. Pisarka jednak prowadzi swoistą grę z czytelnikami, konfrontując realny świat z fantasmagorią. Z reguły w puencie daje wyraźnie do zrozumienia, że opisane wydarzenia mogą być tylko wytworem wyobraźni.

Przeciwstawienie fantazmatów twardej pojmowanej rozumem rzeczywistości dotyczy nie wyłącznie rojeń o bujnej roślinności. W *Lęku przestrzeni* zagrożeniem dla narratorki leczącej się po operacji oprócz doniczkowych kwiatków zagrożeniem są gołębie i urojony pies. Po odzyskaniu zdrowia i racjonalnej świadomości do bohaterki dociera, że żyła w groteskowym świecie wytworzonym przez malinę. Psi motywy pojawia się też w opowiadaniu *Kwarantanna*. Narratorka tak długo ćwiczy gimnastyczny skłon zwany psem, że nabiera zwyczajów czworonogów.

Absurdalność sytuacji przedstawionych w opowiadkach Dominki Słowik dotyczy



RYSZARD BEDNARCZYK

również globalnych zjawisk przyrody. Jak inaczej wytłumaczyć perypetie matki i córki z opowiadania *Śnieżycy*, jeśli nie obawami przed ociepleniem atmosfery. Trudności z zasypianiem, poszukiwanie mroźnej zimy oraz niedźwiedzi sen w zaspach ukazywane w świecie przedstawionym niewątpliwie inspirowane są strachem przed dalszym wzrostem temperatury powietrza na Ziemi. Tego samego tropu doszukać się można w *Ostatniej zimie*.

Bardzo ciekawe są w opowiadaniach z tomu *Samosiejki* orientacje przestrzenne. Akcja większości utworów toczy się w ciasnych mieszkaniach w blokach z wielkiej płyty. Wzbogaceniem lokali zatłoczonych przedmiotami codziennego użytku stają się zwierzęta domowe, doniczkowe kwiaty. Ucieczką z przytłaczającej przestrzeni klatek może być świat fantazji, co do którego nie ma pewności, że nie jest realny, lub wyjście na zewnątrz i wędrówka w poszukiwaniu terytoriów sprzyjających egzystencji w czasach katastrofy klimatycznej. Otwarte, niekończące się płaszczyzny natury przeciwstawione są kubistycznym tworom z betonu.

Preferowanie przez pisarkę mieszkań jako miejsc akcji przyczynia się do domowego charakteru jej opowiadań. Postacie zawężają się do kręgów rodzinnych, współpracowników, znajomych, brak udziału w wydarzeniach osób obcych albo mają one niewielki wpływ na losy bohaterów. Więzi emocjonalne; empatia, miłość, awersje, między członkami rodzin odgrywają ważną rolę. Pomimo zagrożenia bytu trwają jak ostatnie znaki człowieczeństwa. ■

Dominika Słowik, *Samosiejki*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021, s. 274.

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego stulecia polscy himalaści nie tylko zdobywali osmiotysięczniki, ale też często robili to zimą, bez tlenu, w stylu alpejskim (bez zakładania obozów i lin poręczowych) oraz nowymi, trudnymi drogami, udowadniając, że „Polak potrafi” to, co zagraniczni koledzy – mimo większych funduszy oraz lepszego sprzętu – uznają za niemożliwe. Jedną z największych gwiazd złotej ery polskiego himalaizmu był katowiczanie Jerzy Kukuczka, drugi człowiek na świecie (po Reinholdzie Messnerze), który skompletował Koronę Himalajów i Karakorum, lecz niestety niebawem zginął w ukochanych górach.

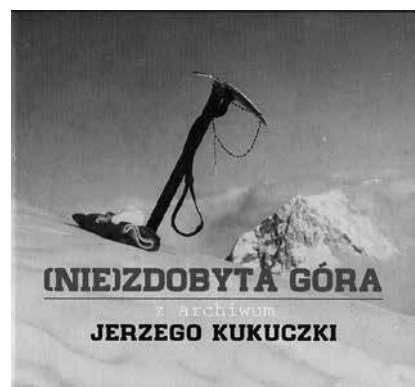
(*Nie*)zdojta góra. *Broad Peak i K2'82* to trzecia książka wydana przez Fundację Wielki Człowiek, założoną przez Cecylię Kukuczkę, by upamiętnić dokonania jej męża. Publikacja zawiera dziennik i listy Jerzego Kukuczki, fotografie, artykuły prasowe oraz dokumenty związane z dwoma wyprawami Polaków – męską i kobiecą – na K2 w 1982 roku, a także objaśnienia poczynione przez Ilonę Chylińską. Do kolejnych materiałów (nagrań wypowiedzi Jerzego Kukuczki oraz wywiadów z Anną Czerwińską, Danutą Wach, Ignacym Nendzą, Andrzejem Paczkowskim, Reinholdem Messnerem) zainteresowanych odsyłają zamieszczone w książce kody QR.

Narracja Ilony Chylińskiej – jasna, konkretna i zwięzła – spaja w całość zamieszczone w publikacji archiwalia, a także pomaga zrozumieć zarówno tajniki himalaizmu, jak też realia epoki. Dzięki niej po książkę mogą sięgnąć nie tylko znawcy gór, lecz również osoby, które dopiero wdrażają się w tę tematykę. O ile pomysł udostępnienia dodatkowych materiałów poprzez kody QR jest interesujący, to biorąc pod uwagę niewielką objętość publikacji, dobrze by było uzupełnić ją o ich transkrypcję – jeżeli nie całości wypowiedzi, to przynajmniej obszernych cytatów.

By wybrać się w Himalaje, bohaterowie (*Nie*)zdojtej góry musieli uzyskać nie tylko pozwolenie pakistańskich władz (bardzo kosztowne), ale również polskich na wyjazd z kraju. Borykali się też z trudnościami zaopatrzeniowymi. Nierzadko sami szli śpiwory, a profesjonalne obuwie wspinaczkowe czy lekka, lecz wysokokaloryczna żywność (na przykład niedostępne w kraju batony Mars), zdobywali u zagranicznych sponsorów. Problem braku dewiz, niezbędnych podczas zagranicznej podróży, rozwiązywali, zapraszając na wyprawę obcokrajowców, wnoszących owe dewizy, w zamian za sprzęt i żywność. Dodatkowym źródłem finansowania himalaizmu – oraz zarobku dla himalaistów, którzy na czas kilkutygodniowego wyjazdu brali w pracy bezpłatne urlopy – był handel, czasami wręcz przemysł. Za granicą sprzedali

Jawne porażki, tajne sukcesy

KSIĄŻKI



WERONIKA GÓRSKA

wali polskie kryształki czy wódkę, a z Pakistanu i Indii przywozili ubrania, figurki hinduskich bóstw oraz inne pamiątki, które sprzedawali z zyskiem w Warszawie lub Katowicach. Po ogłoszeniu stanu wojennego w 1981 roku otrzymanie paszportów stało się jeszcze trudniejsze, a himalaistów ogarnęły wątpliwości, czy wyprawa w góry w tak trudnym momencie jest moralna.

Mimo wszystkich przeciwności, do których należy doliczyć złamaną nogę Wandy Rutkiewicz, w 1982 roku pod K2 pojechały dwie polskie ekipy – żeńska (wraz z koleżanką z Francji), zorganizowana przez Wandę Rutkiewicz (ze względu na kontuzję nie brała udziału w akcji górskiej) oraz męska (wraz z kolegami z Meksyku), pod przewodnictwem Janusza Kurczaba. Każda z nich miała zdobywać górę inną trasą. Paniom zależało na „czysto kobiecych” wejściach, którymi dowodziły, że potrafią nie tylko się wspiąć, ale też samodzielnie ocenić własne siły i warunki atmosferyczne, orientować się w terenie oraz podejmować decyzje organizacyjne. Dlatego, gdy Jerzy Kukuczka i Wojciech Kurtyka – nie mogąc liczyć na uzyskanie osobnego pozwolenia na wejście na K2 – poprosili Wandę Rutkiewicz o dołączenie do grupy, zgodziła się, by zrobili to łącznie jako fotografowie. Działalność górską mieli prowadzić samodzielnie, nie wchodząc koleżankom w drogę. Kukuczka i Kurtyka warunek ten odpowiadał. Woleli wspiąć się tylko w dwójkę, w stylu alpejskim, zamiast w liczny towarzyszy koleżanki z ekipy Janusza Kurczaba, nadal hołdujących stylowi obłężniczemu. Zresztą sam kierownik wyprawy nie życzył sobie „indywidualistów” w zespole.

W ramach treningu, aklimatyzacji oraz rekonesansu czynionego z myślą o przyszłych wyprawach, Jerzy Kukuczka i Wojciech Kurtyka wspinali się na sąsiadujący z K2 Broad Peak. Szło im tak dobrze, że postanowili osiągnąć wierzchołek. Ponieważ jednak pozwolenie pakistańskich władz obejmowało działalność jedynie w niższych partiach góry,

nie mogli oficjalnie pochwalić się tym osiągnięciem. W kolejnym roku wrócili na Broad Peak i dokonali jego trawersu. W wyprawowych zapiskach Jerzego Kukuczki himalaizm jawi się jako ogromny znój, zmaganie nie tylko z surową przyrodą, ale również z własnym organizmem, reagującym na tak znaczną wysokość osłabieniem i torsjami. Kukuczka aklimatyzował się wolniej od innych himalaistów, zatem na szczyt wszedł niemal dwie godziny później niż Kurtyka, ostatkiem sił.

Tajny sukces Kukuczki i Kurtyki był jedynym osiągnięciem przez polskich himalaistów w 1982 roku. Ani ta dwójka, ani nikt z uczestników wypraw Kurczaba i Rutkiewicz nie zdołał wejść na K2. Częściowo zawiniły warunki pogodowe (silny wiatr w wyższych partiach góry), a częściowo – podkopująca morale, zwłaszcza kobiecego zespołu – śmierć (we śnie, prawdopodobnie z powodu choroby wysokościowej) Haliny Krüger-Syrokomskiej. Jerzy Kukuczka stanął na szczycie K2 dopiero cztery lata później, wyznaczając nową trasę razem z Tadeuszem Piotrowskim, który niestety zginął podczas zejścia.

(*Nie*)zdojta góra. *Broad Peak i K2'82* pozostawia niedosyt. Po jej lekturze chciałoby się dowiedzieć czegoś więcej – zarówno o opisanych wyprawach, jak też o innych. O trudnościach – politycznych, ekonomicznych, a także tych ze strony wysokogórskiej przyrody oraz własnego organizmu – z jakimi zmagali się twórcy złotej ery polskiego himalaizmu. A także o tym, na czym polega magia gór, ze względu na którą nie spoczęli, nim nie przełamali trudności. Na szczęście, literatura górską co roku wzbogaca się o kolejne tytuły, zatem jest gdzie szukać odpowiedzi na te pytania. ■

Jerzy Kukuczka, Ilona Chylińska, (*Nie*)zdojta góra. *Broad Peak i K2'82*, seria *Z archiwum Jerzego Kukuczki*, tom 3, Fundacja Wielki Człowiek, Katowice 2022, s. 128.

Katarzyna Niesporek-Klanowska w książce zatytułowanej *Poezja, wyobraźnia, Śląsk. Szkice* łączy światy poetyckie współczesnych twórców pochodzących z Górnego Śląska, Zagłębia Dąbrowskiego i tych, którzy na Śląsk przybyli i się z nim związali (Tadeusz Różewicz, Felix Netz, Marian Kisiel) w swoiste uniwersum. Ich „światy poetyckie” (część tekstów pochodzi bowiem z serii publikowanej w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” o takim „wspólnym tytule”) stanowią swoistą mozaikę, dzięki której badaczka poezji związanej ze Śląskiem pokazuje różnorodność poetyckich prób i doświadczeń. Prymarną kategorią tego oglądu jest wyobraźnia poetycka i to zarówno po stronie twórców – nadawców tekstów, jak i czytelników – odbiorców. „Niniejsza książka – pisze w *Wstępie* Niesporek-Klanowska – ukazuje spotkanie poety z czytelnikiem i światy poetyckie, które wspólnie, dzięki zdolności do imaginacji, zostały w nich wytworzone”. Autorka dla zaprezentowania swojej tezy wybiera cztery odmienne reprezentacje funkcjonowania tak rozumianej wyobraźni.

Pierwszy, zatytułowany *Śląsk utracony?*, poznajemy na przykładzie twórczości dwóch poetów emigracyjnych: Floriana Śmiei i Jana Dąrowskiego. Urodzeni w dwudziestoleciu międzywojennym, zrządzeniem losu opuścili ojczyznę najbliższą i z oddali – zarówno w kategoriach czasu i przestrzeni – patrzą na tę, którą „fizycznie” utracili. Trwa ona jednak – jak zauważa Niesporek-Klanowska – w ich wspomnieniach. „Wyobraźnia nie tylko pozwala im zachować dawne strony i okolice w nienaruszonym stanie, zapomnieć o ich mankamentach, ale także nieustannie do nich powracać. Powroty te przynoszą ulgę zadany wcześniej przez historię ranom, które zmieniły dzieciństwo i młodość poetów”. Wyobraźnia poetycka ma tu zatem moc ocalania oraz pewnej kreacji wspomnień, także o charakterze wartościującym, które jak zauważa badaczka: „przynosiło im większe poczucie bezpieczeństwa, dawało o wiele więcej przyjemności i korzyści, aniżeli realny, zawsze bardziej ryzykowny powrót do niej”.

Kolejna odsłona wyobraźni twórczej obejmuje poezję Tadeusza Różewicza, Stanisława Horaka i Feliksa Netza. Drugi krąg tematyczny opatrzyła autorka tytułem *Dom*, mając na myśli bezpieczną przestrzeń najbliższą. Owo „terytorium serca” zostaje jednak wystawione u wymienionych autorów na próbę związaną ze wspomnieniami wojennymi, które mir owego pierwotnego azylu zmieniają już na zawsze, bowiem, jak stwierdza Katarzyna Niesporek-Klanowska: „Większość prób przekształcania w kojarzące się z czymś dobrym obrazy kończy się niepowodzeniem. Wspominanie, sięganie pamięcią do przeszłości, a tym samym różne wyobrażenia nie mają tu zatem działania «Dobroczynnego». Przeciwnie: przetworzone przez imaginację duchy przeszłości stają się bardziej niebezpieczne, przenikają istotną część rzeczywistości, w której podmioty zaczynają błędzić i przestają się odnajdywać. Za ich sprawą w domowej przestrzeni panuje nieustanna ciższa, milczenie, lęk, strach, dezorientacja, doświadczenie braku i straty, przecucie nadchodzącej śmierci, bezsenność, ciemność, noc”. Jednak czy sama poetycka imaginacja, jakkolwiek

Śląskie światy poetyckie

KSIAŻKI

byłaby bolesna, nie stanowi sposobu radzenia sobie z przeszłością, a poprzez to i teraźniejszością jednocześnie? Czy nie oswoja Różewiczowskiej powojennej „ciszy” domu: pozwalając w wyobraźni paradoksalnie nad nią panować i osadzić w przestrzeni wiersza? Nazwać, skonfrontować z milczącą „jeszcze” radością, uzmysłowić, wydobyć, przemysleć? Różewicz przecież – paradoksalnie – „nazywając” milczenie, sobie i jemu więcej milczeć nie pozwala, co więcej przemawia także w imieniu innych „ocalonych”. Gdyby zaprząć do odczytania zadań owej wyobraźni kategorii spoza dyskursu literackiego, można by odnieść wrażenie, że jej kondycja przypomina elementy związane z pojawieniem się zespołu stresu pourazowego, dające w ten sposób odpór tragizmowi doświadczanej rzeczywistości poprzez „wysłowienie” traumatyzującego doświadczenia naznaczającego egzystencję, ale i początek myślenia o „jutrze”, które u Różewicza, podobnie jak u Baczyńskiego wyrażało się w obrazie natury i jej nieustannych cyklów życia (tu wiosny) i śmierci (zimy). Inaczej wyobraźnia poetycka buduje dom w poezji Feliksa Netza. Jak zauważa autorka za innymi badaczami (Tadeusz Klak, Barbara Zwolińska): „Dokonująca się zagłada lasu w tej liryce jest [...] metonimią rozpadającego się czy utraconego domu dzieciństwa. [...] tam gdzie nie ma lasu, nie ma też domu”.

Kolejna odsłona poetyckiej wyobraźni stanowią *Relacje, związki*, bo tak zatytułowała autorka trzeci rozdział książki. Przedmiotem badawczej refleksji jest w nich poezja Edwarda Zymana, Mariana Kisiele i ks. Jerzego Szymika. U pierwszego z poetów ukazany zostanie adresat literackiej wyobraźni, relacje „ja” i „ty” w „tu i teraz”. Obraz poezji autora *Kronik Nocy* skupi się na wątkach tanatologicznych, zaś ogląd poezji w sutannie dotyczył będzie kobiet. Łącząc owe trzy światy poetyckie autorka zbliża „do siebie” poetów: „którzy wyobraźnie



PIOTR SKOWRONEK

wykorzystują do oswojenia rzeczy, zjawisk, person strasznych, przerażających, przebiegłych, mających władzę nad człowiekiem, w rzeczywistości wciąż przez wielu nieoswojonych, w znaczący sposób wypieranych bądź nieustannie oddalanych ze świadomości. Na pierwszy plan zostaje tutaj wysunięta twórcza i stale aktywna funkcja niereczywistości, która pozwala tworzyć obrazy poetyckie, istniejące tylko w podmiotowej rzeczywistości”. Dodajmy, że ważne jest także zderzenie owych tekstów niejako z sobą w ujęciu celu, jaki stawia przed sobą publikacja. Do tej pory funkcjonowały bowiem osobno jako części składowe tomów, obejmujących swoim zasięgiem większą część twórczości poszczególnych poetów, nierzadko stanowiąc jeden z aspektów obrazu monograficznego ich twórczości. Obecnie rolę nadrzędną ich odczytania jest postawiona przez badaczkę problematyka tomu. Jak ujął to recenzent, prof. Adrian Gień, książka: „stanowi osobną intelektualną podróż do źródeł, do sedna językowych i kulturowych sensów zawartych w czytanych przez badaczkę wierszach współczesnych poetów związanych ze Śląskiem. [...] Zawarte w ich obrębie rozważania i interpretacje [...] uważam za godne uwagi, gruntownie przeprowadzone studia na fenomenem poszczególnych przestrzeni poetyckich jednej strony i fundamentalnymi problemami ontologii słowa poetyckiego z drugiej”. Czytelnik zaś otrzymuje poddany badawczej próbie obraz współczesnej poezji śląskiej o różnych odcieniach i dominantach tematycznych, i odkrywa jej wieloraką, także metafizyczną przestrzeń. ■

Katarzyna Niesporek-Klanowska, *Poezja, wyobraźnia, Śląsk. Szkice*, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2022, s. 288.

Blizna

Miejsce urodzenia nas określa, daje nam pejzaż, przedmioty, zapach, język, obrazy, okaleczenia. Wszystko to tworzy wyjątkową opowieść o naszym świecie, z którego wyrastamy.

Fenomen blizny rozważam w aspekcie osobistym i zbiorowym. Konkretna wspólnota w ujęciu rodzinnym i społecznym miała wpływ na moją tożsamość. Interesują mnie zranienia widoczne – cielesne i te ukryte – psychiczne. Oba są związane z miejscem i z nim rezonują. Prace tworzące cykl *Auto-da-fé* są próbą odpowiedzi na pytanie o zaistnienie mojej blizny, którą mi zadano, a która paradoksalnie dała mi życie. Jest wyrazem mojej lojalności wobec dziedzicznej „siedziby”. Wydobywam z otaczającej mnie rzeczywistości elementy i kształty, które nadadzą formę moim przeżyciom. Niszczące bramy, okna, klatki schodowe, które dawno mają za sobą czas świetności, puste wnętrza, krzesła, cegła, kamień, stłuczona szyba, stają się dla mnie swoistym surrogatem do budowania intymnej narracji. Obiekt uaktywnia we mnie wspomnienia i przeżycia, pozostawia w mojej wyobraźni swój obraz, który odtwarzam przymykając oczy.

Relacja, jaka zachodzi między mną a wybranymi obiektami ma charakter symbiotyczny. Szczególne emocje wywołują we mnie obiekty opuszczone, zdezastrowane, pozbawione swojej funkcji. Nieistotne, bo nieużyteczne, często sprowadzone do roli muzealnego eksponatu. Obiekty zniszczone, „niepiękne”, stają się nieme, gdyż znajdują się poza wspólnotową narracją. „Niewidzialne”, ponieważ ich obraz przestaje istnieć w życiu społecznym. Stanowią dla mnie metaforę naszej kruchości.

Przywracając opowieść miejsca czy obiektu, istotny jest dla mnie nie tylko ogólny jego wygląd, ale również szczegół – spękane ściany, które obnażają stalowy szkielet architektoniczny, ślad po wojnie, uszkodzenia, wtyłki. Detal umożliwia mi eksplorację wartości śladu graficznego oraz wzbogacenie przekazu.

Oszpecenie, brzydota, stają się dla mnie bazą treściową do podjęcia działań artystycznych. Proces twórczy pozwala oswoić się z okaleczeniem, nadać niedoskonałości nowy wyraz. Uświadamia nam, że każda blizna, niedoskonałość, czy to przedmiotu, czy naszego życiorysu, jest cenna i ma znaczenie.

W eseju *Spadające myśli. O istocie artystycznej kreacji*, użyłam sformułowania, że artysta jest nożem i raną. Rana to „szczelina”, poprzez którą możemy wejść w głąb i zobaczyć co jest pod powierzchnią. Stwierdzenie to określa relacje jakie zachodzą między twórcą a rzeczywistością, między dziełem a jego autorem. Artysta jest jednocześnie narzędziem i materiałem oraz w pewnym stopniu rezultatem swojej twórczości. Wskazu-

Auto-da-fé

O pewnej idei artystycznej

WERONIKA SIUPKA

je na wystąpienie napięcia między działaniem, a jego skutkiem. Twórczość jest stanem bycia w permanentnym napięciu psychicznym i fizycznym. Artysta podtrzymuje ten stan poprzez ciągłą gotowość do przyjęcia obrazów, które niesie mu rzeczywistość. W procesie twórczym następuje otwarcie rany, aby ją oczyścić z martwej, uszkodzonej lub zainfekowanej tkanki bolesnych i tragicznych treści.

Rana to krew, a ona jest symbolem ofiary, oczyszczenia, męczeństwa, wtańczenia, pokrewieństwa (tożsamość). Reprezentuje siłę emocjonalną, instynktowną. Wchodzimy w tym momencie w kulturę przestrzeni działania archetypicznej figury Dionizosa, który jest reprezentowany przez symbol krwi, wody, śluzu. Bóstwo ujawnia się w rytuałach (orgie, szaf bachiczny), w zaprzeczeniu i przekraczaniu norm społecznych miejsca – *polis*. Zawiera w sobie paradoks, ponieważ jego przymiotami są zniszczenie i odrodzenie, entuzjazm i strach. Jest bóstwem tragedii (pieśń koła), która funduje sztukę.

Wszyscy mamy blizny. Niektóre powstały w wyniku wypadku, inne zrobiliśmy sobie sami. Blizna oznacza zadanie ciosu, a następnie miejsce po uderzeniu, związana jest z negatywną ingerencją z zewnątrz na nasze ciało lub psychikę. To ubytek tkanki i ślad zarażenia tego uszczerbku.

Rozcięcie w wyniku traumatyczne zdarzenia po pewnym czasie zrasta się. Dokonuje się próba racjonalizacji i oswojenia przykrego zajścia. „Duch walczy, ściera się, przepoczwarza, wyczerpuje swoje kolejne formy i porzuca je za sobą, konsekwentnie przybliżając się do momentu absolutnego. W trakcie tego pochodzenia sam sobie zadaje rany. Albo inaczej: sam jest raną, która najpierw otwiera się w łonie natury, by zainicjować progres, a następnie goi się i znika”. Zabliznione rany duchowe cechuje zdolność do odnawiania się, a wtedy mogą boleć z większą siłą. Może to wzbudzić imperatyw do twórczego działania, ale również uaktywnić moce autodestrukcyjne.

Mówimy często, że nosimy blizny, czyli „ubrani” jesteśmy w naszą osobistą historię. Jak twierdził Bias z Prieny, wszystko, co posiadam, noszę ze sobą. Uogólniając, blizna to symbol pamięci o przeszłości.

Skaza wyróżnia, ale też naznacza. Zadałano ją m.in. niewolnikom, zdrajcom, przestępcom. Jej znaczenie w kulturze zazwyczaj związana jest z egzemplifikacją zła, noszą ją czarne charaktery, a nie super-bohaterowie. (Niektórzy bibliści uznają, że naznaczenie Kaina przez Boga było nadaniem bratobójcy znaku – blizny).

W słowie blizna wybrzmiewa praindoeuropejski pierwiastek *bh lig*, który znajdziemy w wyrazach ubliżyć, bliskość i bliźni. Szerokie pole znaczeniowe wyrażenia jest istotne, bo zawiera wszystkie elementy treściowe, które chciałam zawrzeć w cyklu. Poznanie, to zbliżanie się do obiektu, atencja związana z bliskością bycia przy nim, spotkanie, czyli ukierunkowanie swoich działań twórczych na bycie z drugą osobą – bliźnim.

A zatem blizna postrzegana jako wartość, a nie defekt. Szczególny zapis historii, ślad incydentu, brawury, choroby. W cywilizacji zachodniej często ukrywana, bo oszpeca nasze ciało, nieakceptowana, bo przekracza normy estetyczne danej wspólnoty społecznej.

Numinosum

Przebiecie maski uładzonej codzienności, wyraża się w dostrzeganiu jej cech istotowych, symbolicznych (*ver más*). Daje mi podstawę do stawiania pytań o sens i prawdę w twórczym działaniu.

Możliwość rozpoznawania obrazów w świecie jest związana z umiejętnością rozpoznania różnic istniejących między formą i materią, wyglądem a bytem. To podkreśla epistemiczny charakter działań twórczych.

Zauważona i wybrana z rzeczywistości rzecz posiada cechy numinotyczne, wzbudzające w nas ambiwalentne uczucia przerażenia i uniesienia, lęku i zachwyty, grozy połączonej z fascynacją. Moim zdaniem jest chwilową zdolnością widzenia „więcej”, wynika z nadaktywności duchowej (nadwrażliwość, intuicja). Miejsce lub obiekt wprowadza nas w stan oczarowania. Jest to zdarzenie paradoksalne dla artysty, gdyż jest sumą doświadczenia cech widzialnych rzeczy, połączoną z przeżyciem treści niewidzialnych.

Doświadczenie numinalne jest niezależne od naszej woli. Przedmiot jest desygmatem wywołującym w nas przebudzenie świadomości, które daje impuls do twórczego działania. To doznanie wy-

trąca nas z równowagi, tracimy balans emocjonalny. Aktywność twórcza pozwala ujarzmić to szczególne wrazenie, które jest przekroczeniem „stanu rzeczy”. Moim zdaniem działanie artystyczne są w swej istocie lateralne, gdyż są grą między intelektem a wyobraźnią (rozumianą jako forma pamięci) i emocjami, które współtworzą proces twórczy. Rozumowy wybór elementów tworzących kompozycję plastyczną wiąże się z rozpoznaniem tych cech, które mogą być zastosowane w danym układzie dwuwymiarowej koncepcji plastycznej.

Intencją twórczych zabiegów jest uzupełnienie braków wynikłych z nieprecyzyjności postrzeżenia. W tym akcie ważną rolę odgrywa osąd, który definiuje, racjonalizuje oraz hierarchizuje ważność wydobytych danych. W rezultacie otrzymujemy szkielet pomysłu plastycznego. Jest aktywnością spajającą i syntetyzującą wyobraźnię i doświadczenie, której efektem jest ukonkretniona koncepcja artystyczna. Procesowi syntezy towarzyszy bardzo silna świadomość spontaniczności. Intuicyjnie wprowadzam klasyfikację wizualnych jakości, aby wydobyć z nich cechy użytkowe, użyteczne dla zbudowania dzieła. W koncepcji artystycznej podstawowym celem mojego działania jest osiągnięcie optymalnego rozwiązania formalnego. Kompozycja to układ form, ich wzajemne relacje przestrzenne, które tworzą strukturę obrazu. Budowa wizualnego układu na płaszczyźnie pozbawiona jest emocji, stanowi matematyczny wynik, gdzie geometria wykreśla stosunki form w przestrzeni⁸. Konstrukcja dzieła odbywa się poprzez określenie zależności wymiarowych między poszczególnymi formami – lokacja, proporcje (złoty podział), wprowadzenie elementów ruchu – kierunek, rytm, przenikanie oraz generowanie napięcia między nimi. Relacje między formami wyrażają się w kontraście, różnorodności i repetycji. Struktura i faktura materii tworzy jej morfologię.

Forma nadaje ciężar gatunkowy sztuce. Można powiedzieć, za Flaubertem, że nie ma idei bez formy, ani formy bez idei. Jest owocem decyzji umotywowanej – myślą o esencji rzeczy, która prowadzi do ukierunkowanego działania, nazywającego i definiującego poszczególne jej części. Kompozycja rozumiana jako całość jest zestawem wyabstrahowanych form, wzajemnie na siebie oddziałujących. Kolektywna dialektyka składników daje nam w rezultacie jednorodną, całościową konfigurację artystyczną. Wytyczenie punktu docelowego wiąże się z wyborem tworzywa niematerialnego. Może nim być konkretne przeżycie, ludzki czy społeczny dramat. Tworzywo nie definiuje dzieła – jest treścią poddaną obróbce, przetwarzaną dla potrzeb wybranej

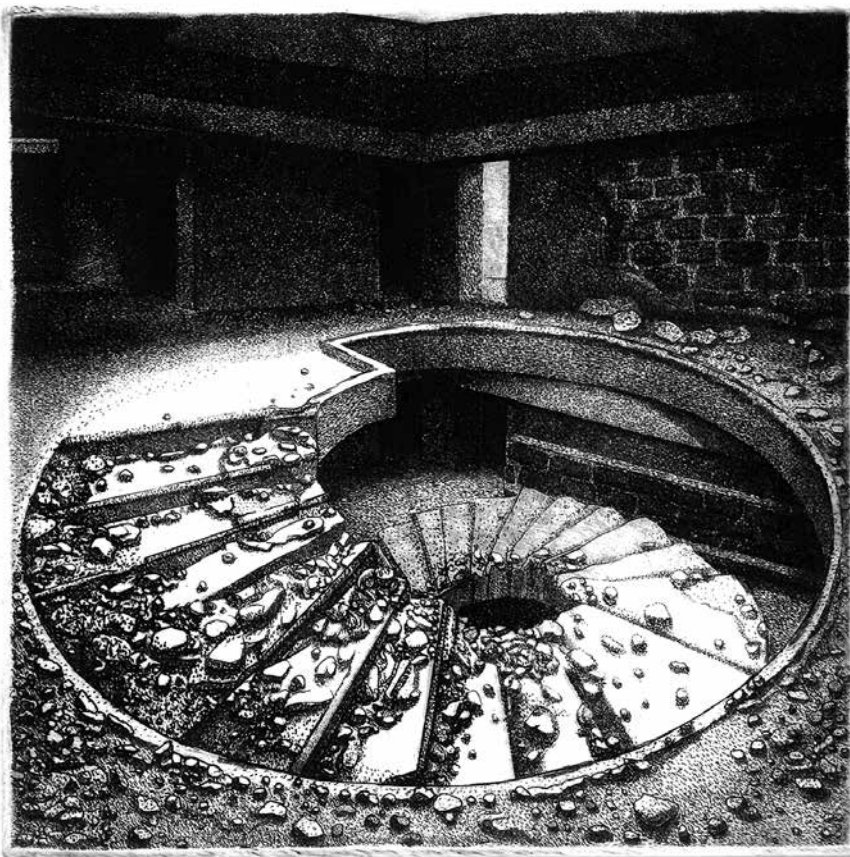
idei. Etap ten możemy określić jako rozumowe zaanektowanie treści do procesu kreacji.

Obraz graficzny traktuję jako kondensację mojego doświadczenia rzeczywistości. W obranej przeze mnie metodzie działania można wyróżnić następujące zabiegi formalne: sublimacja i transpozycja obiektu oraz idealizacja, prowadząca do jego symbolizacji i transfiguracji. Poprzez zachwyty i atencję wywołaną przez desygnat, następuje całościowa sublimacja obiektu, która przebiega od rozpoznania jego własności fizycznych, po intuicyjne odczytywanie wartości metafizycznych, które zainicjował w mojej wyobraźni. Następnie dokonuje transpozycji obiektu, umieszczając go w przestrzeni wypracowanej ze zbędnych elementów wizualnych, mogących zakłócić przekaz jego wizerunku. Idealizacja wiąże się z uwypukleniem określonych cech obiektu, które są w danej kompozycji istotne. W efekcie otrzymuję formę symboliczną.

W cyklu *Auto-da-fé*, wykorzystuję symbole utrwalone w naszej kulturze. Rozszerza to kontekst treściowy i interpretacyjny funkcjonowania dzieła, a jego znaczenie staje się uniwersalne.

Krzeseł, przedstawione na odbitce graficznej, staje się bardziej krzesłem niż w rzeczywistości. **Brama** symbolizuje przejście z jednego stanu w drugi, jest znakiem granicy, otwarcia lub zamknięcia. Oznacza narodziny, odrodzenie, kobiecość, obwarowanie. Rozdziela dwa światy, wyraża nieodwracalność

przejścia między nimi. **Drzwi** symbolizują przejście między światłem a ciemnością, życiem a śmiercią, światem ziemskim a światem sakralnym, wyobrażają początek i koniec. **Okno** reprezentuje nowe horyzonty, otwartość na świat, odkrywanie. **Ściana** symbolizuje niekiedy potrzebę bezpieczeństwa, ale może również oznaczać, zastój, brak rozwoju. **Schody** w ikonografii nawiązują do mozolnej wędrówki, dążenia do celu, pracy nad samym sobą. Oznaczają przejście granicy, tajemnicy. Symbol **kamienia**, łączony jest ze szczęściem, ziemią, nieczułością, jałowością, martwością, karą, bólem, śmiercią, kalectwem, zniszczeniem. Symbol **wody** wiążemy z chaosem, zmiennością, niestałością, przeobrażeniem, odrodzeniem ciała i ducha, zmartwychwstaniem, oczyszczeniem, zapomnieniem. Woda w wielu wierzeniach to materia pierwotna, podstawa wszechrzeczy, początek przyrody i wszystkiego, co żyje. Rzeka to podróż, życie, wytnienie, odrodzenie, wpływ czasu. **Światło** symbolizuje wieczność, bezcielesność, niematerialność, ducha, życie, objawienie, świętość, radość, natchnienie, intuicję. **Koło** wyraża absolut, boskość, prawo, nieskończoność, wieczność, doskonałość, wewnętrzną jedność, harmonię, równowagę, kompletność, pierwiastek duchowy, pierwiastek żeński, czas. **Elipsa**, jako szczególny okrąg, obrazuje wiedzę i niewiedzę. Absolut, doskonałość, wszechświat, ziemię, przestrzeń, zakotwiczenie, przypisywane są formie kwadratu.



Weronika Siupka, *Terminus IV* etching, 10 x10 cm, 2021

Symbol

Język sztuki to szczególne formy symboliczne, wynikające z duchowego ujmowania świata. Bierze początek z syntety, która jest odnajdywaniem jedności w wielości informacji, jakie dostarcza nam nasza przestrzeń życiowa.

Aktywność przedstawienia symbolicznego związana jest z aktem partycypacji, rozumianej nie tylko jako odczytanie wizerunku obiektu, ale jego roli w aktywizacji *sacrum* – sztuka istnieje w tej konstelacji. Symbol jako metaprzekaz, odsyła nas do niematerialnej idei, która stymuluje aktywność artystyczną. Transcendencja jest dla mnie intuicyjnym przeświadczeniem, że przez dane nam doświadczenia, w których uczestniczą przedmioty i architektura, możemy dostrzec coś więcej, co możemy określić mianem przeczucia absolutu. W tym sensie rozumiem swoją rolę jako podmiotu, który konfiguruje przekaz.

Moim zdaniem twórczość to wyobrażenie istnienia, jakiegoś większego „porządku”, do którego się zmierza. Nie jest związane z religią czy wiarą w istnienie najwyższego osobowego lub nieosobowego bytu, ale raczej z przeświadczeniem, że sztuka daje nam możliwość przekroczenia swoich możliwości, a jednocześnie wzbogaca istotę naszego wnętrza i wpływa na pozytywną zmianę drugiego człowieka.

Obraz jako kazus wizualny jest rzeczywistością, która wyrasta przed nami (obraz przedmiotu lub dzieła). Ma on cechy autoteliczne, jest wartością, pod względem formalnym i treściowym, samą w sobie. Zbudowany jest z części

dookreślonej (widzialnej) – układ form, rytm, kierunek napięć oraz z części nie-dookreślonej (niewidzialnej), która stanowi prawdziwą wartość i funduje jego bycie. Dzieło artystyczne staje się rzeczywistością osobną i niepodległą. Jako twórca wchodzi w dialektykę z zaistniałym fenomenem, aby następnie zaprosić do rozmowy odbiorcę. W tym spotkaniu twórca – odbiorca również dostrzegam wartość transcendentną sztuki.

Wykorzystuję epifaniczność sztuki dla eksploracji ludzkich doświadczeń związanych ze sferą *numinosum*. W doświadczeniu tym pojawia się szczególnie element tajemnicy – *mysterium*, niesamowitości, odczucie niespotykanej fascynacji, oczarowania, niewytłumaczalnego przyciągania do przedmiotu. *Mysterium*, czyli tajemnica, przekaz bezsłowny, ale pełen treści, którego doświadczamy milcząc, gdyż jest on przeżyciem z jednej strony tragicznym, jak również fascynującym i cudownym.

W *mysterium* artystycznym następuje transformacja rzeczywistości – od konkretnych konotacji z danym miejscem i kształtem, do przetworzenia ich we własną symboliczną formę. Sztuka jest w stanie zawrzeć jednocześnie śmierć i życie, wzrost i upadek, ból i radość. Tworzy momenty przetwarzania emocji, nadając znaczenie naszym działaniom. Poznanie estetyczne nie podlega rygorowi czasu, jest poza nim.

Artystyczne działania wywołują u twórcy stan *katharsis*, który poprzez proces wizualnego nazwania i przepracowania przeżyć w metaforycznym obrazie, pozwala zagoić duchowe rany. Następuje

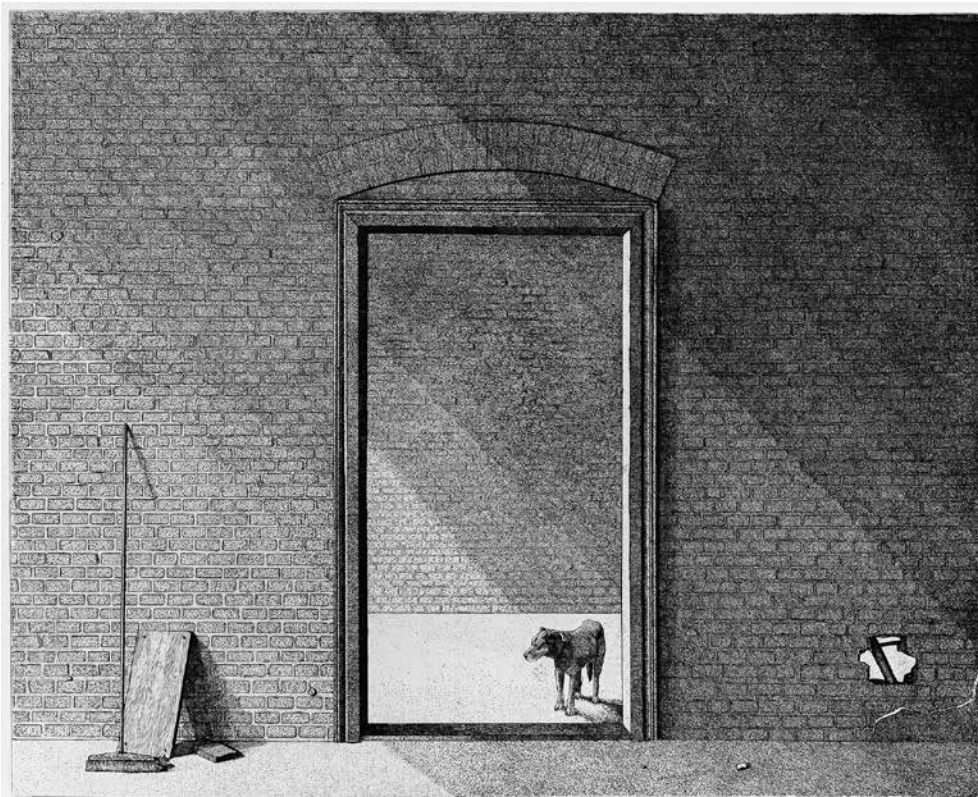
ich oswojenie i akceptacja – estetyzacja pamięci (rozumowe dążenie do piękna – harmonii). Zgadnam się z twierdzeniem Heraklita, że oczy są lepszymi świadkami niż uszy.

Tworzenie cyklu jest działaniem planowym – narratywizacją obrazu. Łączę wizualną opowieść o obiektach z moją osobistą historią. Grafiki stanowią subiektywny pamiętnik chwil i emocji, które chciałam zatrzymać w obrazie. Struktura narracji powstaje poprzez prymarną rolę podmiotu (człowieka). Jest naturalną formą analizy prowadzącej do poznania siebie, świata i dzielenia się tym doświadczeniem z innymi (wspólnota). A zatem pozwala postawić tezę, że ma własności epistemologiczne. Odgrywa również ważną rolę w procesie konstruowania tożsamości, która tworzy się z połączenia czasu intersubiektywnego i biograficznego.

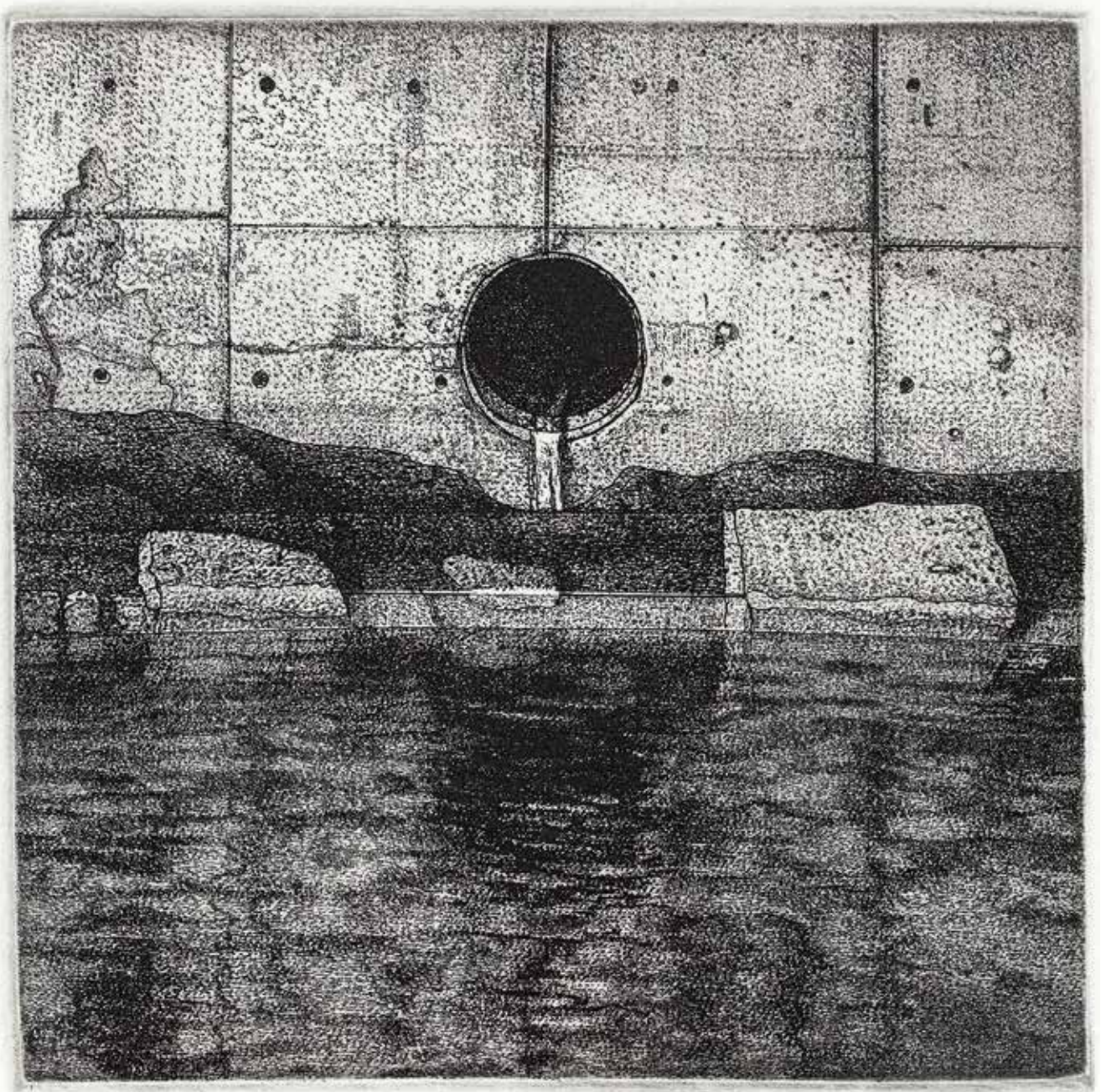
Poprzez tworzenie zestawu współdziałających w przekazie wizualnym prac, szukam powiązań pomiędzy działaniami artystycznymi, a pamięcią autobiograficzną. Cykl jest formą artykulacji własnych doświadczeń oraz ich komentarzem. Należy nadmienić, że narracja obrazu powinna być definiowana nie tylko poprzez czytelną opowieść wizualną, ale poprzez wprowadzenie „pustki”, która wynika z niedopowiedzenia i przemilczenia. W ten sposób pozostawiam widzowi przestrzeń do interpretacji, umożliwiam swobodne dopowiedzenie treści, które narosną na podstawowym przekazie dzieła – metanarracja.

Nie bez znaczenia w tworzeniu cyklu jest wybór tytułów dla poszczególnych dzieł, które mają zadanie poszerzyć ich kontekst znaczeniowy. Tytuły poszczególnych grafik są elementem współtworzącym opowieść. Często pojawiają się przed lub w trakcie budowania koncepcji plastycznych. Są nadaniem imienia dziełu, w którym rezonuje konkretny ciężar i rodzaj przekazywanych treści. Nadanie nazw obrazom jest odwołaniem się do pewnej ogólności, supremacji otwierającej kontekst znaczeniowy i interpretacyjny. Staje się zakłębieniem, które ma chronić wewnętrzny wizerunek dzieła.

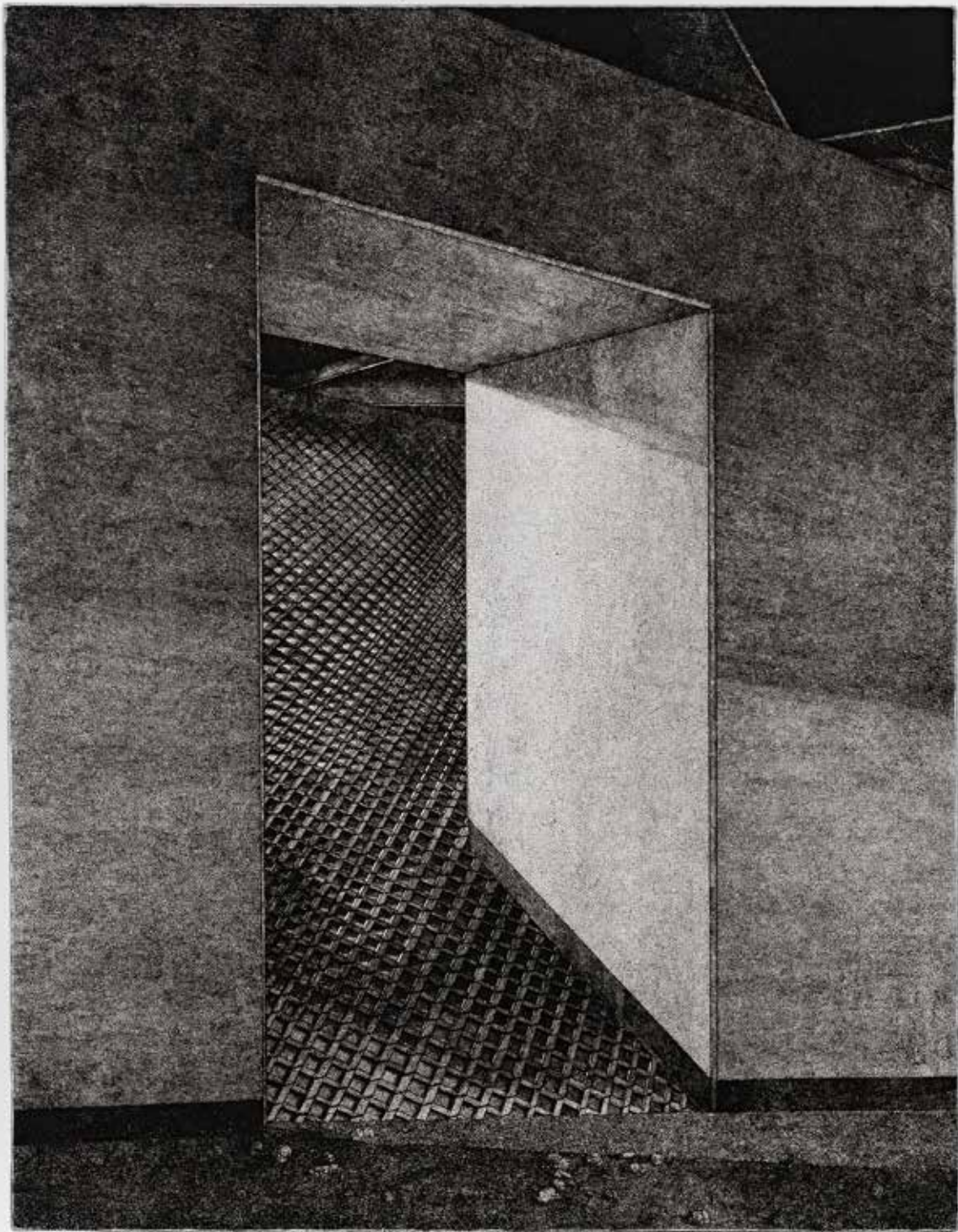
Świadomość pewnej „ułamności”, niekompletności efektu artystycznego, wynikającego z niemożności zobrazowania w pełni konkretnego przeżycia, wpływa na moją nieustanną potrzebę realizacji kolejnych grafik. Niedośloność popycha mnie do podjęcia kolejnej próby stworzenia dzieła o idealnym wyrazie i perfekcyjnym warsztacie.



Weronika Siupka, *Transiebat*, akwaforta, 61,5 x 49,5 cm, 2018



Weronika Siupka, *Flumine*, akwaforta, 10 x 10 cm, 2019



akwaforta „Dziwne światło”

E.A.

100 Weronika Siupka

2015

Weronika Siupka, *Dziwne światło*, akwaforta, 37,8 x 48,6 cm, 2015

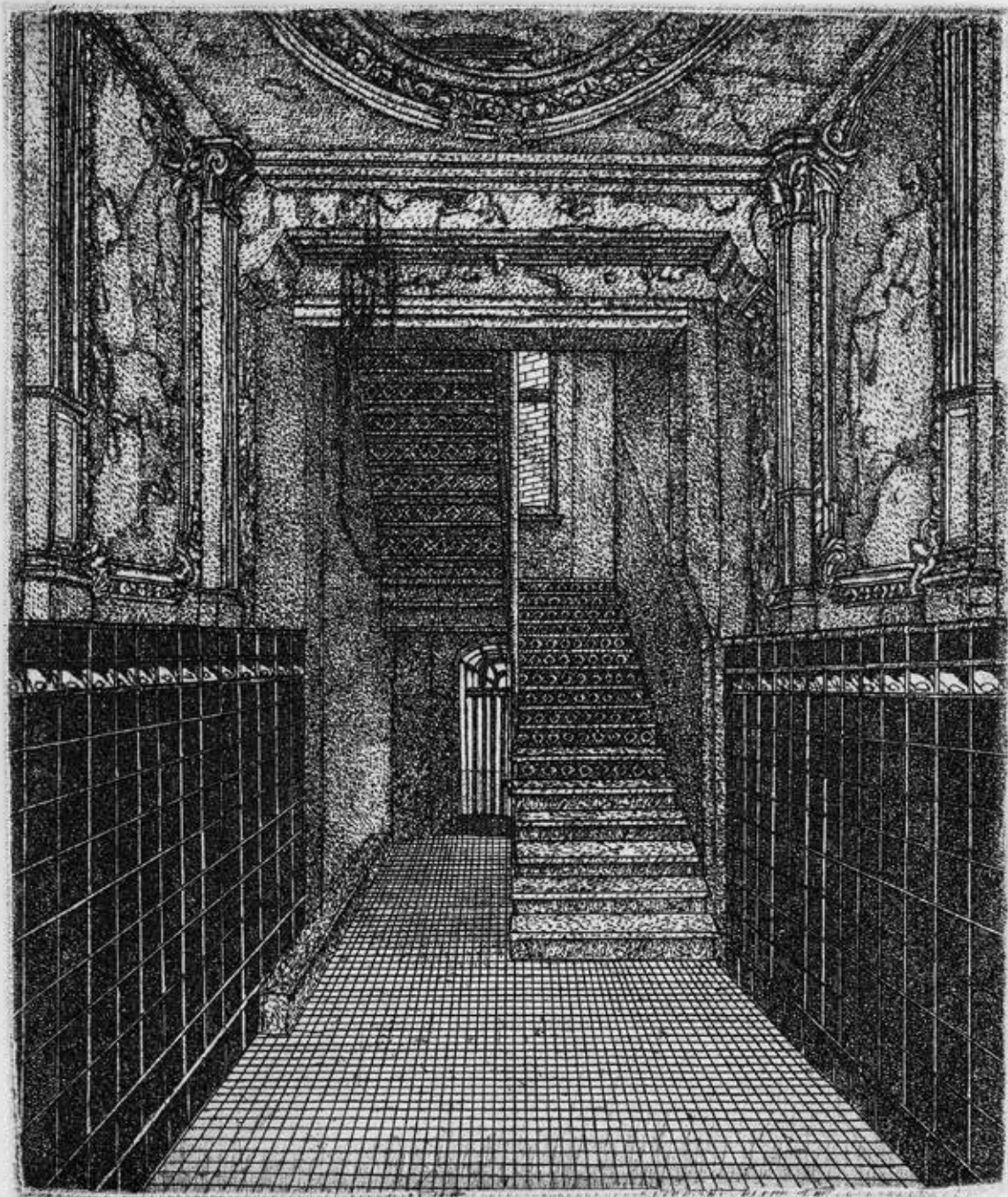


etching
"Bunkier I"

2/50

imp. Weronika
Simple 18

Weronika Siupka, Bunkier I, akwaforta, 10 x 10 cm, 2018



skwefone B. A. T. i up. Weronika Siupka
"Klatka schodowa"
2014

Weronika Siupka, Klatka schodowa, akwaforta, 8 x 9,8 cm, 2014

Dźwięczna nić Adrianny

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



fol. Patryk Petersson

To jest bardzo dobra muzyka. Autorka skomponowała ją ze świadomością wagi, jaką niesie w sobie decyzja o podjęciu twórczego wysiłku. Świat nie chce nowych dzieł; nie jest ciekaw nowych, istotnych estetycznych doświadczeń i wrażeń; unika nowych pytań, które okazałyby się duchowymi wyzwaniem w sferze heurystycznych i hermeneutycznych wartości. Jak nigdy przedtem, świat obojętnie lekce sobie waży potrzebę – niby immanentną, ale teraz chyba tylko dla naiwnych idealistów – nieustannej penetracji najgłębszego, najdalszego wnętrza jestestwa: ontologiczną refleksję nad naszym przeznaczeniem tu i w przestrzeni wszechświata zastępuje powierzchowny *ersatz* politycznej poprawności – plantacji pojęciowych chwastów, które plenią się jak szalone, bo nie ma nic wygodniejszego niż akceptacja i promocja samozadowolonej, gruboskórnej bezmyślności. Podobnie jak u nazistów i sowietów oskarżyć cię można o wszystko, ale bronić się nie możesz, bo jeśli tylko otworzysz usta – to w mordę. (Niedawno byłem świadkiem, jak młoda, agresywna dziennikarka oskarżyła poważnego, odpowiedzialnego człowieka o rasizm, bo ponoć nieprawidłowo wymówił (nieprawidłowo zaakcentował?) dwa wyrazy: „czarna społeczność” w odniesieniu do osób pochodzenia afrykańskiego. O głowę zachodzę w jaki sposób należy te dwa słowa wypowiedzieć *poprawnie*, aby uniknąć kretynskich oskarżeń. Trudno wyobrazić sobie większy absurd. Pikanterii dodaje całemu zdarzeniu fakt, iż partnerką pana oskarżonego o rasizm jest Nigeryjka, która owa młoda dziennikarka, która oczywiście odmówiła dyskusji na temat swej nieodpowiedzialnej inkryminacji, nie wiedziała. Śmiać się, czy płakać?)

W gąszczu zdarzeń z pierwszych stron internetowych publikacji, nieodmiennie ponurych lub miałych, zanikła chęć (konieczność) *badania* oraz *kwestionowania* rzeczywistości; zamiast niej mamy do czynienia z najzupełniej pozbawionych metafizycznej refleksji wielkim żarciem. Po raz pierwszy historii ludzkość ma do dyspozycji powszechnie dostępne, sprawne narzędzia umożliwiające autoedukację i samo-realizację, tylko że bawi się nimi jak pijane dzieci we mgle.

Każdy przejaw oddania sprawie Piękna należy więc skwapliwie odnotowywać, gdyż coraz trudniej znaleźć ludzi, którzy nie boją się wychodzić poza utarte schematy zachowań społecznych promujące przeciętność i niechęć do działań niestereotypowych.

Może „tak było zawsze”, lecz w dobie dzisiejszej to szczególnie odczuwalne – ponieważ każdego przeraźliwie łatwo zaatakować, opluć, skrytykować, zmanifestować wobec niego nienawiść.

Wróćmy zatem do naszej kompozytorki. Napisałem w pierwszym zdaniu, że jej muzyka jest bardzo dobra. To muzyka, którą, jak powiedziałem, komponuje kobieta świadoma swoich celów, obdarzona pięcioma (z sześciu) cechami, które charakteryzować powinny każdego, kto ma ambicję kreowania ważkiej muzyki: talentem, wyobraźnią, wrażliwością, wirtuozerią (czyli sprawnością techniki kompozytorskiej) i pracowitością. Jeszcze nie sięgnęła poziomu wizjonerstwa, ale kto wie, może to przyjdzie z czasem? (Genialna Barbara Buczówna też zaczynała skromnie.) Na razie jej utwory nie zmieniają toru, którym biegnie muzyka, lecz ładnie wpisują się w nurt najświeższej tradycji, która prowadzi od Debussy’ego, Ravela, Messiaena, Bartóka do Lutosławskiego i Góreckiego. Obce są jej „niemieckie” dźwiękowe tortury i spazmatyczny wyraz. Daje nam za to muzykę, która przedzie się w dźwięku z nieodpartą logiką, niby jedwabna nić. Weźmy pierwszy z brzegu przykład, *Lété* na szesnaście głosów solowych do wiersza Viktora Hugo (2020–2021). Narracja rozwija się niespiesznie, zaczyna się to od rytmicznie dość swobodnej, bezsłownej melodii dwu sopranów; faktura stopniowo gęstnieje; kompozytorka swobodnie panuje nad materiałem, żonglując płaszczyznami spolifonizowanymi, które przeciwstawia sekcjom homofonicznym, regularnie zrytmizowanym lub statycznym, opartym na dźwiękach wydłużonych; z elegancją popisuje się świetnych uchem – rzadko słyszy się tak atrakcyjne, doskonale rozmieszczone przestrzennie i wyważone brzmieniowo dysonansowe harmonie, które w tym przypadku brzmią wręcz eufonicznie. Mógł być ten utwór skomponowany Lutosławski – i od razu okrzyknięto by go dziełem o najwyższej randze.

Wielki talent naszej artystki dał się poznać w *Muzyce* na cztery flety z 2017. To nie żadna „młodzieńcza” kompozycja, lecz bogata, wewnętrznie zróżnicowana, od strony formalnej solidnie zbudowana muzyka, którą bez wahania poleciłbym najbardziej renomowanym kwartetom fletowym.

W *I kwartecie smyczkowym* (2018–2020) słychać wpływy stylistyki i wyrazowości późnych kameralnych dzieł Henryka Miłkołaja Góreckiego, co nie jest zarzutem – muzyka Góreckiego to już klasyka, do któ-

rej, czego jestem pewny, stale nawiązywać będą kompozytorki i kompozytorzy kolejnych, przyszłych pokoleń. Samo dzieło zaczyna się „lekkko”, od jakby punktualistycznych gestów poszczególnych instrumentów, by stopniowo nabrać poważnego, skoncentrowanego charakteru. A przy tym wart pamiętać, że to utwór młodziutkiej jeszcze twórczyni, która urodziła się w Kędzierzynie-Koźlu w roku 1996.

Również w tamtym okresie, między 2018 i 2021, powstały *Preludia* na fortepian, z punktu widzenia dyspozycji materiału, zakomponowana faktury, konstrukcji formy i modelu ekspresji utwór najślimniej przywiązany do starszej tradycji.

Dojrzałym utworem jest *Into the Whale’s Eye* na klarnet basowy i elektronikę na żywo (2020–2021), muzyka subtelna, stonowana, zamysłona, introwertyczna. Kompozytorka zaczyna dość konwencjonalnie, od wdmuchiwanie powietrza w instrument zamiast produkcji pełnego brzmienia. Nie dajmy się jednak zwieść pozorom, albowiem to dopiero początek *budowania* dźwięku jako takiego w ujęciu procesualnym. Elektronika, co warto podkreślić, nie gra roli pierwszoplanowej, nie przygniata klarnetu tylko delikatnie wzbogaca przestrzeń ekspresyjną dzieła.

Spoglądając na daty utworów widzimy, że artystka pracuje wolno, cyzeluje detale, gdyż, jak myślę, w każdym dziele chce zrealizować wszystko, co sobie na samym początku założyła. Lubię tę postawę, świadcząca o dużej odpowiedzialności za muzyczną materię.

Adrianna Kubica-Cypek jest absolwentką katowickiej Akademii (dyplom w klasie Aleksandra Lasonia). Studia kontynuowała w Lyonie, potem w Kopenhadze, gdzie jej nauczycielami byli Niels Rosling-Show oraz Jeppe Just Christensen; tam też mieszka. Komponuje bardzo dobrą muzyką – a najlepsze dzieła jeszcze przed nią.

Ślub Deprofundisa i Omerty*

Deprofundis i Omerta idą do ślubu
biada mi
może dojdą

O! patrz
wszyscy w oknach
wypełniają każdą szczelinę
by coś dojrzeć

już są na zakręcie
biada mi
choć przypominają procesję
biada biada mi

idą do ślubu
ale chcą zmienić ubranie
bo droga ich daleka
wchodzą do oberży – dzisiejszy Motel
Omerta staje przed lustrem
i poprawia makijaż
Deprofundis poszedł się wysikać
i napić piwa

po nocy spędzonej w uściskach odmetów
wyruszyli w drogę
dopadły ich media i roje ciekawskich
nigdy nie widziano takich twarzy i ruchów
takich strojów każda garderoba została pokonana
nowy alkohol gdzieś się rodził na ich przywitanie
oj biada mi biada
ale trzeba się napić Panie
w kurzu ruszyli dalej

teatr ich rozrastał się bo ślubów nie brakowało
a Deprofundis z Omertą w nich przodowali
bo to był wieczny ślub z płaczem ukrytym za płotami
i dziurami w sztachetach jak oczy pamiętliwe

ale Deprofundis i Omerta tym widowiskiem
tak zdziennili dorosłych że wypełniły się wszystkie teatry
nad każdą rzeką odprawiano rytuały i obrzędy
by się już więcej o duszę Deprofundisa i Omerty
ludziska nie dopytywały

Ale Deprofundis i Omerta wciąż idą do ślubu
oj biada mi biada bo cóż to za ślub
gdy z kukłą trzeba podskakiwać hop-siup
a „Lilie” wieszczą nadal cicho szumią
że ofiary podszyte dzieckiem
głośniej od nich z bólu wyją

* De Profundis – Z głębokości wołam do Ciebie Panie... (Ps. 130)
Omerta – kościelna i społeczna zmowa milczenia

Muzyka kromki chleba

jak wicher nóż przeleciał po kostce masła
i nad kromkę zapędził się by jej dziury jak czekającą
na dźwięk swego pana orkiestrę pocieszyć

okruchy sypią się od tego smarowania jakby żniwa nadeszły
awangarda grahama głębokiego jak głód koloru
mówi mi dołóż jeszcze jedną kromkę
więc szeleszczę jak fortepian z szarego papieru
wydobywając z niego najważniejszy dźwięk

i kroję go i podskakuję jak ptaszek przy zdobytej okruszynie
i smaruję wzrastającym crescendo
aż kromki jakby oczy patrzyły na mnie i usta
wywijają się w jakimś grymasie
że za mało masła daję

i na talerzu mi urosło pięć posmarowanych kromek
niczym kwintet
by na jego białej scenie obrotowej zagrać mój głód

Muzyka

kiedy się wreszcie zdecyduję powiedzieć „TAK”
tysiące „NIE” będzie szarpać moje nerwy jak głodne lwy
a ja chcę tylko powiedzieć że podziwiam brzozę
przed moim oknem
jak patrzy na
to co robię?

a ja gitarą jestem człowieczą w rytm tego
co rozumiałem przez całe życie
brzdąkam sobie patrząc w dal
ceglane dachy coś opowiadają kto chce to to rozwija
a kto nie to tylko muzyki słucha
która jest najpiękniejszym dachem świata
gdzie bogowie jak ptaszęta dokazują

i oto niepokój horyzontu staje się tancerką
którą bierzesz w ramiona i niech się dzieje
co się ma dziać

Pisz

Po prostu rób swoje, jak słońce,
zdejmij sweter, gdy ci za gorąco i pisz
wypuszczaj swoje prywatne promyki.
I tak za wiele nie zmienisz, ale pisz, niech robaki
chodzą po twoich wierszach i kawa je ochlapie i deszcz,
będą wartościowsze. Coś z tej ziemi im się należy,
nie znikną tak od razu. Może ktoś przeczyta?
Świeć tymi literkami.

Skikać

skikać skikać po tym bożym świecie
skikać skikać do buntu stare baby namawiać
skikać skikać niech się zesrają ze strachu armaty
wycelowane co nie pozwalają skikać
jeszcze się nie ocieliła taka godzina
by nie pozwoliła skikać
jakże wierzę w to otwartym oknem
gdzie majtochy sobie powiewają
skikać
skikać

2022

Ogródek

Ile tracę jeśli zajmuję się tylko swoim ogródkiem
a nie współczesną polityką i wojną
i nie zasypiam przed telewizorem

ile tracę
jeśli zrywam tylko czarną porzeczkę
i już zaczynam z nią tańczyć
ale nie gub rytmu nie gub rytmu mówi czarnooka
bo wiatr taki chłodnawy ale tańczę wiadeczeko coraz pełniejsze

nie gub rytmu mówi jeszcze trzeba nazrywać no tańcz tańcz
no to zrywam zrywam co będę się zajmował głupimi armatami
rytm mnie ponosi niebieskie wiadeczeko rośnie
zrywam bo ten zrywalizm mnie gdzieś ponosi
ponad poziomy
grozy
słoneczko przebija się przez liście
tańcz mówi czarnooka w zielonej sukience tańcz

Dziurki

Kończy się dzień
i gacie też mi się kończą
jedną dziurkę już mam na kolanie
ale w telewizji cały czas pokazują trupy
więc mogę się cieszyć że jeszcze żyję

bo są takie dziurki na świecie
że się człowiek już do nikogo nie uśmiechnie
oprawcy robią je z tyłu głowy strzałem z pistoletu
więc niech ten dzień jeszcze się dla mnie nie kończy Panie
bo mi same dziurki po głowie chodzą
już wolałbym przytulić te ostatnie promyki zachodzącego słońca

niż uciekać przed jakimiś dziurkami
jak jakiś wariat

26.10.2022

Spacer oboka

Teraz jestem obokiem
który chce się stać wymarzoną obłokiem
łądującym na płótnie malarza
któremu wędrówka po niebie się przydarza
gdzie farby dobrze kryją i pędzle śpiewają
jak anioły rozpoczynające najpiękniejszy
na świecie obraz

więc tak idę sobie uciekając ile się da
od tego odsunięcia mnie na bok

O drucie granicznym Polski

Niech żyje drut
który nikogo się nie boi
i spojrzysz każdemu w oczy
gdy go tnie i tłamsi aż do upadku

Niech Żyje Drut -
najważniejsza pieśń ojczyźnej ziemi
witającej uśmiechem

Niech żyje drut w mojej szopie
wiszący jak Hula-Hop przed zabawą na ścianie
całe życie pomaga mi w naprawie domu
i wzmacnianiu gałązek w ogrodzie
by śpiewały kwiatami

i wcale nie jest kolczasty

14.07.2020



Nigdy bym nie uprawiał tej szlachetnej profesji, gdyby nie zbadane poniewczasie wyroki opaczności, na każdym kroku korygujące moje przekroczenia.

Pierwsze doświadczenia korektologiczne zebrałem w „Trybunie Robotniczej” wiosną roku 1968. Skorzystałem wtedy – jako student pierwszego roku automatyki na Politechnice Śląskiej – z atrakcyjnej oferty Spółdzielni Studenckiej „Kajtek”, będącej czymś w rodzaju dzisiejszych agencji pracy tymczasowej. Pojawiło się tam ogłoszenie o możliwości pracy w drukarni.

Zajęcia na uczelni były obowiązkowe, więc dzienna praca zarobkowa odpadała. Ale tam wisiała oferta pracy nocnej! Wziąłem bez wahania. Wieczorami jeździłem do katowickiej drukarni i – jak automat – przenosiłem sterty wydrukowanych gazet z jakiejś maszyny do pakowalni. Wracałem do Gliwic nad ranem z brodą czarną i nosem czerwonym, bo te gazety trzeba było jakoś przytrzymać od góry, a na czerniło i czarno drukowano pierwszą stronę. Dawałem więc „Trybunie” własną twarz za pieniądze.

W tej drukarni opowiadano o niedawnej aferze korektorsko-politycznej, dzięki której dostałem tak dobrze płatną pracę. Wydrukowano gazetę z wielkim tytułem: **TOWARZYSZ WIESŁAW UROCZYŚCIE ZAINAUGUROWAŁ ODCHODY PIERWSZOMAJOWE.**

Kto pamięta „Trybunę Robotniczą”, wie, że tego rodzaju tytuły drukowano gigantycznymi czcionkami na całą szerokość kolumny. Tak wielkimi, że aż... nieczytelnymi. Co to się działo! Nakład poszedł na przemiał, a kary ponoć dotknęły wszystkich: od naczelnego do tragarza.

Kawałek twarzy „Trybunie” dałem, ale całej głowy nie dam za tę anegdotę. Pewne szczegóły poznawałem w innych wersjach, tylko „odchody” wyglądały zawsze tak samo. I wielokrotnie potwierdzało się, że błąd w tytule zauważyć najtrudniej.

Wszystkie drogi prowadzą do... korekty
Wcześniej o korekcie tekstów nawet nie myślałem. Chciałem być inżynierem i zajmować się komputerami. Ale te drzwi na jakiś czas się zatrzasnęły, a inne otwarły.

Klamka zapadła już w marcu 1968, o czym dowiedziałem się z opóźnieniem, bagatela, czterdziestoletnim. Otóż w trakcie marcowej manifestacji w Gliwicach, gdy studenci krzyczyli „Prasa kłamie!” (wszak o „Dziadach” na studiach technicznych nie mówiło się nigdy), pewien tajniak ukrytym aparatem zrobił mi świetny portret. Ale w opisie na odwrocie tej fotografii, ujawnionej przez IPN dopiero w roku 2008, ktoś popełnił błąd, którego już nie skorygowano. Napisano: „osobnik oznaczony X przyjechał z Katowic”. A ja mieszkalem w Gliwicach. Takich fotek wykonano kilkadziesiąt.

Apologia korektologii

czyli jak zostałem korektorem

ANDRZEJ JARCZEWSKI

Najsławniejszych „osobników”, czyli znanych działaczy Zrzeszenia Studentów Polskich zidentyfikowano od razu, ale mnie nikt w bezpiecie nie znał, bo byłem dopiero na drugim semestrze. Szukano prawdopodobnie wśród studentów dojeżdżających z Katowic. Następnie jakiś cywil chodził po dziekanatach i pytał o nazwiska uwiecznionych w ten sposób modeli. Na automatyce mnie „nie rozpoznano” i sprawa ucichła na dwa lata.

Ale zdjęcie nie dawało komuś spokoju i w końcu dotarło na Studium Wojskowe (we wtorki mój rok chodził „na wojsko”). Tam rozpoznał mnie kapitan K., z którym – jako mistrz kompanii w strzelaniu z kałacha – grzecznie jeździłem na jakieś zawody strzeleckie. I ten to kapitan wykluczył mnie z trzech kolejnych apeli, co oznaczało niezaliczenie semestru wojska i skreślenie z listy studentów.

Prawdziwe przyczyny poznałem wiele lat później, ale wtedy byłem na trzecim roku i uważałem to za nieporozumienie. Owszem, zajmowałem się bardziej muzyką niż wojskiem, ale żeby zaraz skreślać? Coś tu nie pasowało. Dopiero prodiękan ds. studenckich wyjaśnił mi, że – zgodnie z przepisami – niebawem trafię do prawdziwego wojska. Prodiękan sprawił wrażenie, że robię mu jakiś kłopot i tak niejasno zasugerował, że jeżeli pójdę na inną uczelnię, to on mi da urlop dziekański, a nawet dwa. „Trochę pan będzie chodził tam, trochę tu, w każdym semestrze coś pan zaliczy i jakoś to się ułoży”.

Średnio się tym przejąłem bo akurat zakładałem zespół. Na wszelki wypadek zdałem jednak na śląską polonistykę. Tam na którymś roku trzeba było wybrać specjalizację. Zdecydowałem się na językoznawstwo, myśląc o komputerowym badaniu tekstów, by sensownie wykorzystywać pierwsze wykształcenie.

To piszę na usprawiedliwienie tak robieżnych fakultetów. To nie były fanaberie ani przedłużone ferie. Żyłem w ciekawych czasach i moje CV ulegało opacznościowym korekturkom.

WOSPRIŃ

Automatykę ukończyłem w roku 1974 już bez żadnych przeszkód. Nawet podjąłem starania o asystenturę w Instytucie Automatyki, ale było to raczej marzenie ściętej głowy. I znów – na wszelki wypadek – przed magisterium, poje-

chałem do Katowic na Plebiscytową, do Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia i Telewizji. Tam – z braku lepszych kandydatów – dostałem angaż, który przechowuję do dziś.

Pełnię szczęścia zakłóciła mi jednak wiadomość, że dzień po dyplomie tę asystenturę też otrzymałem. Osiołowi w żłoba dano. Co wybrać? Tu szansa na karierę naukową, a tu atrakcyjna praca w orkiestrze, która właśnie (1974) przygotowywała się do wielkiego tournée po Kanadzie i USA.

Miałem już 24 lata, czas się żenić i iść do roboty. W orkiestrze dają 1500 zł pensji (czyli 15 dolarów na miesiąc), a na uczelni – 2300 (23 dolary). Nie to zadecydowało. Raczej praca na miejscu, pięć minut od domu. Ten poboczny wątek zostawiam na inną opowieść, a teraz o konsekwencjach, prowadzących do... korekty, bo o tym mam pisać w tym numerze.

Otóż na Politechnice Śląskiej byłem jedynym studentem, a następnie magistrzem językoznawstwa. Szybko więc zaangażowano mnie do różnych prac redakcyjnych. Najpierw były to koleżeńskie korekty prac doktorskich, a później reperowałem artykuły naukowe i książki z różnych dziedzin inżynieryjnych i teoretycznych, a w końcu filozoficznych. Dla znajomych pracowałem za darmo lub za jakieś usługi barterowe, ale coraz częściej otrzymywałem płatne zlecenia od osób zupełnie obcych. To szło pocztą pantoflową i tych zajęć było coraz więcej. Rodziły się dzieci, więc każdy dodatkowy zarobek miał podwójną wartość.

Solidarność

I tak przyszedł rok 1980. Na Politechnice Śląskiej powstaje NSZZ „Solidarność”. Związek wydaje własną gazetkę o skromnej nazwie „Informator”. Redagują to inżynierowie, którzy – nawet jeżeli są doktorami i profesorami – całe swoje kwalifikacje językowe zdobyli przed maturą, co dało się zauważyć w druku. Po kilku miesiącach sam zgłosiłem się do redaktora z ofertą korekty (oczywiście bezpłatnej, bo tam nikt redaktorom nie płacił, podobnie jak od wielu lat w „Śląsku”). Tymczasem gazetka rozrosła się do kilkudziesięciu stron, wydawanych co tydzień. Roboty coraz więcej, ale zdobywam nowe kwalifikacje, które wpędzają mnie w kolejne korekty życiorysu w stanie wojennym.

Otóż 13 grudnia 1981, wskutek absurdałnej pomyłki opaczności, internowany zostaje mój sąsiad. Jego mieszkanie od razu przyciąga nieopacznych, w tym Tadeusza Drzazgowskiego, który tymczasem wyrasta na szefa konspiracji w Gliwicach. Drzazgowski jest robotnikiem, ale akurat dysponuje dużą ilością papieru, matryc białkowych, farby drukarskiej itp. Ja tego nie mam, za to potrafię pisać i redagować cudze materiały. Poza tym zaliczyłem staż w prawdziwej drukarni! Gdyby internowali gościa w następnej kamienicy, nigdy bym nie trafił do konspiracji, bo nie byłem ważnym działaczem związkowym, podobnie jak internowany sąsiad, człowiek absolutnie niewinny. Opaczność zadziałała po swojemu i ponownie ułożyła mi życiorys w kierunku redagowania, korekty i druku.

W roku 1982 Politechniką rządziła komisja weryfikacyjna, która wydalila mnie z uczelni, co odczytałem jako kolejne zaproszenie do pilniejszej aktywności na rzecz korekty stroju. Zatrudnienia nie mogłem znaleźć przez wiele miesięcy, za to korekty książek napływały bez większych perturbacji. Już wtedy mogłem poprzestać na tym sposobie zarobkowania, ale akurat (po katastrofie) w KWK Zabrze-Bielszowice przyjmowano ludzi „z ulicy”, nie pytając opaczności o zgodę.

I tak trafiłem na parę lat na dół kopalni węgla, by pełnić zaszczytną funkcję dozorca urządzeń przodkowych. Zarabiałem od razu trzy razy więcej niż na uczelni, a pensja szybko rosła. Musiałem jednak zrezygnować z korekty, bo praca z dojazdami zabierała mi 13 godzin dziennie codziennie, czyli ze wszystkimi sobotami i wieloma niedzielami. Tę ostatnią niewygodę osładzano książeczką „G”, na którą wpływały potrójne (warto przypomnieć to młodzieży) wynagrodzenia za pracę sobotnią i niedzielą. Za tym szły też nieskąd datki na moją dzisiejszą emeryturę.

Zbadane wyroki opaczności

Spośród wszystkich moich zatrudnień – wyżej od korekty cenię tylko pracę na dole kopalni. Męska przygoda! Opisałem to w „Szychtownicy”, a tu napomykam tylko, że nigdy bym dobrowolnie z kopalni nie odszedł. Straciłaby na tym korekta, więc dla dobra tej sprawy zadban o mój powrót na powierzchnię. A to było tak.

W roku 1985, dopingowany urodzonymi czwartego dziecka, zdobywałem różne uprawnienia górnicze w drodze do wyższych stanowisk sztygarskich. Ta droga się jednak wykrzywiła, bo znów zadziałała opaczność z zabawnym – jak zwykle – błędem, dzięki któremu przyszli po mnie dużo później niż powinien. Osoba, która na mnie doniosła, znała moją żonę i podała jej panięskie nazwisko, różniące się od mojego zaledwie dwiema literami. Tego nie skorygowa-

no, a my tymczasem zmieniliśmy adres. I szukaj wiatru w polu.

Władza była nieomylna, więc nie potrzebowała korekty, a ja – dzięki dwóm literkom – w Areszcie Śledczym w Katowicach przy Mikołowskiej posiedziałem krótko, bo po roku trafiła się amnestia. W więzieniu zyskałem pełną wolność od wszelkich trosk i obowiązków rodzinnych tudzież górniczych, dzięki czemu mogłem napisać nie tylko „Szychtownicę”, ale i podręcznik z podsumowaniem doświadczeń korektorskich. Niestety książki nie dokończyłem, bo mnie za wcześnie wypuścili. Zaprzyjaźniłem się za to z Sądem Rejonowym w Gliwicach, który wlepił mi wtedy dwa lata, a ogólnie: spośród sześciu wyroków, którymi ów sąd wytrwale, acz nieskutecznie korygował moją prawomyślność, trzy zostały obalone w Sądzie Okręgowym, dwa w Najwyższym, a ostatni jest jeszcze w praniu. Piszę to z podziwem dla nadzwyczajnej kasty, bo tam jednak działa korekta systemowa i – jeśli nawet tu czy ówdzie wyrokom opaczności własną twarz dają sędziowie krzywoprzysiężni – nie zasługują oni na spoliczkowanie, bo są dostatecznie czerwoni.

Etyka korektora

Błędy ortograficzne, częste w dawnych rękopisach, stanowią dziś najmniej istotny margines zainteresowań korektora. O wiele ciekawsze są błędy logiczne, składniowe, a od jakiegoś czasu również komputerowe; ich źródłem jest łatwość wprowadzania autorskich poprawek. Piszący często nie zauważa, że gdy w jednym zdaniu coś polepszy, to w następnym coś mu się pogorszy. Są też ciekawe błędy, wynikające z zastosowania OCR, czyli komputrowego rozpoznawania tekstu. Teraz dochodzą szokujące wynalazki językowe w automatycznych tłumaczeniach i zaczyna się epoka nieznanych wcześniej lapsusów, popełnianych przez sztuczną inteligencję.

Charakter błędów na stronach internetowych pozwala niekiedy odróżnić tekst autora żywego od produktu AI. Bo prawdziwa inteligencja nie może popełnić niektórych rodzajów błędów, a sztuczna – innych. ChatGPT potrafi oszukiwać, ale... oblał maturę z polskiego. W szkole podstawowej uczniowie nigdy nie popełniali pewnego błędu w wyrazie 'błąd'. Wprawdzie niejednemu zdarzył się 'blond', ale tylko klawiatura komputera umożliwiała 'bląd', a nawet – za przeproszeniem – 'blad'. Do tego nie posunęła się ani stółka, ani pocziwa maszyna do pisania.

Uniwersytety już uczą edycji tekstów, na rynku mamy wiele polskich książek korektologicznych, a w internecie znajdziemy fora dyskusyjne, gdzie specjaliści wymieniają poglądy na tematy edytorskie. To skłoniło mnie do rezygnacji z wydania własnego podręcznika. Nie kontynuowałem pracy nad tym dziełem z powo-

dów cenzuralnych. I wcale nie chodziło o cenzurę polityczną, ale o... autocenzurę.

Otóż podręcznik o korekcie można układać na podstawie słownika ortograficznego z zasadami pisowni, słownika frazeologicznego i dowolnego innego. Takie pozycje znajdziemy na rynku.

Są bezpieczne; niektórym pomagają, a nikomu nie szkodzą. Jednak w praktyce przydają się bardziej książki i strony internetowe, omawiające aktualne problemy na podstawie rzeczywistych zjawisk, obserwowanych w tekstach. Tę opcję wybrałem, bo pozwalała ująć temat na wesoło, a na ponuro pisać nie potrafię.

Niestety – prawdziwe chochliki, te najzabawniejsze, mają charakter jednostkowy: tylko jeden autor wpadł na taki właśnie, zaskakujący układ liter czy wyrazów w danym kontekście. Te osobliwości można skategoryzować i opisać, ale nie da się ich zastąpić przykładami wymyślonymi, bo te najsmakowitsze, najbardziej kabaretowe kawałki są po prostu niezastępowalne. To muszą być prawdziwki. Próbowalem, ale sam nie wierzyłem, że sztuczne przykłady mogą przytrafić się w rzeczywistości. Po latach wiem, że mogą i że oryginały są – w swoim kontekście – stokród dowcipniejsze od podróbek.

Ale kontekst jest tylko jeden. Gdy opublikuję przykład, to – jeśli nawet nie podam nazwiska autora – w jakiś sposób go zdradzę. Niewykluczone, że nikt się nie domyśli, o kogo chodzi, ale autor będzie to wiedział. Utraci zaufanie. W dodatku takich rzeczy nie da się zapomnieć. Często uśmiecham się na wspomnienie niektórych fraz z „humoru zeszytów szkolnych”, czyli z dysertacji doktorskich. Autorzy – dziś profesorowie, prezesi, biznesmeni – też by się roześmiali. Gdy się jednak widzimy, o takich wesołościach nie pamiętamy, zwłaszcza że wszelkie płatności odbywały się bez nadmiernego udziału współnictwa skarbowego.

Misja i tajemnica korekty

Lekarza obowiązuje tajemnica lekarska, księdza – tajemnica spowiedzi, korektora – tajemnica korekty. Podobnie jest z etyką adwokacką, sędziowską i nauczycielską. Do dziś brzmia mi w uszach słowa ówczesnego dziekana Wydziału Automatyki, Profesora Tadeusza Zagajewskiego, wypowiedziane w Marcu 1968: „Jest nie do pomyślenia, by nauczyciel donosił na swoich uczniów”. Oczywiście – dziekana natychmiast usunięto ze stanowiska, natomiast Jego studenci i współpracownicy po latach uczcili swojego Nauczyciela tablicą pamiątkową na Wydziale.

Tajemnica korekty musi być dotrzymana. W przeciwnym razie autorzy będą wszelkimi sposobami unikać korektorów, co w efekcie ostatecznym obniży wartość wszelkich publikacji polskich. Korekta nie ruszy z posad bryły świata. Jej misja brzmi skromniej: „Coś trochę gorszego uczynić trochę lepszym”. Pyrsk.

W porze wypraszania dzikich kotów

Przed północą wychodziliśmy jeszcze przed dom. Była to pora wypraszania dzikich kotów, które o poranku przywlekały się z pola, by przez cały Boży dzień kolegować się z trzema kotami domowymi. Wujek dawał im jeść, a one na swój koci sposób okazywały swą wzajemność, częstując go upolowaną myszą. Składały zdobycz u wujkowych stóp i nie rościły już sobie do niej pretensji.

Po wieczornym różańcu te koty musiały się wynieść.

„Na pole! Na pole!” – pokrzykiwał wujek. Jego głos rozciął ciszę naszym nawoływaniem pierwszej straży nocnej. Było to jednocześnie najpewniejsze rozgraniczenie dnia i nocy: gdy przebrzmiewała ostatnia sylaba, noc stawała się bez wątpienia nocą, bo oto zostało to urzędowo poświadczono. Potem staliśmy jeszcze przez jakiś czas na tarasie. Wujek czekał cierpliwie.

Zadzieralem głowę, przenosząc wzrok ponad czarne korony kasztanów, i jeszcze wyżej, ponad wieżę kościoła, którego najbliższa ściana wyrastała o jakies czterdzieści metrów od nas; a ta wieża również była czarna na tle nieba. Pomarańczowy prostokąt światła – okno stojącej po sąsiedzku plebanii – nie rozjaśniał ciemności. Nie czyniła też tego daleka niska luna na południowym horyzoncie (światła Warszawy).

Wypatrywałem spadających gwiazd, które w sierpniu spadają ponoć najgęściej. Nie licząc dwóch Niedźwiedzic, użytecznych do wyznaczania kierunku, z żadnym gwiazdozbiorem nie byłam na ty. Mapa nieba wydawała mi się równie tajemnicza, co mapa Oceanii, a konstelacje równie trudne do nazwania co archipelagi wysp koralowych: w istocie były nie do nazwania. Myślałem o jakichś dawno minionych sierpniach, kiedy to gwiazdy – jak zaręczał wujek – śmigły jedna za drugą, gdy pełno ich było, gdy jeszcze pozwalała się widzieć wieczorna gwiazda Wenus, a po Mlecznej Drodze leniwie posuwały się amerykańskie i ruskie sputniki.

W porze wypraszania dzikich kotów chciałem przywołać tamte sierpnie. Lecz tylko kark bolał od zadzierania głowy. Gwiazdy spadały, gdy nie patrzyłem. Zdawały się wręcz wyczekiwać chwili, gdy spuszcze wzrok, gdy odwróce głowę. Czyżby sądziły, że moje życzenia zostały już spełnione co do jednego? Posądzałem je o to, nie mając innego dowodu, jak tylko wujkowe zapewnienie: „Ty to jesteś szczęśliwy”. Na próżno wypatrywałem. I sputniki gdzieś się zapodziały.

Godzina jutrzni

Jest to godzina, kiedy ranne wstają zorze. W pierwszym, nagłym promieniu słońca zasłona mgły rozprasa się, jakby roztopiała się niepostrzeżenie w rzeświejącym powietrzu. Na tle rąbka tarczy słonecznej, rąbka czerwonego i nierazącego w oczy, otoczonego wstydliwym różem wschodniego nieba, sylwetka wujka, stukającego młotkiem w drewniany daszek stogu, wydaje się całkiem czarna, podobna wycinance z papieru, jakie w nadmorskich kurortach wyczarowują na poczekaniu kilkomą poprawnymi ruchami nożyczek. Wysoki lot jaskółek wróży pogodę. To samo iskrząca się rosą trawa. Z boku, zza ciemnej ściany lasu, dobiega wesołe wołanie dziecka: „Tato! Tato!”. To poranni zbieracze malin.

Ścieżka wprowadza mnie w brzozowy gaj, w którym (czuję to) wciąż chroni się chłód nocy. Zdaje się, że zaniekpokoiłem derka-

cza, bo gdzieś wśród drzew – stąd lub zowąd, z bliska lub z dala – powtarza się to jego jakby mechaniczne terkotanie. Niebawem brzozy rozstąpią się, ukazując gładkie rozlewisko przy źródle. Już słycać szemranie strumyka na morenowym kamieniu. Wysoki piaszczysty brzeg, niemal urwisko, odbija się w płytkiej wodzie, tworząc żółty kleks na dojrzałej zieleni poszycia. Głębokie ślady racic po przeciwległej płaskiej stronie zaznaczają miejsce wodopoju. O tej porze pusto tu jeszcze.

W prześwicie między białymi pniami widać nieodległe zabudowania klasztoru. Kredowa farba, którą położono na tynk, zdaje się teraz różowa jak niebo. Jednak już około ósmej będę mógł przysiąc, że klasztor jest żółty jak promień słońca. A może być, że ujrzę seledyn lub błękit, gdy w murach przeglądać się będzie soczysta zieleń lub ciemna głębia bezchmurnych niebios.

Właśnie ozwał się gong na jutrznię. Lubię tę godzinę. I to miejsce o tej godzinie. Gdybym miał talent pejzażysty namalowałbym tę polanę. I to piaszczyste urwisko, to źródło, i ten wodopój – i w oddali dałoby się rozpoznać zarysy klasztoru w tej jasnoróżowej plamie, którą położyłbym za brzożami. Lecz już za kilka godzin, gdy wysokie słońce południa rzuci na polanę snop złotego światła, będę miał złudną pewność, że widziałem to już na płótnie Szyszkina. Więc również z tego względu nie namaluję obrazu.

Ale oto tutaj samotny kos przysiadł właśnie na morenowym kamieniu przy strumyku; stukając dzióbkiem w wodę zaspokaja poranny kaprys – i pije, pije. W koronie brzozy wykrzykuje niewidoczny ptak: „Tak! Tak!”. I powtarza, jakby nie dość powiedział: „Tak! Tak!”. Przebiegam w myślach gatunki, szukając nazwy dla potakiwacza, lecz nim zdołam go nazwać, znów słyszę to odległe radosne wołanie, na które już raz nie było odzewu: „Tato! Tato!”. Jedno i drugie jest dla mnie głosem rannego ptaszka, jakkolwiek brzmi jego właściwa nazwa.

Od strony klasztoru nadlatuje strzępek pierwszej recytacji. W lustrze gładkiego rozlewiska powoli otwiera się nowy dzień (rzekłbyś, że to mnisi otwierają niebo). Świat, jeszcze o tej porze bezgrzeszny, wyrusza w swą „Liturgię Godzin”, wtórując mnichom: „Ojciec Nasz, Który Jesteś w Niebie!”. Tamto dziecko, tamto Boże Stworzenie, nie przestaje wołać: „Tato! Tato! Same maliny! Tu są!” Ranny ptaszek przytakuje, potwierdza: „Tak! Tak!”.

Księżyc nad PGR-em

W pokoju, gdzie stał telewizor, zgaszono światło i zaciągnięto zasłony, żeby obraz na ekranie był lepiej widoczny. Mieszkanie należało do Kierownika i mieściło się w murowanym bloku, świeżo postawionym dla pracowników PGR-u. Do starych dworskich czworaków, wciąż jeszcze zamieszkałych, były dwa kroki. Siedzieliśmy wśród robotników rolnych. W ciemnościach poruszały się jak świetliki rozżarzone koniuszki papierosów.

Spędzaliśmy wakacje u dziadka Wincentego. Kierownik sprosił wybranych, i teraz pytał, czy dobrze już widać, i po ciemku poprawiał kontrast. Dziadek i tato zostali wybrani już rankiem, przed wszystkimi innymi, a później tato dotrzymał słowa i wziął jeszcze Zbyszka i mnie. Przez cały dzień dobrze się sprawowaliśmy: nie przynieśliśmy dziadkowi wstydu. Była noc z 20 na 21 lipca 1969 roku. Miałem 9 lat (w maju przyjąłem pierwszą komunię). Tej nocy Amerykanie lądowali na księżycu. Dziadek wymówił się, był już za stary na takie rzeczy.

Dobrze tam było wśród robotników rolnych. Powieki mi opadały. Zbyszek szturchał mnie, bym nie zasnął przed czasem.

„Zmówcie za nich trzy zdrowaśki” – nachylił się ku nam tato. „Żeby im się nic nie stało.”

Modliłem się po cichu, odliczając na palcach do trzech. Czy zobaczą tam Boga? Nazywali się Armstrong i Aldrin. Jak na filmie w zwolnionym tempie stawiali te pierwsze kroki, wzbijali się w górę i opadali, podobni dwóm balonikom. Chorągiewką wienńczyli Księżyc. Cieszyłem się razem z robotnikami: co Ameryka, to Ameryka!

Kiedy wracaliśmy do siebie, panowała święta cisza lipcowej nocy. W takie noce wszystkie kształty są czarne, a ludzie są cali czarni, tylko dusze jaśnieją i dobrze się rozumieją.

Okna w czworakach jeszcze nie pogasły, czekano na swoich. W poświęcie zdobytego Księżycza straszyl dwór Stojowskich, na pół zrujnowany. Za nim drzemały pola rzepaku i Kanał Lodo- wy, gdzie za dnia łowiliśmy cierniki na zakrzywiony gwóźdź.

Robotnik, z którym wyszliśmy, skręcał w stronę wsi. Uniósł czapkę, trzymając za daszek. Trochę niepewny, czy tak trzeba mówić, pożegnał się z nami półgłosem.

„Na wieki wieków” – przytaknęliśmy.

Topola szara

Drzewo to, starsze ode mnie, stoi przy mojej codziennej drodze: do pracy w dniu powszednim, do kościoła w niedzielę. Nie jest wszakże zwykłym bepańskim drzewem przydrożnym. Podnóże grubego pnia, dobrze widoczne za drucianą siatką, wznosi się w granicach posesji, gdzie ostatnio znalazła schronienie administracja budynków. W tym sensie jest to „państwowe” drzewo. Nazywam je wszakże moją topolą, nie wnioskując w księgi wieczyste.

Korona drzewa rozrasta się szeroko ponad ulicą, rozpościerając nad tym krótkim odcinkiem gęsty zielony parasol, pod którym „w czasie deszczu szosa sucha”. Korzenie zniekształciły i wyrzusiły chodnik, rozsadzając go od spodu. Jest to topola szara (*populus canescens*), zupełnie niepodobna do strzelistej krewniaczki, czyli topoli włoskiej, którą wysadza się aleje i drogi. Moja topola, choć listki zdradzają to pokrewieństwo, jest przysadzista i rozłożysta, podobna raczej do lipy lub kasztana. Mijając to miejsce, zadzę czasem głowę do góry, obejmując wzrokiem koronę. Od późnej wiosny do jesieni liście drżą i połyskują srebrzyście i żółto, gdy gra na nich słońce i wiatr. Nawet w czasie ciszy zdają się wibrować jak plamki farby na płótnach puentylistów.

Kiedyś odkryłem, że widok ten posiada właściwości lecznicze. Przybliżoną datę mógłbym sobie przypomnieć, gdyby miało to większe znaczenie. Ważniejsze, myślę, są okoliczności. A wiąże to wspomnienie z obecnością przy mnie obojga rodziców, z którymi wciąż mieszkalem, będąc już wtedy po trzydziestce. W każdej niedzielę chodziliśmy razem na poranną mszę św. na godz. 7⁰⁰. Mijaliśmy to miejsce. W rześkim powietrzu poranka korona topoli szarej odprawiała na mnie swój lekarski rytuał. Pewnego więc dnia odczułem tam niezrozumiałe rozradowanie i pokrzepienie. Jak gdybym spijał oczami ożywczy nektar.

Powtarzało się to później już stale, z różnym nasileniem. Wystarczało musnąć ją wzrokiem, by już „ani dbać na strzały, którymi sieje przygoda w dzień biały”. Udręki i uciski dnia powszedniego pierzchały przed moją topolą. Kiedyś, wracając z kościoła, podzieliłem się tym spostrzeżeniem z rodzicami. Czy na widok mojej topoli czują tę samą radość? Przyszli, że drzewo jest wyjątkowo sympatyczne – dobre, wesołe drzewo.

Kiedy pracownicy Zieleni Miejskiej podstrzygli koronę od dołu, ścinając najniższe gałęzie, spostrzegłem, że drzewo jest oszpecone. Jak gdyby fryzjer stanowczo przesadził albo mu nie wyszło. Długo trwało, kilka chyba lat, nim odzyskało swe lecznicze zdolności. Pewnego razu, a było to po niszczycielskiej wichurze, w lokalnej prasie i na słupach ogłoszeniowych ukazało się zarządzenie prezydenta miasta nakazujące wycinkę wszystkich wysokich topól. Był to zrozumiały wymóg bezpieczeństwa: złamane gałęzie i wyrwane pnie o krótkich korzeniach okazały się groźne dla mieszkańców. Ale można też było to odczytać jako zapowiedź swoistej zemsty: za jeden przygnieciony samo-

chód – sto topól. Moja topola znalazła się w niebezpieczeństwie.

To zarządzenie okazuje swą niezmienną moc mimo upływu lat. *Dura lex, sed lex*. Wiele znajomych drzew padło pod ostrym narzędziem. Mógłbym każdemu zapalić świeczkę i nazwać osobnym imieniem. W tym roku poszły pod nóż zaokienne topole z naszego podwórka. Ich widok towarzyszył mi od zawsze: strzelały w niebo za szybami kuchni, gdy jeszcze byłem dzieckiem; wznosiły się nad naszym dziecięcym szczęściem, gdy wywijaliśmy kozły na trzepaku, u ich stóp. Ale moja lekarka, topola szara, uniknęła pogromu.

Dzisiaj nie rzuca się już tak bardzo w moje oczy. Bywa, że nie raczę na nią spojrzeć. Po prostu zapominam. W niedzielę proszę mamę, żeby mi przypomniwała, lecz w końcu zapominamy oboje. Być może topola spełniła wobec mnie swoją misję. Dziś patrzę na nią z szacunkiem. Nie oczekuję ulgi czy orzeźwienia, nie spijam oczami ożywczego nektaru, tylko pamiętam ją z minionych lat i odczuwam wdzięczność. Tak właśnie: wdzięczność. I cieszę się, że stoi jak stała, a jej liście igrają nad ulicą. W porze przerwy na papierosa schodzą się pod nią zmiataczki ulic, by w siostrzanej wspólnocie wyleczyć swe smutki. A drzewo szumi nad nimi: „Następny proszę!”

Zostań z nami, melodio

Pomiędzy kolejnymi szynami traktu kolejowego pozostawiano zawsze niewielką kilkucentymetrową przerwę, by w czas letnich upałów nie doszło do odkształceń. Koła, natrafiając na szczelinę (a natrafiają raz po raz), zdają się kwitować spotkaniem mocnym stuknięciem. Pasażerowie składów osobowych słyszą to pod postacią perkusyjnego rytmu, którego tempo zależy od prędkości pociągu. Inne rytmy królują w składach ociężałych, inne zaś w chyżych, prześlizgujących się jak czmychająca żmija między ścianami pejzażu. W myśli pojawia się melodia, przypadkowa, zwykle jednak znana i lubiana, jakiś adekwatny do rytmu szlagier.

Pamiętam z lat coraz już dawniejszych, że kiedy jechało się do Warszawy, coś tam zawsze w duszy grało, coś śpiewało bezgłośnie: A dokąd to, dokąd, a dokąd to tak?... A wszystko to ty, a wszystko to ty!... Słod-ko-spo-cznie-my-przy-Bo-skim-Ser-cu... Potem jednak zawsze jakiś wiadukt, jakieś ograniczenie prędkości, semafor – i wszystko pierzcha. Rytm załamuje się, zatracą się adekwatność – pora kończyć piosenkę. Lecz idzie czas, że tego to i nawet na prowincji nie będzie, może jeszcze w skansenie jakimś, na wąskotorówce.

Dzisiaj nie są już rzadkością linie szybkie, kolejowe odpowiedniki autostrad, jakieś – powiedzmy – TGV, CMK i podobne, gdzie do ułożenia szyn użyto innej technologii. Trakt kolejowy stanowi tam nieprzerwany ciąg żelazny; nie jest już zlepkiem setek i tysięcy szyn. Każda z dwóch równoległych (wciąż) szyn zdaje się być jedną długą koleiną, bez początku i końca – jak gdyby spust surówki, z której ją ulepiono, nigdy już nie miał się skończyć. Koła nie mają tam instrumentu. Pociąg sunie gładko jak po taflach lodu, kołysząc się na resorach. W miejsce dawnego rytmu wdarł się nieprzerwany szum, jakby wiatr hulał po polu. I choćbyś po czymś takim do ojczyzny z wygnania powracał, nic ci w duszy w tym pociągu nie zagra.

Wujek

Wujek krzątał się zbytnio i troskał o wiele.

Mało miał czasu, by spocząć.

Telewizor otwierał w czas różańca i drzemał przed nim godzinę w fotelu. Kot na kolanach leczył mu reumatyzm.

Różaniec odmawiał się sam i czynił cuda.

Odeszli na wieczną wartę

KATOWICE. 29 czerwca w kaplicy głównej Centralnego Cmentarza Komunalnego w Katowicach odbyły się uroczystości pogrzebowe pięciu żołnierzy powojennego podziemia walczącego z komunistycznym reżimem. Na miejsce wiecznego spoczynku odprowadzono prochy Henryka Filipieckiego ps. „Tarzan”, Antoniego Fojcika ps. „Tosiek”, Władysława Grada, Mariana Kostępskiego oraz Antoniego Tkocza ps. „Antoś”. W drugiej połowie lat 40 brali oni czynny udział w walce zbrojnej, głównie na terenie ziemi rybnickiej i raciborskiej oraz Śląska Cieszyńskiego i prowadzili akcje wymierzone przeciw aparatowi komunistycznej bezpieki. Za swoją bohaterską postawę zapłacili najwyższą cenę – po ujęciu przez komunistyczne władze zostali skazani i straceni bądź zmarli w więzieniach. Przez długie lata miejsca ich pochówków pozostawały nieznane, odkryto je dopiero w niedawnym czasie podczas prac ekshumacyjnych prowadzonych przez katowicki oddział Instytutu Pamięi Narodowej na cmentarzach w Katowicach i Raciborzu. Szczątki dzielnych żołnierzy spoczęły w Kwaterze Żołnierzy Niezłomnych.

Muzyka z... maszyn do pisania

ZAWIERCIE i widowiskowa impreza pod hasłem „Z batutą i humorem – historia muzyki według blondynek”. Dwie sopranistki, **Wioletta Białk** i **Anita Maszcyk**, w towarzystwie Jurajskiej Orkiestry Kameralnej pod kierownictwem **Macieja Niesiołowskiego** zaprezentowały ciekawy zestaw utworów musicalowych, operowych i operetkowych, a także współczesnych piosenek z różnych szuflad. Był to prawdziwie rozrywkowy koncert muzyczny w najlepszym tego słowa znaczeniu. Publiczność zgromadzona w ostatnim dniu kwietnia w tłumnie wypełnionej sali widowiskowej Miejskiego Ośrodka Kultury w Zawierciu śmiała się do rozpuku z zabawnych interpretacji popularnych arii i piosenek w wykonaniu ekspresyjnych artystek. Uroku dodawały jurajskiej imprezie humorystyczne opowiadki i dykteryjki Macieja Niesiołowskiego, który pełnił podwójną rolę – dyrygenta i konferansjera. Repertuar – bardzo szeroki – od historycznych dzieł operowych, poprzez utwory Offenbacha i Straussa, aż do aktualnych przebojów rozbrzmiewających w eterze za sprawą licznych rozgłośni radiowych. Szczególny entuzjazm widzów i słuchaczy wzbudziło wykonanie kompozycji „The typewriter” („Maszyna do pisania”) z roku 1950. Jej twórca Leroy Anderson, amerykański muzyk z Massachusetts, uwielbiał koncertowe zabawy z dźwiękiem. Skomponował utwór z wykorzystaniem... odgłosów pisania na maszynie. Niesiołowski posługiwał się właśnie takim niezwykłym instrumentem, dbając równocześnie o dyrygowanie orkiestrą. (luz)

fot. Z. Lubowski



Wyłoniono laureatów beskidzkiego festiwalu

BIELSKO-BIAŁA. W pierwszą niedzielę czerwca w Bielskim Centrum Kultury im. Marii Koterbskiej rozstrzygnięto wyniki II Festiwalu Piosenek Bielsko-Bialskich Artystów. Organizatorzy z Fundacji Wspierania Talentów Dzieci, Młodzieży i Dorosłych WŁOCZYKIJE postawili sobie za cel popularyzowanie muzycznego dorobku piosenkarzy i kompozytorów z beskidzkim rodowodem. Jurorzy przyznali nagrody i wyróżnienia w sześciu różnych kategoriach wiekowych. W gronie uczestników w wieku od 12 do 15 lat triumfował **Oliwier Błasiak**, który zaprezentował ekspresyjną interpretację utworu country pt. „ETZ” z dorobku bielskiej „Grupy Furmana”. Warto jeszcze dodać, że podczas festiwalowej gali dominowały zdecydowanie piosenki z repertuaru Marii Koterbskiej oraz Jacka Lecha.



fot. Agneta Ruchiska

„Chicago” w studenckim „Mrowisku”

GLIWICE. Prywatny Teatr Muzyczny Wit-Wit nie przestaje zaskakiwać widzów oryginalnymi inicjatywami artystycznymi. W dniach od 14 do 16 czerwca zorganizował on w gościnnej sali teatralnej Centrum Kultury Studenckiej „Mrowisko” Politechniki Śląskiej premierowe pokazy spektakli, stanowiących ukoronowanie tegorocznych warsztatów aktorskich. Finałowym akcentem przedsięwzięcia była prezentacja sławnego musicalu „Chicago” Johna Kandra, wystawionego po raz pierwszy na Broadwayu w 1975 roku i granego od tej pory wielokrotnie na wielu scenach muzycznych całego świata.

Młodzi wychowankowie Studia Aktorskiego Wit-Wit wyszli obronną ręką z powierzonego im zadania. Kultowy musical w ich wykonaniu nie tylko nie raził jakimikolwiek ułomnościami realizacyjnymi, ale był ciekawą i trzymającą w napięciu inscenizacją przedstawienia o zbrodniach i osobliwych właściwościach świata współczesnych mediów. Licznie zgromadzona publiczność w „Mrowisku” owacyjnie przyjęła spektakl wyreżyserowany przez **Stanisława Witomskiego**. Cennym walorem widowiska były efektowne układy choreograficzne przygotowane przez **Dagmarę Kaliciak**. Interesujące kreacje aktorskie stworzyli **Alicja Danel** w roli złowieszczej Roxie Hart oraz **Patryk Klimek** we wcieleniu adwokata Billy’ego Flynna. Wyjątkowym kunsztem aktorskim i nietuzinkowymi umiejętnościami wokalnymi popisała się natomiast **Oliwia Pajonk** jako demoniczna Velma Kelly. Utalentowanej artystce można wróżyć znakomitą karierę sceniczną. Warto dodać, że jest ona ubiegłoroczną absolwentką Państwowego Policealnego Studium Wokalno-Baletowego w Gliwicach.



Debiut w „Śląsku”

ANNA ESNEKIER



Pracuję głównie w technice malarstwa olejnego oraz w grafice warsztatowej. Bardzo ważne jest dla mnie tworzenie w szkicownikach. W swej praktyce eksploruję związek przeszłości z teraźniejszością. Szukam korelacji z dawnymi wspomnieniami, dawną wersją nas samych, dawnym językiem w sztukach wizualnych czy wręcz połączeń we własnej osobistej przestrzeni. Wracam do określonych symboli, starając się stopniowo rozbudowywać ich własny język. Łączę obrazy, wrażenia i słowa. Wyrwane z kontekstu wypowiedzi, nagle fragmenty myśli, wspomnień uzupełniają się wzajemnie w gotowej kompozycji. Najważniejsze dla mnie jest uwolnienie silnych emocji oraz ukazanie spokoju towarzyszącego pogodzeniu się z nimi. ■



Anna Esnekier (ur. 2006) – uczennica Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Katowicach, od lat uczestnicząca w Pracowni Sztuk Plastycznych w katowickim Pałacu Młodzieży, w którym odbyła się jej debiutancka wystawa malarstwa. Laureatka i reprezentantka szkoły w konkursach ogólnopolskich i międzynarodowych. Stypendystka Prezesa Rady Ministrów oraz Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Trzykrotnie zdobywczyni Nagrody Prezydenta Katowice.

≡ PROMENADA *po muzyce*

16 lipca — 20 sierpnia

Każda niedziela o godz. 11.00
Park Kościuszki w Katowicach
Wstęp wolny